

KWARTALNIK ARTYSTYCZNY

KUJAWY I POMORZE

2009

nr 4 (64)

Rok XVII

JERZY ANDRZEJEWSKI

KWARTALNIK ARTYSTYCZNY

KUJAWY I POMORZE

2009

nr 4 (64)

Rok XVII

Spis rzeczy

- JULIA HARTWIG Albo / 3 Tym, którzy / 4
HANS MAGNUS ENZENSBERGER Bez względu na straty / 5
 Problemy / 6 Ciężkie walizki / 6 Żeby odwyknąć / 7
- Głosy i głosy w 100. rocznicę urodzin Jerzego Andrzejewskiego
- JULIA HARTWIG O Jerzym Andrzejewskim / 11
ANTONI LIBERA Wesele, którego nie było.
 O Między Jerzego Andrzejewskiego / 17
KRZYSZTOF MYSZKOWSKI J.A. / 26
DARIUSZ NOWACKI Teraz na niego zagłada? / 54
LESZEK SZARUGA Willa z widokiem na jezioro / 60
Jerzy Andrzejewski na fotografiach / 65
Jerzy Andrzejewski i o Jerzym Andrzejewskim w „Kwartalniku Artystycznym” / 73
- PIOTR SZEWC Przetarłem oczy / 75 Dużo czasu / 76 Może dostanę / 76
ALEKSANDER FIUT Schulz czyta Rilkego / 77
ANNA JANKO Kanon / 85 Obraz niesygnowany / 86 Noc / 87
 Lamentacja / 88
KAZIMIERZ BRAKONIECKI Obroty nieba (fragmenty) / 89
 Monady / 92

Po przełomie – najważniejsze książki dwudziestolecia 1989–2009

- WÓJCIECH LIGĘZA Tyle pięknych wierszy, tak mało uwagi i czasu / 93
 ARKADIUSZ MORAWIEC Skromnie? / 101
 ANDRZEJ SKRENDO Ankieta / 104
- ADRIANA SZYMAŃSKA Blizna / 106 Noc i dzień Nowego Roku / 107
 Na ratunek / 108
- JÓZEF KURYLAK Komnaty / 109 *** (Dziewczyny mego miasta...) / 110
 KAZIMIERZ NOWOSIELSKI Obrazy / 111 Dopowiedź / 112
- JEAN-MARIE GUSTAVE LE CLÉZIO Igraszki Anny / 113
 R.S. THOMAS Degas: Lekcja tańca / 122 Cézanne: Grający w karty / 123
 Gauguin: Bretońska wioska w śniegu / 123 Galeria / 124
 Walijski / 125

Varia

- KRZYSZTOF MYŚKOWSKI Addenda (15) / 126
 MAREK SKWARNICKI Hejnał mariacki (2) / 131
 LESZEK SZARUGA Jazda (12) / 136
 PIOTR SZEWC Z powodu i bez powodu (17) / 141

Recenzje

- LESZEK SZARUGA Siedmioramienne rzeki losów / 143
 BOGUSŁAW KIERC Druga komunია / 147
 MIECZYŚLAW ORSKI Donos na życie / 150

Noty o ksiązkach / 154

Nowe książki / 165

Listy do Redakcji / 167

TYLKO PRENUMERATA ZAPEWNIĄ STAŁE OTRZYMYWANIE
 „KWARTALNIKA ARTYSTYCZNEGO”

Warunki prenumeraty:

Cena prenumeraty rocznej:

krajowej – 35 zł³ zagranicznej – 25 euro; 30 USD

Cena za egzemplarz archiwalny (wraz z wysyłką³):

krajowa – 9 zł³ zagraniczna – 6 euro; 8 USD

Wpłaty prosimy kierować na konto:

Wojewódzki Ośrodek Kultury PKO SA II Oddział³ Bydgoszcz
 68 1240 3493 1111 0000 4305 7874 „Kwartalnik Artystyczny”



Fot. Iwona Burdzanowska/Agencja Gazeta

Julia Hartwig

Albo

Mówią że gdyby im było dane
przeżyć to wszystko po raz drugi
nie zmieniliby niczego
a przecież nie mają się za szczęśliwych
pogodzili się więc z życiem
i zdążyli pokochać siebie

albo też pojęli pod koniec
że nie jest lepsze życie
które nie zna trosk
I choć pociąga nas lekkość i niefrasobliwość
coś musi ważyć na wadze
na której położą nasze istnienie

Tym, którzy

Tym, którzy mówią: Słodka jest Noc,
odpowiadam:

Jej słodycz jest zapożyczona od Ciemności i Ciszy.

Tym, którzy mówią: Noc jest pełna Grozy,
odpowiadam:

Groza Nocy zapożyczona jest też od Ciemności i Ciszy.

Dusza Nocy jest wyobcowana
i niezdolna do przyjaźni z nikim.

Julia Hartwig

26 listopada 2009 roku w sali przy Krakowskim Przedmieściu 87/89 w Warszawie odbyła się uroczystość wręczenia Nagrody Polskiego PEN Clubu im. Jana Parandowskiego dla

JULII HARTWIG

Uroczystość prowadził Prezes Polskiego PEN Clubu Władysław Bartoszewski, laudację wygłosiła Iwona Smolka, a wiersze czytała Laureatka.

Serdecznie Julii Hartwig gratulujemy!



Fot. Ryszard Krynicki, Norymberga, luty 2009

Hans Magnus Enzensberger

Bez względu na straty

Jedni mogą być miłośnikami,
inni gniewni, kapryśni, albo całkiem po prostu
nie do pojęcia. Skąpych bogów jednakże nie ma.

Kiedy się zatroskani pytamy,
czy nasz stan konta, zapasy na zimę,
grosz, uciulany na czarną godzinę, i woda, wystarczą,

to dla nich te parę miliardów Dróg Mlecznych,
w tę albo we w tę, nie czyni większej różnicy.
Wszystko to tylko zimne ognie dla ich rozrywki.

Tak roztrwaniają swoje życie, i nasze,
czerpiąc bezwzględnie z pełni,
gdy my tu naszą zupkę warzymy na małym ogniu.

Problemy

1. Są problemy.
2. Są dwa rodzaje problemów.
 - 2.1. Są problemy rozwiązywalne i nierozwiązywalne.
 - 2.1.1. Są problemy rozwiązywalne, co do których daje się udowodnić, że są rozwiązywalne.
 - 2.1.1.2. Są problemy rozwiązywalne, co do których nie da się udowodnić, że są rozwiązywalne.
 - 2.1.2. Są dwa rodzaje problemów nierozwiązywalnych.
 - 2.1.2.1. Są problemy nierozwiązywalne, co do których nie daje się udowodnić, że są nierozwiązywalne.
 - 2.1.2.2. Są problemy nierozwiązywalne, co do których da się udowodnić, że są nierozwiązywalne.
3. Są to problemy, które ludzkość od początków próbuje rozwiązać.

Ciężkie walizki

Skąd się wzięły te wszystkie walizki na podwórzu,
do kogo należą? Kto je tutaj przytaszczył,
odstawił, pozostawił, poukładał jedną na drugiej,
kto o nich zapomniał? Staromodne walizki
obdrapane, spękane,
obwiązane sznurkami.
Chociaż skóra jest jeszcze dobra, niegdyś
pewnie aż lśniła, a połamany zamek
błyszczał się złoto na wystawie.

Co mają znaczyć te wszystkie walizki na naszym podwórzu?
Cóż to jest, w środku? Owe skarpetki, owe peruki,
ów pamiętnik, ten w poduszeczce do igieł ukryty diament –
żeby mi nikt się nie ważył dotykać tych rzeczy!
Tu nie ma co liczyć na znaleźne.
Spody uchwytów są giętkie.
Tak wiele rąk, przez które przeszły.
Tutaj nikogo. Tylko walizki.

Żeby odwyknąć

Ona jest tak wrażliwa, biedactwo.
Jedno kose spojrzenie, jedna odmowa,
jakieś drobne nieprzyjemności – ja
nic sobie z tego nie robię, lecz ją
byle co może zrazić.

Już się czuje zraniona,
żali się, grozi migreną.
Potem znowu się boczy,
udaje głuchą, nie ma ochoty,
odgrywa nieodgadnioną.

Tak, ta wieczna zrzęda
działa mi często na nerwy.
Ale co mogę zrobić?
Nierozdzielni jesteśmy,
póki nas śmierć nie rozłączy,

moja psyche – i ja.

Wiersze z tomu Rebus (2009)

Hans Magnus Enzensberger
przełożył Ryszard Krynicki

NOTA

Hans Magnus Enzensberger, najwybitniejszy współczesny poeta języka niemieckiego, urodził się 11 listopada 1929 roku w Kaufbeuren w Bawarii. Dzieciństwo spędził w Norymberdze. W latach 1949–1954 studiował na uniwersytetach w Erlangen, Fryburgu, Hamburgu i na Sorbonie. Debiutował w roku 1957 tomikiem *verteidigung der wölfe* (obrona wilków). W roku 1960 wydał (wznawianą do dziś) antologię współczesnej poezji światowej *Museum der modernen Poesie*. W latach 1965–1975 redagował pismo „Kursbuch”, które wywarło wielki wpływ na niemieckie pokolenie 1968. Współzałożyciel kultowego magazynu kulturalnego „TransAtlantik” i jego współredaktor (1980–1982). Od roku 1985 do 2007 redagował wspólną serię „Die Andere Bibliothek” („Inna Biblioteka”), w której ukazywały się m.in. niemieckie przekłady książek Ryszarda Kapuścińskiego. Niektóre swoje książki publikował pod pseudonimem Andreas Thalmayr, m.in. antologię *Das Wasserzeichen der Poesie* (Znak wodny poezji, 1985). Miłośnik, zbieracz i znawca starego malarstwa, ale też wybitny znawca matematyki; w roku 1997 opublikował książkę nie tylko dla dzieci *Der Zahlenteufel* (Diabeł liczbowy, tłumaczenie polskie Barbary Tarnas ukazało się w roku 2002). Wynałazca automatu do układania wierszy. Stowarzyszenie Matematyków Niemieckich (DMV) w roku 2006 na jego cześć nazwało pewną płaszczyznę algebraiczną Gwiazdą Enzensbergera (Enzensberger-Stern). Najnowszy, dwunasty indywidualny tom jego wierszy *Rebus*, ukazał się w kwietniu tego roku, jak zwykle nakładem Wydawnictwa Suhrkamp.

Pierwszy mały wybór jego wierszy, zredagowany przez Jana Prokopa (i zatytułowany rzeczowo *Poezje*) w Polsce ukazał się w roku 1973, w serii „z gołąbkim” Państwowego Instytutu Wydawniczego. W roku 2001 Wydawnictwo Literackie wydało obszerny dwujęzyczny wybór jego poezji (*Utwory wybrane*) w przekładzie Jacka St. Burasa i Andrzeja Kopackiego. Andrzej Kopacki jest też autorem rozprawy *Liryka Hansa Magnusa Enzensbergera* (1999).

Wkrótce w Wydawnictwie a5 ukaze się nowy wybór jego poezji *Spotkanie innego rodzaju*.

R.K.

Z okazji dwudziestolecia WYDAWNICTWA A5

Państwu Krystynie i Ryszardowi Krynickim

serdecznie życzymy następnych dwudziestolec, tak samo świetnych jak te, które były.

CUDA SIĘ ZDARZAJĄ!

JERZY ANDRZEJEWSKI



Głosy i glosy w 100. rocznicę urodzin Jerzego Andrzejewskiego

Julia Hartwig

O Jerzym Andrzejewskim

Kiedy wspominam Jerzego Andrzejewskiego, wydaje mi się, że znałam go od zawsze. Dopuszczając kogoś do przyjaznego zbliżenia, Jerzy powierzał mi się z ufnością, niekiedy nawet na wyrost. Zdawałam sobie zawsze sprawę, ile jest stopni w hierarchiach przyjaźni Jerzego i jak szeroko były one zakrojone. Lista obecności byłaby tu długa i urozmaicona. Przyjaźnie trwałe i przyjaźnie krótkotrwałe, może nawet czasem w wyniku pomyłki zawarte, a wśród nich znajomi, znajome, znajomi starsi i całkiem młodzi, należący do całkiem chyba osobnej kategorii. Mówię wyraźnie o przyjaźniach, pomijając wątek erotyczny, który najpewniej niektórym przyjaźniom towarzyszył. Jerzy był pod tym względem bardzo dyskretny, ale napięcie, jakie można było w nim wyczuć w towarzystwie wybranych osób, zdradzało go dostatecznie. Był zresztą człowiekiem, który rzadko korzystał z maski, miał usposobienie zmienne i dawał temu wyraz.

Naszą przyjaźń – myślę tu o sobie i o Arturze, bo kiedy widywaliśmy się, to zazwyczaj w trójkę – zaliczyłabym do tych na średnim, lecz trwałym stopniu zbliżenia, najbardziej przypominającym dobre stosunki rodzinne. Wie-

czory, jakie spędzaliśmy wspólnie podczas pobytu w Oborach, wypełnione były rozmowami, najczęściej związanymi z wydarzeniami chwili, wszyscy bowiem wciągnięci byliśmy przez całe lata, aż do umęczenia, w tok życia publicznego, z jego okresami lodowcowymi lub, z rzadka, odwilżowymi. Szlachetną niespodzianką, jaką nam sprawił Jerzy, był jego pamiętny list w sprawie interwencji naszych wojsk w Czechosłowacji. Następnym krokiem było jego przystąpienie do KOR-u. Oba posunięcia narażające go na wielkie ryzyko pisarskie i osobiste; mogli go zamknąć, mogli odciąć od publikowania książek, z wszystkiego tego musiał sobie zdawać sprawę; przeważał głos honoru i poczucie, że nadszedł czas na protest.

Oba te fakty zaskoczyły nas i nadały Jerzemu Andrzejewskiemu w naszych oczach nowego wymiaru. Nie znaleźliśmy go, co prawda, w okresie szaleństwa partyjnego, przyjaźń nasza przypadła na czas jego całkowitego wytrzeźwienia politycznego i coraz to bardziej utwierdzającej się w nim wrogości do „systemu”. Z poglądami tymi się nie ukrywał, co wystarczyło, nawet jeszcze przed sprawą czeską i przed wejściem do KOR-u, że władze bezpieczeństwa zaczęły intensywnie zajmować się jego osobą. Najbardziej zaskakujące były tu reakcje Jerzego. Całkowicie świadom, jak wygląda jego sytuacja, zachowywał się tak, jakby go to nie dotyczyło, był ponad to, nie szukał też z tego powodu poklasku przyjaciół, a „dla obcych ludzi miał twarz jednakową”, że pozwolił sobie zacytować Słowackiego. Odwagi mu nie brakło, bo podobnie zachowywał się w niebezpiecznych sytuacjach podczas okupacji niemieckiej. Natrafiwszy kiedyś na jednej z warszawskich ulic na łapankę, w momencie, gdy przechodnie w panice zaczęli uciekać do bram, kryjąc się, gdzie się da, Jerzy Andrzejewski – podobno akurat z parasolem w ręce – spokojnie kroczył dalej ulicą, nie zaczepiany przez nikogo, po czym równie spokojnie wsiadł do pustego tramwaju, którym dojechał na Żoliborz, gdzie wówczas mieszkał. Można by uznać, że było to zachowanie nienormalne, urągające rozsądkowi, ale taki właśnie był Jerzy, który poza odwagą, miał jeszcze w takich przypadkach łut szczęścia. Podobnie podczas ewakuacji Warszawy po upadku Powstania, znalazłszy się w strzeżonym przez niemieckich żołnierzy tłumie warszawiaków, opuszczających z rozkazu okupanta miasto, niepostrzeżenie wysunął się z żoną z szeregu, odszedł w bok i uniknął w ten sposób obozu, gdzie niewątpliwie znalazłby się wraz z innymi.

Wracając jednak do wspominków mniej odległych: najczęściej i najbardziej regularnie spotykaliśmy się z Jerzym w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych w Oborach, w tak zwanym Domu Pracy Twórczej. Najczęściej w porze jesiennej i zimowej, kiedy panujący tam spokój i pustka sprzyjały pracy i pisaniu. Jerzy lokował się zazwyczaj w „piątce”, w narożnym, dwupokojowym apartamencie z łazienką, mieszczącym się w tak zwanej oficynie, my rezydowaliśmy na piętrze, w pokoju narożnym o dwóch oknach, z widokiem na park. W „piątce” Jerzego panowała zawsze imponująca schludność i porządek, szczególną uwagą obdarzane było biurko, którego blat przecierał Jerzy ostentacyjnie ściereczką, popatrując na nas, z tym swoim trochę diabelskim uśmiechem, przy którym lekko drżały mu nozdrza. Rozmowie towarzyszyły zazwyczaj trzy kieliszki, po które sięgaliśmy w sposób budująco umiarkowany.

Inaczej bywało na obchodzonych uroczystości imieninach Jerzego, w jego mieszkaniu na Pradze, gdzie gromadziło się zawsze mnóstwo gości w różnym wieku. W miarę ubytku w butelkach alkoholu, w salonie rósł hałas, w obszernym holu młodzież rozpoczynała tańce. Zapamiętałam Basię Baranowską i Andrzeja Żuławskiego, wywijających bardzo zgrabnie rock and rolla. Rolę gospodyni domu sprawowała żona Jerzego, Maria, asystowały gościom ich dzieci, Marcin i Agnieszka, wówczas nastolatki. Z żoną Jerzego, Marią, a dla mnie i dla zaprzyjaźnionych Marysią, zbliżyłam się z okazji jej przyjazdu do Paryża, w okresie, kiedy mieszkalam tam przez czas dłuższy, korzystając z gościny naszych francuskich przyjaciół.

Do Paryża jechała Marysia Andrzejewska po raz pierwszy, toteż Jerzy polecił ją mojej opiece, czego chętnie się podjęłam. Z podobną prośbą zwrócił się również do Maisons-Laffitte, oczywiście nie do Jerzego Giedroycia, ale do Zygmunta i Zosi Hertzów, z którymi był zaprzyjaźniony. Pamiętam, że obejrzelśmy w czwórkę słynny film Jules et Jill Truffauta, z zachwycającą Jeanne Moreau. Film bardzo mi się podobał, ale został ostro skrytykowany przez Zosię.

Ten, kto czytał Rok myśliwego Miłosza, z cytowanych tam listów Hertza do Miłosza, niejednego dowiedzieć się może o Andrzejewskim i jego pobycie w Paryżu w latach 1959–1960. Ciekawie jest porównać te opinie Hertza, zapisane w swobodnej wymianie listów nie podlegających cenzurze, z wrażeniami samego Andrzejewskiego, zanotowanymi w jego Dzienniku paryskim

wydanym przez „Kwartalnik Artystyczny”. Ten dwustronny ogląd niejedno mówi nam o tym, jak niewdzięczna i, co gorsza, niepełna jest wiedza biografów, jeśli może się oprzeć tylko na źródłach jednostronnych.

Marysia zamieszkała w hoteliku w pobliżu teatru Odéon i Parku Luksemburskiego, więc w samym sercu miasta. Bardzo nam się dobrze po tym Paryżu chodziło, czy też przemieszczało, autobusami i metrem. Do muzeów i na koncerty wyprawiała się samodzielnie, towarzyszyłam jej jednak w wędrówkach po Montmartrze i Montparnassie, których znajomość zawdzięczałam samotnym, pieszym wędrówkom, typowemu flanowaniu – po śladach Apollinaire’a i Nerval, bohaterów moich biografii.

W spacerach i poznawaniu miasta była nie tylko niestrudzona, ale i entuzjastyczna. Nie zadawałyśmy się modnymi kawiarniami na Saint Germain, o wiele ciekawsze były kafejki du quartier, które z przykładną regularnością odwiedzali mieszkańcy tej samej ulicy, a nawet tej samej kamienicy. Tam też, przy kontuarze, toczyły się codzienne pogawędki i spory dotyczące spraw lokalnych i polityki. Typowe dla tych maleńkich knajpek było to, że jego goście nie zasiadali nigdy przy stolikach, ale gromadzili się przy kontuarze. Przy kontuarze piło się i rozmawiało lepiej, choćby dlatego, że wymiana zdań w grupie znajomych bywa żywsza i częściej okraszana żartami, a także dlatego, że nieodzownym rozmówcą był zawsze patron, czyli właściciel lokalu. Trzeci powód, a być może należałoby go wymienić jako pierwszy, to ten, że przy kontuarze płaciło się mniej niż przy stoliku.

Zazwyczaj zamawiano „rouge”, bez wdawania się w gatunek, ale równie często, co zauważyłam w małym bistro przy Rue de Seine, wybór padał na „un petit marc”, który jest odmianą mocnej wódki „ludowej”, przypominającej w smaku nasz rodzimy bimber. Pragnąc dostarczyć Marysi trochę mocniejszych wrażeń, zamówiłam dla nas dwa kieliszki marca, żeby miała się czym pochwalić po powrocie do Warszawy. Kobiety bowiem rzadko zamawiają ten trunek, choć w tym pięknym mieście nałogowych alkoholiczek nie brakuje.

„Takie były zabawy, spory w owe lata...”, kiedy udało się już wychynąć z kraju na krótkie wyzwolone wakacje w normalnie żyjącym świecie. Marysia należała do tych podróżnych, którzy potrafią zapomnieć na chwilę o utrapieniach, do których wrócą i cieszyć się dobrem, które z niewiadomych powodów zostało im na określony czas przydzielone. Była wdzięcznym odbiorcą

moich zwierzeń na temat tego miasta, napomkniesz o ulubionych malarzach i poetach. Z wykształcenia muzykolog, była osobą skromną i wolną od wygórowanych ambicji, oddaną pracy zawodowej, domowi i dzieciom. Nie wiem, czy Jerzy, pochłonięty pracą pisarską i swoimi przyjaźniami, poświęcał jej dostatecznie wiele czasu i uwagi, ale już samo życie u boku pisarza i człowieka tak wrażliwego jak Jerzy, musiało zarazić ją bakcylem sztuki.

Ten paryski pobyt Marysi był dla mnie szczególnym przeżyciem: „wprowadzanie w Paryż” wskrzesiło wspomnienie spędzonych tu dni młodości. Po powrocie do Warszawy widywałyśmy się już niewiele. Nic nie przypominało tamtych beztroskich i bogatych dni, czas pożerały zajęcia zawodowe. Po śmierci Marysi nie powróciły już imieninowe święta Jerzego, dom trzymał się już tylko dzięki gospodarnej ręce i serdecznemu oddaniu pani Uli, która już za życia Marysi zastępowała ją w obowiązkach gospodarskich.

Jerzy coraz bardziej zamykał się teraz w domu, stany depresyjne próbował leczyć alkoholem, niestety, z fatalnym skutkiem. Choć z przerwami, ale przecież ciągle, pisał. Miał głowę nieustannie pełną planów, jego twórczość odzwierciedla stan jego umysłu, wciąż poszukującego, jego pisarstwa tak różnorodnego, nawet w wyborze stylu, że trudno dopatrzeć się w nim jakiejś konsekwentnej kontynuacji. A przecież wybrał sobie za mistrza Tomasza Manna, któremu nawet różnorodność podejmowanych tematów nie przeszkodziła w budowaniu wyrazistej jedności dzieł. Pewnego dnia załamany duchowo Jerzy zrzucił z biurka stojącą tam od lat fotografię Manna. I nigdy już jej tam nie postawił.

Zdaję sobie sprawę, że choć Jerzy nie odmówiłby mi nazwania naszych stosunków przyjaźnią, to przecież nie były to stosunki aż tak bliskie, bym mogła mówić swobodnie o jego osobowości. Pomieszenie pewnej dziecięcości z próżnością, powagi i namiętności z humorem, niestudnie stało się przedmiotem żartów, jakie stroił sobie z niego Zygmunt Hertz w swoich listach do Miłosza. W tym połączeniu cech tak zdawałoby się niezgodnych z sobą, krył się jeden z dramatów tego na wskroś uczciwego, serdecznego i znającego skalę wartości człowieka. Żal, że jego przyjaźń z Miłoszem tak zbladła, kiedy minął okres ich młodości. Listy jakie wymienili z sobą w tamtych czasach są z pewnością ważkim przyczynkiem do poznania tych pisarzy i rzucają światło na żywą wówczas dla nich problematykę. Zachowało się trochę anegdot i opowieści o ich przyjaźni podczas okupacji. Żart stoi tam

na niepoślednim miejscu. Podobnie zaciekała mnie przyjaźń Miłosza z Czechowiczem w międzywojniu, o której zachowało się trochę anegdot, również o ich zabawnej „korespondencji” prowadzonej na wyrwanych z notesu karteczkach podczas długich i nudnych posiedzeń w radio, gdzie pracowali. Dziś bibliofil czy zbieracz za posiadanie tych karteczek oddałby niejedno. Mnie osobiście rozbraja to wszystko, co w języku, jakim posługiwali się w rozmowach i listach Andrzejewski i Miłosz pochodzi z Kubusia Puchatka Milne’a – świetnie przełożonego przez Irenę Tuwim – który został przez nich niejako odkryty; po czym zabawne zwroty z tej książki weszły w powszechne użycie. Pamiętam, że słownictwem tym z upodobaniem posługiwała się na co dzień także Anna Turowiczowa.

Umieszczenie Andrzejewskiego przez Miłosza w Zniewolonym umyśle i charakterystyka jego postaci mogłyby stać się dostatecznym powodem zrujnowania przyjaźni łączącej dwóch pisarzy. To, że tak się nie stało, było zasługą Andrzejewskiego, który przyjął ten fakt spokojnie, niemal tak jakby nie o jego osobę chodziło. A przecież doskonale rozumiał, co pod tą postacią się kryje. Widać uznał racje pisarskie, bo potraktował sprawę wielkodusznie.

Ktokolwiek znał trochę bliżej Andrzejewskiego, nie mógł nie wiedzieć o skrytej, lecz czasem dającej o sobie znać ambicji Jerzego, by stać się w literaturze i w życiu społecznym autorytetem moralnym. A to właśnie było jedno z tych pragnień, które nigdy nie zostało i nie mogło być spełnione, było bowiem sprzeczne z jego temperamentem i charakterem. Wszystko mówiło „Nie” temu pragnieniu: jego wolnomyślność i niestałość przekonań, pewien rodzaj kapryśności, której ulegał w swoich stosunkach z ludźmi, wreszcie swoboda obyczajowa. Znał siebie i swoje ograniczenia i cierpiał nad nimi, stąd okresy depresji i alkoholizm, w jaki popadł w ostatnich latach życia. Posiadł w zamian zalety, które budziły szacunek i zdobyły mu względy przyjaciół: był człowiekiem dobrym, o czułym sercu – co jest nieczęste – pomocnym w potrzebie i lojalnym przyjacielem, a nade wszystko niebo obdarzyło go świetnym talentem, wrażliwością i jasną inteligencją. Zdobył sławę jednego z najwybitniejszych prozaików współczesności. Dał się przy tym kochać a nawet podziwiać. Zdawałoby się: czego chcieć więcej?

Julia Hartwig

Antoni Libera

Wesele, którego nie było. O Miażdze Jerzego Andrzejewskiego

W 2002 roku, po blisko czterdziestu latach burzliwych kolei losu, powieść, która powstawała co najmniej siedem lat, po czym pozostawała niewydana przez kolejne siedem, a następnie była wydawana czterokrotnie, za każdym razem w nieco innej wersji, ukazała się w końcu w formie ostatecznej i pomnikowej: w krytycznym wydaniu Biblioteki Narodowej. Warto przypomnieć tę historię.

Początek lat 60. Czas względnej swobody i narastającej inercji; smętny zmierzch popaździernikowej euforii i kielkująca tęsknota za kolejną odnową i większym otwarciem na Zachód. Zgrzebna – „mała” – stabilizacja i rodzący się ferment intelektualno-społeczny, który miał eksplodować w Marcu '68 i Grudniu '70.

Jerzy Andrzejewski był w owym czasie u szczytu swej pisarskiej kariery. Zekranizowany przez Wajdę Popiół i diament, a zwłaszcza opublikowane kolejno Ciemności kryją ziemię (1957) i Bramy raj (1960) przyniosły mu wielki rozgłos i pozycję. Miał pięćdziesiąt kilka lat i był na ustach wszystkich. Jego książki tłumaczono na liczne języki (rzecz w owym czasie prawie bez precedensu), wyjeżdżał za granicę (co też było dość rzadkie), należał do ścisłej czołówki. Poza tym świetnie wyglądał: wysoki, szczupły, „ptasi”, elegancko ubrany. Siwawy gentleman o dźwięcznym, głębokim głosie, palący gauloisy. Dowcipny, ironiczny, „tragiczny”, tajemniczy. Na dawną modłę – polski, na współczesną – światowy. Uosabiał artystę europejskiego: niezależnego materialnie, podróżującego po świecie, skupionego na sobie, zatroskanego losem ludzkości. A jednocześnie zaangażowanego po dobrej stronie: sygnatariusz głośnego Listu 34 przeciw zaostroszonemu kursowi polityki kulturalnej władz.

Podziw i oczekiwanie

Ten obraz wyostrzył się i w pełni wyklarował w latach 1963–1964. Pisarz wyjechał wtedy na kilka miesięcy do Paryża, skąd przywiózł początek nowej

powieści – Idzie skacząc po górach – którą następnie w brawurowym tempie i stylu ukończył w Oborach pod Warszawą. Powieść ta stała się sensacją. Pierwszy 10-tysięczny nakład wykupiono w niespełna dwa tygodnie. (Gdyby panowały wówczas zasady wolnego rynku, książka ta sprzedalaby się bez wątpienia w dziesiątkach tysięcy egzemplarzy, a może nawet przekroczyłaby setkę.) Spełniała bowiem w sposób nieomal idealny literackie oczekiwania ówczesnej krajowej publiczności. Popularni, bestsellerowi autorzy zachodni prawie nie byli tłumaczeni. Znana była głównie, i to też selektywnie, francuska lewicująca literatura „egzystencjalistyczna” i czołowe pozycje amerykańskiej „wielkiej trójcy”: Faulknera, Hemingwaya, Steinbecka. Andrzejewski zapełniał tę lukę. Dostarczał powieść nowoczesną, acz nie awangardową; żywo, inteligentnie napisaną; dziejącą się na Zachodzie; opowiadającą o słynnym, czołowym artyście tamtego świata (Picassie) i targowisku próżności, które go otacza; zawierającą nadzwyczaj śmiałe, jak na Peerel w owym czasie, sceny erotyczne, a zarazem mówiącą momentami tonem poważniejszym o skomplikowanych relacjach między sztuką a życiem, artystem a moralnością. Wreszcie, co nie bez znaczenia, wprowadzał do utworu wdzięczny akcent polski, karykaturując zabawnie Marka Hłaskę i włączając epizodycznie jego postać do akcji.

Niebywale się to podobało. I choć w recenzjach nie zabrakło akcentów krytycznych (że to wszystko powierzchowne, pod publiczność, małpujące wzory zachodnie), nie miało to większego wpływu na powszechnie entuzjastyczną recepcję. Książkę kojarzono z kultowym wówczas Słodkim życiem Felliniego i filmami francuskiej Nowej Fali; podziwiano autora za dowcip i swadę narracyjną; cieszą się, że mamy pisarza i utwór dotrzymujący kroku współczesnym trendom zachodnim; marzono, aby pisał tak dalej i... aby w podobny sposób opowiedział teraz coś, co dotyczyłoby naszego podwórka – co działałoby się w kraju.

Projekt

Andrzejewski doskonale wyczuwał te oczekiwania. Sam zresztą miał ochotę tak pisać. Był przekonany, że po wielu latach poszukiwań i prób odnalazł wreszcie swój ostateczny idiom. Miała nim być pełna ironii proza realistyczna, oscylująca między groteską a liryzmem, satyrą a wzniosłością. I chciał właśnie w tej wypracowanej w toku wielu lat poetyce stworzyć syntetyczny

obraz dwóch rzeczy: powojennej Polski i samego siebie na tym tle. Z jednej więc strony, miał to być jak gdyby nowy, odkłamaany i bezkompromisowy Popiół i diament, a z drugiej, odparabolizowane, odarte z historycznego kostiumu liryczno-osobiste Bramy raj. Słowem, suma: narodowo-publiczna i jednostkowo-egzystencjalna.

Punktem odniesienia w myśleniu o tym przedsięwzięciu stało się Wesele Wyspiańskiego. Cóż bardziej wyrazistego i bogatego w znaczenia w literaturze polskiej jak archetyp wesela! Kochajmy się Mickiewicza, Na wsi wesele Dąbrowskiej, Ślub Gombrowicza, dopiero co powstałe Tango Mrożka. Andrzejewski pragnął wpisać się w tę tradycję. Postanowił wymyśleć i opisać współczesne polskie wesele – wesele reprezentatywne, czyli takie, przez które przemawia duch czasu – i wtopić w ten obraz swój autoportret jako współczesnego Poety: pisarza-sumienia-narodu.

Tym razem na ślubnym kobiercu miała stanąć para aktorów: on, pierwsze nazwisko scen warszawskich, człowiek w sile wieku, inteligentny i dobrze wychowany, ale i nieco zepsuty, z elementami cynizmu, łasy na poklask i karierę; ona, młodsza od niego, nieledwie startująca, dość prymitywna i chytra, córka wysokiego dygnitarza partyjnego. Wybór takich protagonistów zakładał konfrontację elity kulturalnej kraju z elitą władzy. A wymowa tej konfrontacji miała być szydercza i gorzka: polska inteligencja, po latach zmagania, klęsk i niespełnionych nadziei, pełna autoironicznych grymasów i racjonalizacji, idzie na żalony kompromis z komunistyczną władzą, którą wewnętrznie gardzi; władza z kolei, choć butna i pewna siebie, nie wyzwoliła się z kompleksów, płynących z niskiego pochodzenia i nieprawowitości, i pragnie się wskutek tego dowartościować przez „salon”, którym zresztą też gardzi, jakkolwiek w inny sposób.

Ta gorzka, ponura diagnoza miała być jednak zrównoważona pewnym akcentem jaśniejszym, poniekąd optymistycznym. Tyle że – estetycznie – niebawale przewrotnym. Otóż do tego wesela miało nie dojść.

W tym miejscu powstawał dość osobliwy problem w rodzaju kwadratury koła: jak pokazać coś, co ma się nie odbyć? Jak opowiedzieć historię, do której nie dochodzi, która się nie staje, która nawet w porządku fikcji się nie dzieje? Andrzejewski okazał się tutaj całkiem pomysłowy: postanowił mianowicie naprzód opisać weselne przyjęcie tak, jak mogłoby ono przebiec, gdyby przebiegło w ogóle, a następnie przedstawić wypadki,

które spowodowały, że jednak do niego nie doszło, oraz zdarzenia, które je zastąpiły. A zatem miał zamiar stworzyć fikcję dwojakiego rodzaju: pierwszą, jak gdyby podniesioną do potęgi, i drugą, już zwykłą, tradycyjną. Tak pomyślana całość miała zaś nieść znaczenia w trojaki sposób: poprzez świat przedstawiony warunkowo, poprzez świat przedstawiony konwencjonalnie i wreszcie poprzez fakt, że świat przedstawiony warunkowo nie staje się jednak światem przedstawionym konwencjonalnie. Pomysł niewątpliwie ciekawy, a jak na owe czasy niezwykle nowatorski.

Rzut pierwszy

Pierwszym widowym znakiem powstawania utworu było ukazanie się zapowiedzi jego fragmentów na okładce „Twórczości” w kwietniu 1965. Wywołało to – jak pisał o tym piętnaście lat później Tomasz Burek w „Zapisie” – „sensację, falę sprzecznych pogłosek, pytań i komentarzy”. (Nawiasem mówiąc, pokazuje to, jak silnie przeżywano wówczas sprawy literatury, jak się nimi emocjonowano.) Podekscytowani czytelnicy musieli jednak jeszcze czekać aż osiemnaście miesięcy, zanim ich ciekawość, przynajmniej w jakimś stopniu, została zaspokojona. Zapowiedziane fragmenty ukazały się bowiem dopiero w październiku 1966. Publikacja przynosiła niewielki ustęp części I, zatytułowanej Przygotowanie (fikcja warunkowa), i obszerniejsze fragmenty części II – Prologu (fikcja konwencjonalna), a cały materiał poprzedzała krótka nota autora, wyjaśniająca ideę utworu i zagadkowo napomykająca o trudnościach, jakie towarzyszą jego narodzinom. Akcja dzieje się tu w dniach 14–16 maja 1965.

Jeśli zapowiedź tej publikacji wywołała „sensację itd.”, to trudno znaleźć słowa na opis rezonansu, wywołanego nią samą. Październikowy (żółty) zeszyt „Twórczości” był nie do dostania, przechodził z rąk do rąk, osiągał potrójne ceny w antykwariatach. Szczęśliwi zaś jego posiadacze nierzadko stawiali go sobie na półce obok innych książek Andrzejewskiego (a nie w szeregu kolejnych numerów „Twórczości”). Rzecz była stałym tematem dyskusji literackich i rozmów towarzyskich. Cmokano, zachwycano się, przepowiadano, że oto rodzi się na naszych oczach kolejne arcydzieło literatury polskiej. Jan Błoński na łamach „Życia Literackiego” w artykule Forma „Miazgi” zadawał pełne nadziei pytanie: Czyżby polski Doktor Faustus?

Słodka przygoda młodości...

W tym czasie chodziłem jeszcze do szkoły. Niemniej cały ów szum na wyżynach ówczesnego warszawskiego Parnasu nie tylko do mnie docierał, ale i wzbudzał stosowną do wieku fascynację. Miałem sprecyzowane zainteresowania, żyłem literaturą, to był mój główny świat. A książki Andrzejewskiego, zwłaszcza *Bramy raj* i *Ldzie skacząc po górach* zajmowały w nim miejsce z pewnością uprzywilejowane. Nic więc dziwnego, że i fragmenty *Miazgi* stały się dla mnie „kultowe”. Podzieliłem bez reszty powszechną opinię i fascynację tą prozą. Chodziłem z egzemplarzem „*Twórczości*” po Nowym Mieście i infantylnie sprawdzałem, czy Andrzejewski ściśle opisał drogę powrotną Nagórskiego do domu – tyłami ulicy Freta. Do barku hotelowego „*Bristolu*”, gdzie dzieją się niektóre sceny, nie miałem śmiałości wejść, nie mówiąc o barku nocnym. Śledziłem też ruch uliczny wokół słynnego pisuaru na placu Trzech Krzyży. Znałem całe zdania, a nawet akapity na pamięć. Bawiłem się w dopisywanie brakujących scen. Ćwiczyłem pastisz.

Tymczasem mijały lata, a *Miazga* w formie książkowej ciągle nie wychodziła. Krążyły słuchy, że autor przerwał nad nią pracę, zniechęcony kradzieżą notatek i szkiców, do jakiej doszło podczas jego pobytu we Frankfurcie. Inni mówili, że popadł w depresję, cierpi na niemoc twórczą i pije.

Z tego wieloznacznego cienia Andrzejewski wyłonił się dopiero w 1968, publikując w paryskim Instytucie Literackim – jako pierwszy autor krajowy pod nazwiskiem – *Apelację*, a po wkroczeniu wojsk Układu Warszawskiego do Czechosłowacji, ogłaszając list otwarty do Eduarda Goldstücker, przewodniczącego tamtejszego Związku Pisarzy, z wyrazami solidarności. Było to już jednak zupełnie inne „objawienie się” niż dawniej; i inny był już zupełnie w owym okresie kraj – po wstrząsach wypadków marcowych i wszczętej przez PZPR antysemitkiej nagonce i antyinteligentkich ekscesach. Postępowanie Andrzejewskiego wywołało u władz istną furię. Znieważano go publicznie, odsądzano od czci i wiary; jego twórczość, włącznie z *Popiołem* i *diamentem*, który należał do lektur szkolnych, objęto całkowitym zakazem druku.

Poruszony całą tą sytuacją, napisałem do niego list z wyrazami uznania i podziękowaniem za postawę. W tym momencie nie znałem go osobiście. Odpowiedź otrzymałem na wiosnę 1969, tuż przed moimi 20. urodzinami (byłem wtedy na drugim roku studiów). Andrzejewski dziękował mi za sło-

wa wsparcia i proponował spotkanie. Gdzie? Jakże by inaczej: w hotelowym barku „Bristolu” – tam, dokąd jeszcze niedawno nie miałem odwagi pójść na „wizję lokalną”.

Nasza rozmowa szybko zesła na Miazgę. Zrobił wtedy posępną minę i powiedział, że nie dokończy tej powieści. Po pierwsze, kradzież owych notatek całkowicie go zablokowała; po drugie, rozwijająca się rzeczywistość go ubiegła i przerosła (katastrofa, którą był przeczuwał, oto się ziściła, i to znacznie poważniej, niż myślał); a poza tym – i tu zaczął już racjonalizować swą niemoc – książki tej właśnie nie trzeba kończyć, ma pozostać fragmentaryczna, urwana, zarzucona. „Jaki świat, takie dzieło” – wywodził. „Miazgowaty świat można, a nawet należy wyrazić tylko miazgowatym utworem.”

Na tymśmy się rozstali. Ja jednak – z miłości do literatury, czy raczej do tego fikcyjnego świata, który mnie wówczas, nie wiem dlaczego, jakoś urzekał czy frapował – nie dałem za wygraną. I napisałem szkic (wykorzystałem go przy okazji jako pracę roczną na polonistycę), w którym zaanalizowałem ideę niedokończenia i wyłuszczyłem, na czym polegałoby, a ściślej: powinno by polegać jej urzeczywistnienie. Najkrócej: chodziło mi o to, że niedokończenie czy amorficzność Miazgi powinny być „zrobione”, z premedytacją przeprowadzone, a nie przypadkowe czy usankcjonowane przez przypadek. I wysłałem ten elaborat do Autora. Po paru miesiącach znów się do mnie odezwał i podniecony oświadczył, że – choć dosyć zawile rzecz wyłożyłem – pojął szczęśliwie, o co mi chodzi, a co więcej, że przyznaje mi rację i zamierza zastosować się do moich sugestii. To nie wszystko. W dowód wdzięczności za „nieocenioną terapię”, akcję powieści przenosi na 19 kwietnia 1969 roku – dzień moich 20. urodzin (dzień 19. kwietnia miał się w przyszłości okazać dniem Jego śmierci!) – i wprowadza do niej postać będącą moim portretem. Co więcej, chcąc upamiętnić tę historię naszego spotkania, rozmów i „zapisanej mu przeze mnie recepty”, zamierza włączyć do tekstu nieco zmodyfikowany mój pierwszy list do niego – jako list postaci będącej moim odbiciem do Adama Nagórskiego, będącego jego autoportretem; i wreszcie, prosi mnie, abym napisał swoistą parodię samego siebie (czyli owej pracy o nieskończonej Miazdze) w formie eseju o najnowszej książce... Adama Nagórskiego, którą jest monolog umierającego Leonarda da Vinci.

Nie taję, że po tej enuncjacji nogi lekko się pode mną ugięły. Skonfundowany, wyjąkałem jedynie: „Ale przecież tej książki nie ma”. Rozbawiony

odrzekł: „No oczywiście, że nie ma! Jak by była, to bym cię o to nie prosił. Kto jest specjalistą od nie napisanych książek, ja czy ty? Mogę cię jednak pocieszyć: mam tytuł! Rzecz nazywa się Ostatnia godzina. Chciałem kiedyś coś takiego napisać, ale oczywiście nie napisałem. Teraz ty napiszesz to za mnie w formie streszczenia i omówienia i... prześlesz Nagórskiemu w dzień swoich urodzin. Na pewno sprawi mu to przyjemność”.

Miałem zatem zrobić coś podobnego, co wkrótce zaczął z wdziękiem uprawiać Stanisław Lem w *Próżni doskonałej* (1971): napisać szkic na temat fikcyjnej książki; streścić ją, sproblematyzować, porównać z innymi dziełami (fikcyjnego) autora, zarysować jego sylwetkę.

Przyjąłem zlecenie i – wywiązałem się z niego.

Przełom lat 1969–1970, aż do sierpnia tego roku, kiedy to Andrzejewski definitywnie *Miazgę* ukończył, był jednym z najdziwniejszych okresów w moim życiu. Oto w ciągu dość krótkiego czasu z marzyciela, błędnego młodzieńca nieco naiwnie zauroczonego literaturą, stałem się tej literatury animatorem, postacią książki, którą dopiero co traktowałem jako całkowicie „zewnątrzną” wobec mnie i jako już jednak dokonaną (mimo niedokończenia), a wreszcie swoistym jej współautorem. Zdawałem sobie sprawę, że jest to przygoda niezwykle rzadka czy nawet jedyna w swoim rodzaju. Owszem, bywały wypadki, że ktoś zafascynowany czyjąś twórczością stawał się z czasem bliskim znajomym wyróżnianego autora i przedmiotem jego opisów, a nawet współpracownikiem, ale z reguły dochodziło do tego w kolejnych dokonaniach i pracach. Mnie przydarzyło się to w „czasoprzestrzeni” powstawania jednej książki. Los u schyłku wczesnej młodości ofiarował mi spełnienie dzieciennego, nieziszczalnego marzenia o wejściu w fikcyjny świat powieściowy.

... i gorzki smak zawodu

Ten euforyczny nastrój i słodkie poczucie, że się uczestniczy w czymś wielkopomnym, zaczęły się wkrótce rozpraszać. Z tygodnia na tydzień, w miarę jak Andrzejewski posuwał pracę naprzód, stawało się dla mnie jasne, że rzecz nie rozwija się właściwie i w dobrym kierunku, że – mimo nośnej zasadniczo formuły dziennika wplecionego w tekst i uwzględnienia w świecie przedstawionym rzeczywistości pomarcowej – dzieło to, zamierzone, bądź co bądź, jako wielowarstwowe dzieło sztuki z aspiracjami „głębi”, stacza się

w publicystykę i błazenadę, kuleje myślowo i pełne jest rażących mielizn. Nie mogłem jednak już nic zrobić. Moja rola była skończona. Zresztą, nawet gdybym w tym stadium zdobył się na krytykę, nie sądzę, bym został wysłuchany. Rzecz toczyła się własnym życiem – niczym kula śnieżna po zboczu, rosnąc i pochwytyjąc w siebie wszystko, co pojawiało się na jej drodze. Wreszcie – 19 sierpnia 1970 – w 61. urodziny Autora tekst został ukończony. Ponad pięćset stron maszynopisu.

Parę miesięcy później, gdy całość była już przepisana na czysto, Andrzejewski ofiarował mi rękopis i tzw. pierwszy maszynopis z odręcznymi poprawkami. Pamiętam dojmujące, lecz głęboko skrywane poczucie goryczy i smutku, jakie mi w tym momencie towarzyszyło. Miałem zupełną jasność: sama przygoda – owo rzadkie, niewiarygodne wręcz przejście z rzeczywistości w iluzję i z powrotem, owo dotknięcie „mitu” i dreszczyk realnego wpływania na jego kształt – była nieporównanie bardziej wartościowa i wzbogacająca, niż efekt artystyczny, jaki ją uwieńczył. Dzieło było chybione. Słyszałem w sobie szyderczy głos, przedrzeźniający pamiętne ostatnie zdanie wstępnej noty z „Twórczości”: „Trudno, wesela nie będzie!”.

Rzeczywiście, nie było, i to w żadnym z możliwych wymiarów. Andrzejewski, z początku zdeterminowany, aby Miazgę, w ślad za Apelacją, wydać niezwłocznie u Giedroycia w Paryżu, uwikłał się (został uwikłany? przez może i życzliwych, lecz niekoniecznie najlepszych doradców) w absurdalne negocjacje z PIW-em (co w owym czasie oznaczało: z wydziałem kultury KC, a nawet z Biurem Politycznym), w których kompletnie się pogubił. Mamiono go, że po dokonaniu „nieznaczących skrótów, koniecznych ze względu na sojusz z ZSRR” (w istocie chodziło o ponad pięćdziesiąt stron tekstu), powieść ukaże się w kraju. Andrzejewski przystał na to. Publikacji jednak dalej nie dawano zielonego światła. Wtedy wpadł on na całkiem już kuriozalny pomysł, aby książkę wydać jednak w Paryżu, ale... z dokonanymi przez cenzurę skrótami, „żeby pokazać tym łobuzom z KC, że ma honor”. Odwodziłem go od tego, jak umiałem. Na próżno. Redaktorzy „Kultury”, usłyszawszy o tym, myśleli, że zwariował. I raz na zawsze, dość gniewnie, zamknęli sprawę. „Opiekunowie” z PZPR oczywiście tylko na to czekali. Pod koniec 1972 roku pisarz otrzymał oficjalne pismo, że Miazga się nie ukaże.

Cała ta gra była z pewnością jednym z największych błędów, jakie Andrzejewski popełnił w życiu. Utwór, choć generalnie chybiony, miał jednak

wiele szans na ożywiony rezonans. Gdyby Autor, tak jak był zamierzał, wydał go od razu w 1970 roku w Paryżu, odniósłby z pewnością spektakularny sukces. Książka byłaby czytana w Wolnej Europie; przemycano by ją do kraju jak relikwię; doczekałaby się rychło przekładów, i to na wiele języków. Bo to, o czym mówiła, i w jaki sposób mówiła, było wtedy wciąż aktualne, a proste słowa prawdy o „przodującym ustroju” i „umiłowanym Kraju Rad” działały jak dobroczynne lekarstwo. Tymczasem dziewięć lat później, kiedy rzecz ukazała się wreszcie w powielaczowym wydaniu NOW-ej, panowała już zupełnie inna atmosfera i całkiem innymi kodami się porozumiewano. Miazga przeszła mało zauważona. Za chwilę miała wybuchnąć „Solidarność”.

Ale i to jeszcze nie koniec jej perypetii. W 1981 roku, na fali wolności, wywołanej Sierpniem '80, sprawa wróciła na wokandę: PIW sam wystąpił z propozycją wydania, wszelako... w dalszym ciągu w formie drastycznie okrojonej. W stosunku do wydania NOW-ej sprzed dwóch lat, a także do wydania londyńskiej Polonii, które ukazało się tymczasem „bez wiedzy i zgody autora” (za to z licznymi błędami), był to bulwersujący krok wstecz. Andrzejewski jednak zgodził się na te warunki. Czytelnicy, nawet ci najbardziej mu przychylni i wierni, nie kryli zdumienia i rozczarowania.

Pełna, zredagowana przeze mnie wersja, ukazała się dopiero w 1992 roku w Pulsie. Pracowałem nad tą edycją z wewnętrznymi oporami i ze ściśniętym sercem. Doprowadziłem jednak sumiennie rzecz do końca, spłacając dług Autorowi za niezapomnianą chwilę złudnego szczęścia w młodości.

W 2002 roku ukazała się ostateczna, krytyczna edycja Miazgi w Bibliotece Narodowej, bardzo rzetelnie opracowana przez Annę Synoradzką-Demadre. Jej ponad stustronicowy wstęp, w którym autorka pieczołowicie rekonstruuje całą tę historię i komentuje wszelkie jej aspekty, czyta się jednym tchem – jak pasjonujący reportaż.

Zdumiewające zjawisko! Legenda narodzin i porażki dzieła, które chciało być wielkie, lecz nie wyszło, przerosła je i przetrwała, stając się czymś samoistnym i jeśli nawet nie bezwzględnie wartościowym, to z pewnością pouczającym. Taki jest casus Miazgi.

Antoni Libera

Krzysztof Myszkowski

J.A.

„Malutki Jonasz, w czerwonym płaszczyku, z gestem podzięką wychodzi na groźny, ciemny świat _____

_____”

Tak kończy się Miazga. To mógłby być dobry początek. I to jest dobry początek.

Dwie dedykacje: na egzemplarzu wydanym przez Niezależną Oficynę Wydawniczą Nowa, „Zapis” 1979, tom 1: „Krzysztofowi/też swego rodzaju Grę z cieniem./J.A./Warszawa, 9.1.1980” i w ocenzone wydaniu PIW-owskim z 1982 roku: „Krzysztofowi/J.A./4.4.1982”.

Jerzy Andrzejewski zmarł w nocy z 19 na 20 kwietnia 1983 roku w Warszawie.

Mszę pogrzebową u Świętego Boromeusza na Powązkach odprawił ksiądz Jan Zieja. Był pełen kościół. Przy grobie tłum, transparenty, kwiaty, wieńce i szarfy, przemówienia, podniosły nastrój, hymn, znaki V i kręcący się szpicle. Kilka kroków ode mnie stał Kuśniewicz. Potem z Agnieszką, Kazikiem Henczelem i Andrzejem Wróblewskim pojechaliśmy do „Kameralnej”. Vis-à-vis, w księgarni PIW-u, wystawiona była fotografia z czarną wstążką.

Proteusz zniknął i nie zniknął z powierzchni ziemi.

Duch Andrzejewskiego, jak duch Prusa czy Berenta, związany jest z Warszawą. Pisarz warszawski, tak powiedział o nim Miłosz. Dodałem: polski, może nawet europejski, a on na to: warszawski.

To jest jego główne miano. Nie katolicki, partyjny czy opozycyjny, nie moralista i nie egzystencjalista, ale pisarz warszawski. Urodził się 19 sierpnia 1909 roku w Warszawie i spędził w niej większość życia. W dzieciństwie

i w młodości mieszkał na Zielnej 7, nieopodal Marszałkowskiej, w kamienicy, która zajmowała rozległy kwartał pomiędzy Złotą, Wielką i Zielną, w czasie okupacji na Bielanych, na Schroegera 87, a po wojnie, na Pradze, w alei Świerczewskiego 53, dziś alei Solidarności.

Jak zaczęła się nasza historia? Najpierw były Bramy raju, przeczytane w 1975 roku w Gdańsku w obskurnej budce wartowniczej i ołśnieniu. Karkołomny, napisany jakby jednym tchem monolog w formie jednego zdania, z mottem z Dziejów powszechnych Schloessera o dziwnej wyprawie krzyżowej dzieci do świętego grobu Chrystusa. Pielgrzymi i pogański świat, święte mury, bramy i baszty Jerozolimy i rojący się grzech, wiara i miłość i seks, żądze i niehamowane namiętności, spowiedź i świętokradcza kpina, parodia spowiedzi, wzlot i katastrofa, czystość i niewinność i zazdrość, kłamstwo i droga na przepaść, ognie piekielne i działająca łaska, oddanie i poświęcenie i nędza pychy i egoizmu, modlitwy i święte pieśni i złe, bluźniercze słowa. Czarne krzyże, białe chorągwie i różnokolorowe feretrony. Powołanie najwyższe i działanie diabła, który mówi, że „nie kłamstwa, lecz prawda zabija nadzieję”.

Dokąd zmierza pochód, który idący na jego czele mnich nazywa pochodem „szaleństwa, szaleństwa i niewinności, szaleństwa i żądz, żądz i kłamstw”? I kim jest ten, który go prowadzi i ginie wdeptany w ziemię przez pątników? Jest sługą Boga, czy diabła? Do bram raju ich prowadzi, czy do czeluści piekła?

Wchodzą w noc i idą dalej. Czy wyjdą na światło?

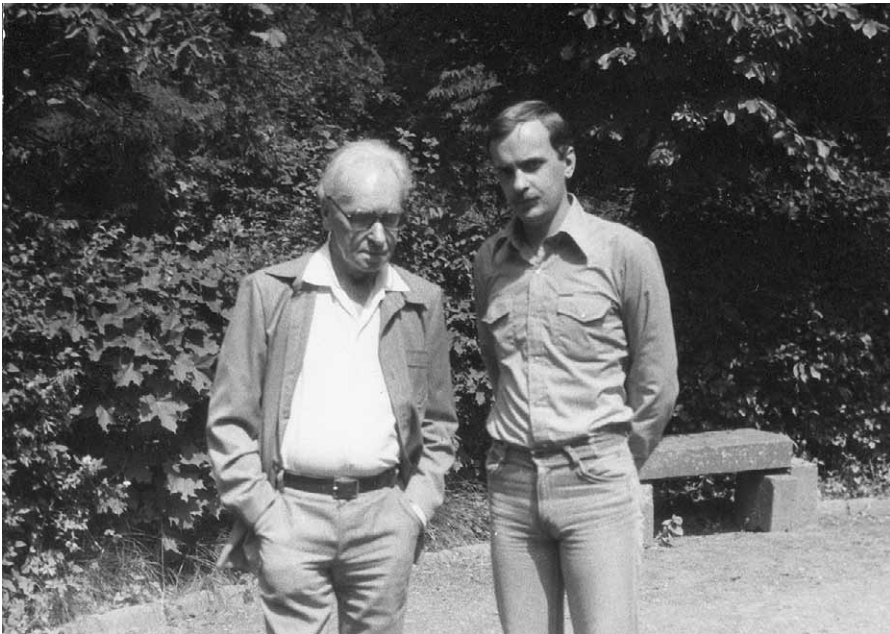
Są opuszczeni i zagubieni, ale, jak mówi narrator, „z nieszczęść, z cierpień i z zagubienia rodzi się pragnienie wiary, z tych samych zatrutych źródeł kształtuje się wiara”. Czy tak jest? I czy rzeczywiście „pragnienie nadziei jest ważniejsze od nadziei”? Z czym wiąże się ich nadzieja? Czego pragną i do czego dążą?

We współczesnej prozie polskiej nie spotkałem takiej opowieści; po latach podobne wrażenie zrobił na mnie Pamiętnik z powstania warszawskiego Mirona Białoszewskiego. Bramy raju były jak objawienie. To objawienie nie zaistniało w próżni. Grunt był już przygotowany. Od jesieni 1972 roku, studiowałem wtedy nawigację w Wyższej Szkole Morskiej w Gdyni, czytałem publikowany na ostatniej stronie „Literatury” dziennik literacki Jerzego Andrzejewskie-

go Z dnia na dzień, a potem dalej w wojsku, w fatalnej sytuacji, ratując się z niebezpiecznej opresji.

Na początku, chociaż jest to już drugi, a właściwie trzeci początek tej historii, byłem wtedy studentem toruńskiej polonistyki, był list. Adres Andrzejewskiego usłyszałem w rozgłośni Radia Wolna Europa podawany w związku z działalnością Komitetu Obrony Robotników, którego był jednym z założycieli i postacią sztandarową, najbardziej znaną. Był początek października 1977 roku, napisałem list i niemal odwrotną pocztą przyszła odpowiedź z zaproszeniem do złożenia wizyty w Warszawie.

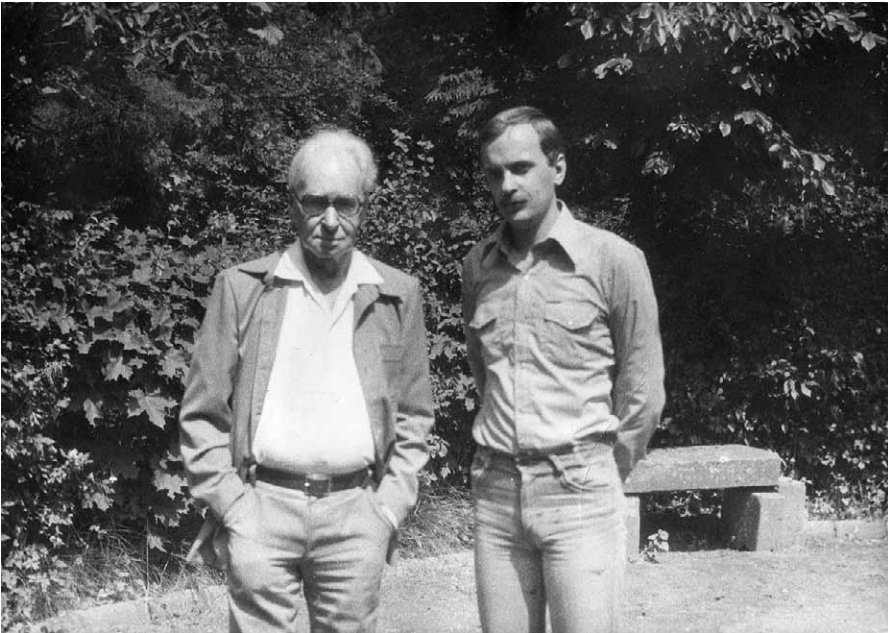
„Warszawa, 10.11.1977./Drogi Krzysztofie,/dziękuję za list, listy tego rodzaju nie mogą pisarza nie cieszyć i nie pokrzepiać, zwłaszcza, jeśli akurat niedomaga się na siebie samego i na świat. Obawiam się, że znajdzie mnie Pan w trochę innej postaci, aniżeli Pan sobie wyobraża. Ale, oczywiście, jak najchętniej ujrzę Pana u siebie. Zasadniczo każdy dzień Pana przyjazdu jest dla mnie do przyjęcia, proponowałbym jednak przyszłą sobotę, 19-tego, mógłby Pan zostać i na niedzielę, moje mieszkanie, jak na stosunki warszawskie



Jerzy Andrzejewski i Krzysztof Myszowski, Obory, lipiec 1978

ogromne i żyjemy w nim tylko we dwójkę z córką, nie zrobi Pan żadnego kłopotu. Aż się roześmiałem, gdy przeczytałem datę dnia Pana urodzin, dziewiętnastka od najdawniejszych czasów towarzyszy różnym bliskim mi ludziom i sprawom. Wcale nie ukrywam, że w stosunku do niektórych cyfr mam stosunek bliski sferom magii. Myślę, że w tzw. zabobonach więcej niekiedy mieści się mądrości, aniżeli może się to wydawać uzbrojonym w «szkiełko i oko».

Telefon 19-82-61 – dobry, a ponieważ ostatnio prawie wcale z domu nie wychodzę, może Pan dzwonić o każdej porze, tyle że wieczorem nie później niż do dziesiątej, bo potem telefon na noc wyłączam. I przepraszam, że mój list taki nieskładny i suchy, ale miewam dość często moje myślenie tak drewniane, że potrafię je ożywić w mówieniu, natomiast całkiem jestem bezradny wobec tej drętwoty, gdy zaczynam pisać. To chyba rodzaj choroby zawodowej. Powiem więc tylko, że Pana list przyniósł mi dużo ciepła, a ono prawie zawsze jest potrzebne tym, którzy dobrowolnie wybierają samotność. Do zobaczenia zatem, czekam na wiadomość./Jerzy Andrzejewski.”



Fot. Krzysztof Iwaszkiewicz

19.11.1977 roku jechałem do Warszawy z wielką ciekawością. Telefon z dworca i jazda taksówką na drugą stronę Wisły. Narożny dom, wejście do bramy, potem na lewo i po schodach do góry, na pierwsze piętro. Mieszkanie nr 4, podwójne wejście, drzwi na wprost i z lewej strony, dzwonek, otworzyły się, te na wprost i wszedłem do środka. W dużym, cieniście przedpokoju zobaczyłem J.A. po raz pierwszy i coś dobrego zaistniało między nami.

Gabinet J.A. (trzecie drzwi po lewej stronie – najpierw była kuchnia, potem pokój Janusza), wypełniały ustawione pod ścianami półki z książkami. W lewym rogu u góry, nad przykrytym huculskim łożnikiem tapczanem, nad którym były półki z dziełami m.in. Balzaka i Manna, wisiał obraz Nachta-Samborskiego Martwa natura z butelką chianti (ok. 72x100), na wprost stało oddalone od okna tak, żeby można było wygodnie siedzieć, krzesło i biurko, przed nim fotel i drugi fotel przy wystającym z półki blacie, na lewo od wejścia i tam często siedział Andrzejewski. Na okiennym parapecie, nad kaloryferem, rósł bujny aloes, a okno zacieniały drzewa, chyba topole. Na drzwiach, które od przedpokoju oddzielała gruba zasłona, wisiał plakat kalendarsowy Starego Teatru. Na biurku był idealny porządek: gdy wziąłem położony tam długopis, żeby coś zapisać i po chwili odłożyłem dokładnie na to samo miejsce, ale odwrócony w drugą stronę, J.A. zaraz poprawił jego położenie i bardzo mi się to podobało. Miał idealny porządek wokół siebie. Powiedział, że ma tyle nieporządku w sobie, że wszystko dookoła musi mieć w idealnym porządku.

W tym pokoju żyło się literaturą. Na wyciągnięcie ręki znajdowały się najważniejsze dzieła literatury polskiej i światowej. Tu Andrzejewski pisał, czytał i rozmawiał z nielicznymi już w tamtym czasie gośćmi. Dla mnie te spotkania i rozmowy były pierwszym tak bezpośrednim zetknięciem się z pisarzem i jego światem. Wiedziałem, że Andrzejewski to zwierzę literackie. W Z dnia na dzień zamieszczał uwagi o czytanych książkach, zapisy dotyczące prac pisarskich, cytaty, parafrazy i monologi, monodialogi, pomysły i notatki do opowiadań i opowieści, fragmenty autobiografii. Raz po raz w wyborze lektur kierowałem się jego wskazaniem: w ten sposób dotarłem do monografii Schweitzera o Bachu, Paintera o Prouście, czy Schorera o Sinclairze Lewisie, do powieści Fontane, listów Krasińskiego, Sienkiewicza, czy Flauberta. Dzięki niemu zacząłem słuchać Mahlera, Schuberta i Lutosławskiego.

Obok gabinetu był większy pokój. Na środku, na dywanie, stał okrągły stół i wokół niego cztery krzesła. Na drzwiach wejściowych wisiał plakat z Prometeusza. Na prawo były drzwi do następnego pokoju, a za nim, w amfiladzie, jeszcze jeden pokój. Za drzwiami, na wprost, stał okrągły stolik, na którym leżał stos „Twórczości” i „Dialogów”, za nim tapczan, nad którym wisiał obraz, a u jego wezgłowia, prostopadle do ściany, półka z książkami. Po lewej stronie, od wejścia, stał inkrustowany okrągły stolik, nad którym wisiał obraz, a na nim ustawiony był wazon z suchymi kwiatami i leżały zeszyty „Ruchu Muzycznego”. Na tym stoliku J.A. napisał Bramy raj. Obok był fotel i dalej, na całą ścianę, półki z książkami. Za nimi, na prostopadłej ścianie, znajdował się kaloryfer, nad nim grafika, dalej okno i, w górnym rogu, postawione na skos półki z książkami, przed nimi biurko i krzesło, a na ścianie, na wprost, pomiędzy drugim i trzecim oknem, komoda z przycepionym z boku zdjęciem Polańskiego i fotel.

W tych wnętrzach w tamtych latach J.A. spędzał większość czasu, to było jego terytorium, jego królestwo.

Styl jego próz działał na mnie, ale był mi obcy. Napisałem w nim długie opowiadanie pt. Zakłęcia kuglarza (1978) z bohaterem ulepionym na obraz i podobieństwo J.A., ale to nie było to i dobrze to czułem. To nie był mój styl, chociaż wydawał mi się najlepszy w całej polskiej prozie współczesnej. Potem pojawił się Białoszewski i jego „szумы, zlepy, ciągi” i inne, jeszcze świetniejsze wzory: przekłady Joyce’a i Becketta.

„Zawsze marzyłem o zdaniach krótkich i zwięzłych jak pocisk wprawiony w ruch pewną ręką i podobnie, jak on, prosto zmierzających do celu, a tymczasem ku mojej bezsilności i udręce też, jakiegokolwiek tematu dotknę, natychmiast, jakbym sięgał do worka z ziarnem, obie garście mam pełne słów, duszący nadmiar rzeczowników, a przede wszystkim przymiotników i tych wszystkich innych takich i owakich, jak się tam one i oni nazywają, spirale słów, drabiny i huśtawki, i cyrkowe koła, oranżerie słów-kwiatów i słów-cieniolubnych paproci: sporofitów bezpłciowych oraz gametofitów płciowo wydolnych; ach! I jeszcze sztuczne wylęgarnie słów-jajek, och! I wcale nie małe bębenki, poręczne tamburynki, lecz ogromny tamburo grande, czyli tołumbas, pod którego skórą nie próżnia, ale wyrojenie ogłupiałych mrówek wydeptujących ścieżynki

prowadzące donikąd...” – napisał w pierwszym zapisie z 1974 roku, jakby sam sobie stawiając diagnozę, ustalając stan, jaki jest i wyznaczając kierunek dążenia.

Obserwowałem jego próby i eksperymenty, rozszczepianie narratora na JA^2 i \sqrt{JA} , skróty, sposoby konstruowania dialogów i monologów, różne montaż narracyjne. Ciekawe były jego rozważania o formie, bardzo mnie to interesowało, bo to była jakby podstawa: szukanie formy, która, oddzielona od świata, pomieści cały ten chaos i zgiełk, dobrze ujmie jego materię i ducha i ukáže jakiś wyższy sens, bez którego nic, na dłuższą metę, nie może istnieć.

Pisał: „Na przestrzeni lat ostatnich wyraźnie we mnie słabnie fascynacja oraz zainteresowanie formami klasycznie wykończonymi, wzrastają natomiast ciągoty i pokusy, aby skoro nasza wiedza jest tak bardzo ograniczona – nie skrywać jej w patetycznych gestach form gładko wypolerowanych; niech raczej naszą niewiedzę oraz kondycję usidlenia wyraża forma podobna pękniętym oczom lub rozprzężona i rozmamłana, jak gniołek zakalcowata, zamulona, bezwstydnie obnażająca naszą pokraczną naturę, pokraczną nie tylko, nie wyłącznie, bo też na swój sposób wspaniałą i wzniosłą, mimo surowych ograniczeń...”. Zdawałem sobie sprawę, że te dążenia do rozluźnienia formy, do uczynienia jej w jakimś sensie improwizacją, podobnie jak w muzyce aleatoryzm, mogą być zgubne, prowadzić na manowce. Ale przecież dawały szansę, na pewno inną od różnego rodzaju form tradycyjnych, które coraz mniej pasowały do opisów współczesnego świata i losów wrzuconych w jego wir ludzi. Andrzejewski podświadomie kierował się do Biblii – do stylu i form biblijnych (cztery jego główne opowieści mają tytuły bezpośrednio odnoszące się do ksiąg biblijnych), także do mitologii, ale moim zdaniem robił to zbyt powierzchownie, jakby w opozycji do biblijnego ducha, co nie mogło dać lepszego rezultatu (patrz: Ciemności kryją ziemię, Bramy raj, Idzie skacząc po górach, Teraz na ciebie zagłada, oraz Już prawie nic i Nikt).

W trakcie pracy nad nową prozą zanotował: „Zawsze byłem i jestem za porządkiem w sztuce, godząc się na dezorganizację oraz podejmując jej chaos tylko wówczas, gdy motywem wiodącym jest potrzeba przełamania szablonów i poszukiwanie nowego ładu”.

Ciemność, mrok, głębokości, przepaść, dno – to były jego ulubione słowa. Dodał do nich jeszcze: źródło, wibracja, przestrzeń, gwiazdy, nagość, cień, czary, miłość, woda, błysk, poświata. W związku z fragmentem Listu do Rzymian i bliźniaczym fragmentem z Wyznań świętego Augustyna zapisał: „Noc ma się ku końcowi, dzień się przybliży. Lecz jasność nie sprawi, aby nasze ciemne uczynki stały się mniej mroczne, przeciwnie: w zbroi światła ciemność się zagęszcza”.

O pisaniu i szczęściu z niego wynikającym pisał tak, jakby mówił o miłości: „Mgliste przeczucie doskonałości i równocześnie świadomość nieosiągalności”. Marzył o łodzi stworzonej na duże głębokości i o szerszym porywie. Stąd Odyseusz, motywy biblijne i odwołania do Dantego. Zaczynały go nudzić, tak mówił, wierne mu słowa, wedle których kształtował pozy i mógł skakać na bardzo szczególnej trampolinie. „Robienie literatury to nie jest żadna sztuka. To jest po prostu tak, a nie inaczej, choć – jak domyślam się – mogło być również inaczej” – stwierdzał. Potrzebna mu była jakaś sankcja ostateczna i szukał jej, ale w ciągle tych samych rewirach, nie wychodził poza nie, jakby był w nich zatrzaśnięty bez możliwości wyjścia. „Myślę, że mądrzy lekarze zamiast skomplikowanych recept powinni swoim nieuleczalnym pacjentom przepisywać wielką sztukę”, mówił. Czy wiedział, że jest to tylko jeden biegun?

Był za narracją realistyczną: jako wzór wskazywał prozę Balzaka, Dickensa, Conrada, Stendhala, Flauberta, Gogola, Tołstoja, Dostojewskiego, Czechowa, a z pisarzy polskich Prusa i Dąbrowską, podziwiał, chociaż z dystansem, Manna i Prousta, ale krytycznie odnosił się do Joyce’a i wrogo do Becketta i to było jednak osłabienie: zamknięcie się na te poszukiwania, na te drogi i osiągnięcia.

Miał świetnie opanowane różne tony i tonacje: patetyczne i ironiczne, wysokie i niskie, liryczne i groteskowe. Jak napisał Konwicki: „Znał każdy styl i potrafił każdy”. Przywiązany do tradycji XIX-wiecznej prozy epickiej i od niej zaczynający (pierwsze opowiadania, Ład serca), potrafił od niej odejść, dążąc do formy otwartej i w szerokim zakresie ją realizując (Miazga).

Wydawało się, że jego siłą były jego klęski i wynikające z nich nagłe i gwałtowne zwroty. Ale, czy nie utrudniały mu one gry, nie psuły szyków? Jakby

badał i sprawdzał, jak jest po obu stronach? Bieguny mu były potrzebne? Istnienie w „oboim żywiole”? Czy widząc, że popełnił błąd, umiał się do niego przyznać?

Zastanawiałem się, czy sztuczność stylistyczna oraz skłonność do intelektualnej kokieterii, co zarzucał Adolfowi Rudnickiemu oraz minoderia i pretensjonalność, które wymieniał jako cechy Manna, nie charakteryzowały w jakiejś mierze jego samego i jego pisarstwa. „Obcując z literaturą, zbyt często musi się myśleć: literatura!”, mówił.

Na przykład: „Od kilku dni nic. Albo prawie nic”. „Dużo – nic. Albo prawie – nic?” „Poza tym nic. (...) Też nic. (...) Także nic. (...) Poza tym nic. Lecz żeby uniknąć zbędnych nieporozumień, muszę wyjaśnić, że «owego» nic zarówno dzisiejszego, jak i z dni poprzednich nie należy rozumieć dosłownie. Jest to literacki znak umowny, coś jakby opuszczenie teatralnej kurtyny, choć w swej funkcjonalności wcale nie jest jednoznaczne.” „Ileż słów trzeba, aby nie powiedzieć nic lub powiedzieć mało, cokolwiek.” „Najchętniej leżę i patrzę w sufit.” Takich „pustych” przebiegów jest w tym dzienniku sporo: zapisy o nastrojach, niemocach, niemożności, zmęczeniu, rozstrojeniu i zniechęceniu.

Coś z Gonczarowa, coś z Becketta. „Jest to m o j a gra”, mówi. „Strach i dół i sidła nad tobą, któryś mieszkańcem ziemi.” Ciekawe zdanie, jakby na opak, usiłujące pokazać odwrócony (?) sens.

Z dnia na dzień to jednak było duże wsparcie i przygoda. Już sama forma: notatki o charakterze dziennika literackiego, z podtytułem: fragmenty notatek, czyli notatki niepełne, zawężone, może nawet kalekie. Działał Urząd Cenzury, a Andrzejewski był najbardziej znanym pisarzem opozycyjnym, autorem, z jednej strony Popiołu i diamentu i z drugiej – legendarnej Miazgi, dzieła w toku.

Silva rerum. Zapis ponad dwóch tysięcy dni, ponad tysiąc stron tekstu. Początki i ciągi dalsze długich i krótkich próz: od Sto lat temu i teraz do Już prawie nic, cykle opatrzone wymyślnymi tytułami, wspomnienia, zapisy snów, sprawozdania z lektur, koncertów i spektakli teatralnych, polemiki, apologie, pytania, głosy, wyznania, milczenia, celebracje. Dzięki tym zapi-

skom wracałem do różnych ważnych książek, a do niektórych docierałem po raz pierwszy, jak na przykład do Pamiętników Saint-Simona i kardynała Retza, Dzienników Claudela i Julien Greene'a.

Warszawa, Zakopane, Laski, Sopot, Konstancin, Obory, Kraków – z tych miejsc pisał.

W Oborach odwiedzałem J.A. Spacerowaliśmy po alejkach parku lub siedzieliśmy w pokoju i rozmawialiśmy o literaturze. Obserwowałem jego gry i rozmowy z innymi, różne inscenizacje, w niektórych brałem udział. Raz, w większym towarzystwie, zaczął mnie nagle przesłuchiwać i wcielając się w rolę śledczego (głos, mina, wzrok), zadawał pytania i nie było w tym ani przez chwilę ani cienia żartu: Dlaczego spotyka się pan z Andrzejewskim? Czy pan wie, kim jest Andrzejewski? Zdaje pan sobie sprawę z tego, jak bardzo jest to niebezpieczne? Dwa lata potem byłem przesłuchiwany w siedzibie SB w Toruniu na Słowackiego.

Opowiadał o Miłoszu, o Gombrowiczu, o Iwaszkiewicz i o Hłasce, którym się wtedy interesowałem. Pytałem o Mickiewicza i o Conrada, mówił o Mannie. Pamiętam, jak wzruszony czytał na głos fragmenty z Pism Piłsudskiego, czy po francusku wiersze Verlaine'a, zachwycając się ich brzmieniem i melodią. Szukałem dla niego brakującego tomu Kroniki życia i twórczości Adama Mickiewicza i znalazłem (myślał wtedy o opowieści o ostatniej nocy Mickiewicza przed podróżą do Konstantynopola). Dobrze pamiętam jego polityczne i historyczne monologi, które odkrywały przede mną wiele spraw w ich rzeczywiście ostrości i zakresie.

W dziennikowych zapisach polityka jest prawie nieobecna. J.A. wiedział, jakim osłabieniem pisarstwa jest wplątywanie go w doraźną grę polityczną, jak bardzo jest to poniżej poziomu sztuki i sprzeczne z powołaniem pisarza. Węzły, którymi sztuka wiąże się z polityką, to są jej najsłabsze wiązania. Nie można tego robić wprost i bezpośrednio, tak jak to było, na przykład, w latach stalinizmu. To trzeba robić inaczej. Jak? Przykładem jest Doktor Faustus Manna, czy Ulisses Joyce'a. „Nie możemy zmienić kraju, więc zmieńmy temat”, stwierdzał Joyce i pisał według Homera, i jaką to miało moc!

W gorących politycznie czasach pierwszej „Solidarności”, odpowiadając w Dzienniku na mój list, stwierdza: „Dobrze znam tych, którzy sądzą, o swoich racjach święcie przekonani, iż w chwilach trudnych i ciężkich pisarz powinien być ich błaznem, tyle tylko że w sensie całkiem odwrotnym, więc z całą powagą bijącym w bęben na alarm, spiżowym głosem podtrzymującym na duchu, mężem namaszczonym, wiernie sprawującym wzniosłą i zaszczytną służbę. Zdają się nic nie wiedzieć o funkcjonowaniu instynktu samoobrony oraz o koniecznej potrzebie egzystencji możliwie normalnej również (a może przede wszystkim) w okolicznościach trudnych. Conrad w przedmowie do Ocalenia, a może Zwycięstwa – nie mam w tej chwili możliwości sprawdzenia (w przedmowie do Zwycięstwa – przyp. mój. K.M.) – pisał, że gdyby się miał zbliżyć koniec świata – kończyłby swoje dzieło. Sądzę, że wielu moich rodaków miałooby mu to za złe.

Goya jeden ze swoich genialnych rysunków satyrycznych nazwał Gdy rozum śpi, rodzą się upiory. Jednym z takich rodzimych potworów jest wizja pisarza objuczonego jak osioł ciężarem służebnych obowiązków i popędzanego histeryczną wrzawą różnorakiej maści treserów. Nie chcę podporządkowywać się tej natrętnej i deformującej wizji. Jeśli mam być garbaty, to na własną odpowiedzialność, zresztą w przeświadczeniu, iż pisarz wówczas najlepiej społeczności służy, gdy o swej roli służebnej nie myśli maniakalnie, pod presją i niejednokrotnie na wyrost, przeciw sobie”.

Mówił, że byłby innym pisarzem, gdyby nie zaplątał się w politykę. Polityka to może być esej, patrz: Zniewolony umysł Miłosza, a nie, bezpośrednio, proza, patrz: nieudane Zdobycie władzy. I te trzy tomy dziennika są od początku do końca wypreparowane z tematyki politycznej. Jakby mówił: Powiedziałem, co miałem do powiedzenia na ten temat, a jeżeli mam coś do powiedzenia jeszcze, to mówią o tym listy protestacyjne, które podpisuję i inne moje wystąpienia oraz zaangażowanie w działania opozycyjne i każdy, kogo to interesuje, niech ocenia moje świadectwo według swoich miar.

Nie raz powtarzał, podobnie jak Miłosz: Jaki ze mnie moralista? A przecież aspekt moralny ważny jest w pisarstwie tak jednego, jak i drugiego i jest istotnym wyznacznikiem ich rangi w polskiej literaturze współczesnej.

Kiedyś powiedział, że każdy pisarz po śmierci trafia do literackiego czyścica. Mój czyściec, dodał, będzie trwał bardzo długo. I na to wygląda.

Był pisarzem przemian i metamorfoz, które, wydawało się, ćwiczył nieustannie. Taką miał wieloraką naturę i takie stylistyczne możliwości, że mógł zmieniać się prawie diametralnie. Ale za każdym razem była to tylko jedna sekwencja, pojedyncza narracja, co prawda różnymi nićmi zaplątana z całością, ale bardziej skupiona na sobie samej niż na pójściu dalej, w wyraźnie zaznaczoną stronę. I w rysującej się całości nie widać głównej osi i nie ma rdzenia, który mógłby być jej wewnętrzną i na zewnątrz oddziałującą siłą i mocą.

Kiedyś narysował koło i w nim wiele kropek i powiedział, że to koło i kropki w środku, wprawione w ruch, to jest obraz człowieka. Czy jest nad tym jakaś wyższa instancja? Czy ten ruch i układające się w toku jego działania konfiguracje, od czegoś zależą? – zapytałem. Nie – odpowiedział.

Pisał: „Jestem ulepiony z samych nieomal sprzeczności, wszystkim moim skazom i cnotom towarzyszą ich przeciwieństwa, pozostawiony samemu sobie nie potrafię korzystać z bodźców jednolitych, zdany jestem na nieustanne ścieranie się elementów sprzecznych i zawsze tak się ze mną dzieło i dzieje nadal, że skoro żywioł istnienia stygnie wokół mnie – samotna gra przeciwieństw mojej natury pogrąża mnie w obezwładniającą inercję, w stan martwej vegetacji”. I tak było. Mówił, że jest podobny do galarety. Był miomą. To była, paradoksalnie, jego słabość i siła.

Siebie i swój świat porządkował i ustanawiał poprzez literaturę. Rzeczywistość i gra – taki tytuł dał prelekcjom w Instytucie Filologii Polskiej na Uniwersytecie Warszawskim. Rzeczywistość i literatura. Jedno i drugie istniało u niego na równych prawach.

Przytacza fragment z Wyznań hochsztaplera Feliksa Krulla: „– Chodź tu! – rzekł, a gdy podszedłem doń blisko, powiedział głosem stłumionym, lecz wyraźnie: – Dom numer 92, Rue de l'Échelle au Ciel (ulica Drabiny do Nieba).

– 92, Rue de...

– Echelle au Ciel. Nie dosłyszysz?

– A to ci cudaczna nazwa!

– Cóż chcesz, jeśli nazywa się tak od stuleci? Weź tę nazwę za dobrą wróżbę! Godnaż to bardzo uliczka, tylko trochę odległa, gdzieś aż za cmentarzem, za Cimetière de Montmartre. Najlepiej będzie pójść w górę do Sacré-Coeur, bo to cel wyraźny, potem przez park, przez Jardin, między kościołem a cmentarzem, i dalej przez Rue Damrémont w kierunku Boulevard Ney. Nim jeszcze ulica Damrémont przetnie się z ulicą Championnet, zbacza w lewo uliczka Mądrych Panien, Rue des Viérges Prudentes, a od tej znów odwidła się twoja do nieba, Rue de l'Échelle. Wykluczone, abyś złądził”.

I zastanawia się, czy nie jest to najmądrzejsze rozpoznanie mechanizmu sztuki: „Najpierw dla zwykłej ciekawości sprawdziłem owe realia na planie Paryża. Dokładność była całkowita, ale... ale, żeby wiedzieć lepiej, skoro miałem po temu okazję – w pewien jesienny ranek paryski przed kilkoma laty poszedłem drogą dokładnie według wskazań, jakie Tomasz Mann zalecił swojemu bohaterowi. Wszystko się zgadzało, jak na planie. Tylko tyle, że po lewej stronie Damrémont nie istnieje żadna uliczka boczna, żadnej uliczki Mądrych Panien i ulicy Drabiny do Nieba. W pewnym momencie i nie bez powodów szczególnie ważnych Mann uznał za konieczne, aby rzeczywistość porzuciła swoje powiązania ziemskie, wstępując w wyższe regiony: fikcji. I rzeczywiście: nie te autentyczne ulice paryskie są ważne, lecz te: wymyślone”.

Rozważaniami o sztuczności i grze rozpoczyna się Gra z cieniem: „Sztuczność, choć w zależności od czasów różnie pojmowana i na odmienne stosowana sposoby, zdaje się stale, jakkolwiek nie zawsze wiernie, towarzyszyć pisarskiemu rzemiosłu. Dzisiaj i tutaj posiada ona charakter szczególnie natarczywy, także i sens, który wywiera niemały wpływ na dobór słów oraz ich wewnętrzny rytm. Więc skoro sztuczność wydaje się koniecznością wynikającą zarówno z natury rzeczy, jak i z układów uformowanych przez określony czas, może należałoby przewyciężyć niechęć, jaką budzi na skutek nacisku mamideł szczerości? I nie ukrywać, że gra jest grą? A komu ochota i ciekawość – niech śledzi zmienne reguły gry?”. Gombrowicz nie znał PRL-u i swój Dziennik ogłaszał w „Kulturze” Giedroycia. A zapisy Andrzejewskiego powstawały tu, w oku cyklonu i drukowane były w „Literaturze”, u Putramenta.

Przeżył zatrucie stalinizmem: w 1951 roku napisał broszurę O człowieku radzieckim, a w 1952 Partię i twórczość pisarza, ale szybko zaczął się wycofywać. W 1954 powstał Wielki lament papierowej głowy, a w 1955 zaczął pisać Ciemności kryją ziemię. Z PZPR wystąpił w 1957 roku. W 1963 zorganizował pierwszy w PRL-u protest przeciw ograniczeniom swobód twórczych, w wyniku którego powstał List 34. Był na pierwszej linii działań opozycyjnych: w 1968 roku jako jeden z nielicznych podpisał list do rektora Uniwersytetu Warszawskiego w obronie represjonowanych studentów, jako jedyny zamieszkały w Polsce pisarz zaprotestował przeciwko wkroczeniu wojsk Układu Warszawskiego do Czechosłowacji (dołączył do niego kompozytor Zygmunt Mycielski), jako pierwszy polski pisarz mieszkający w PRL-u, wydał w „Kulturze” paryskiej książkę pod własnym nazwiskiem (Apelacja). Był sygnatariuszem wielu ważnych listów protestacyjnych do władz (m.in. przeciwko wprowadzeniu do Konstytucji zapisu o sojuszu z ZSRR), był wśród założycieli Komitetu Obrony Robotników, był w redakcji „Zapisu” – pierwszego pisma kulturalnego wydawanego poza cenzurą, w 1976 roku w wypowiedzi dla mediów zachodnich otwarcie powiedział, że jest przeciwnikiem systemu w jego radzieckim wydaniu i była to naprawdę wielka odwaga. Spotykały go za to kary, prześladowania i represje. Prowadzono przeciw niemu działania operacyjne: podsłuch i prowokacje, wzywano na przesłuchania, nęcano telefonami i groźbami, nie wydawano paszportu, dyskredytowano publicznie, zakazywano publikacji i spotkań autorskich, a nawet wymieniając jego nazwiska w mediach.

A były to czasy, w których, także w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych, mordowano przeciwników politycznych; głośne było zabicie w maju 1977 roku studenta krakowskiej polonistyki Stanisława Pyjasa. J.A. notuje: „Głos milczenia. Bywa tak wieloznaczny, iż raz – pełen ciężkiej wymowy, raz drugi maskuje niemotę i pustkę. Zresztą nawet gdy głos milczenia jak grzmiąca lawa, nie wszyscy potrafią go usłyszeć”. W 1975 roku ukazuje się Teraz na ciebie zagłada, w 1979 Już prawie nic, a w 1980 Nowe opowiadania.

Teraz na ciebie zagłada to jakby odprysk Bram raj. Dedykacja: „Dla/Krzysztofa/J.A./Warszawa, 19.11.1977” (z odwróconą do góry nogami drugą dziewiątką). Zbudowana z dziewięciu rozdziałów-części historia

o Kainie i Ablu to opowieść o „klęsce urojonego początku”, kończąca się obrazem tęczy bram Raju i jasnowłosego Anioła z płomiennym mieczem. Tytuł wzięty z Proroctwa Ezechiela kontrapunktuje całą tę narrację jakby rozbitą, zdekonstruowaną i prowadzącą na manowce, chociaż ładunki od początku do końca były w niej ogromne: miłość, litość, ocalenie, szaleńcze opętanie i podjęcie zadania. Jakby zły duch trzymał go na uwięzi, płątał i pętał tok opowieści i spod jasnej gwiazdy początku prowadził w stronę ciemną i tragiczną – drogą na zatracenie?

„Klątwa na mnie, lecz i na ciebie przekleństwo” – mówi do Chawy Adam. Wygłasza monologi pełne żalu i rezygnacji. Gdy Abel marzy o bramach Raju i mówi o tym ojcu, ten nazywa go kusicielem, Wężem-Lewiatanem. Chawa nie pamięta Raju, a Kain mówi, że nie ma i nigdy nie było Raju i nie ma Boga i że jest tylko bezpłodna pustynia. Chawa i Kain są po stronie mroku i ciemności, nie ma w nich nadziei i nie ma wiary. A Abel ponad wszystko kocha Boga i chce wyruszyć do bram Raju, żeby się z Nim spotkać i rozmawia z Nim. Chce prosić Pana o zdjęcie przekleństwa z jego najbliższych i darowanie grzechu pierworodnego nieposłuszeństwa. Ale Chawa i Kain popełniają kazirodczy grzech, płodzą syna i brata, a potem Kain zabija Abła i ukąszony przez tarantulę przestaje być sobą, a obca i natrętna siła, która w niego wstępuje, prowadzi go, szalonego, na zatracenie.

A przecież mógł w tej opowieści nastąpić zwrot.

Ale, czy mógł?

W czasie pisania Już prawie nic notuje w dzienniku: „Smutek za siebie. Smutek za ludzi. Niechęć do siebie? Ludzie daleko? Ucieczka w słowa? Samotność słów? Samotność, czyli słabość”. A w dedykacji, cztery lata po skończeniu tej historii, napisał: „(...) wcale nie – już prawie nic”.

Umierający pisarz Hermann Eisberger toczy śmiertelne zapasy z ciemnym aniołem. Widzi ciemność i wchodzi w ciemność i idzie dalej, w ciemności. Dokąd zmierza?

Przywołuje słowa, w których Hiob przeklina Boga, cytuje Izajasza, Koheleta i świętego Jana Ewangelistę, Goethego (ze Zmyślenia i prawdy), Lwa N. Tołstoja (Śmierć Iwana Iljicza) i fragmenty z monografii Schweitzera o Bachu. Ukształtowany trochę na podobieństwo Tomasza Manna, trochę Witolda Gombrowicza, a trochę samego siebie, wydaje się być pozbawionym jasnego ducha zlepkiem cytatów i fikcji. „Do samego siebie dotrzeć najtrudniej – mówi. (...) Komu odwagi nie dostaje, ten nigdy własnej duszy nie odnajdzie.”

Układa mowę, ale widzi, że zżera ją kłamstwo i fałsz. „Czemu zatem postąpiłem niejako wbrew świadomości własnej i zamiast zaintonować ufną melodię pobożnego chorału, trąciłem struny zgrzytliwie?” Widzi niedoskonałość i fragmentaryczność swojego pisarstwa. „Zostało mi dane słowo. Lecz cóż z nim uczyniłem? – mówi – Fałszywymi kartami grałem.” Ogarnia go smutek, okrutny i wszechobecny. Marzy o podróży. I rezygnuje.

Ostatnie akordy tej opowieści rozgrywają się w zimnym i oślepiającym blasku. „Więcej ciemności” – mówi. „I stała się ciemność. W nim i poza nim. Ciemność.”

Gra z cieniem rozpoczyna się 19 grudnia 1979 roku i będzie trwała prawie do końca – ostatni zapis datowany jest na 3 grudnia 1981. A więc, licząc od pierwszego tomu Z dnia na dzień, zapiski prowadzone były przez dziewięć lat; „I jakże nie wierzyć w czarodziejskie dziwności kryjące się w cyfrze 9, mnie od zawsze w sposób szczególnie specjalny i na różne rodzaje przypisanej”. Gra z cieniem łączy się z narracją pt. Nikt – ostatnią opowieścią J.A.

W pierwszym zapisie Gry notuje: „Sztuczność, więc i gra są w pewnym sensie wyrazem gotowości moralnej, jeśli przez ową gotowość rozumieć usposobienie otwarte na poszukiwania, które na pewno nie zapewniają osiągnięć doskonalszych, lecz otwierają ku nim umysł i serce”.

Charakter tych zapisków nie zmienia się, w dalszym ciągu najwięcej jest w nich literatury. Obracamy się wśród książek. Czytam, idąc tropem jego lektur m.in.: Bloc-notes Mauriaca, Na wysokiej połoninie Vincenza, Dzienniki poufne Constanta, Podróż bez końca Naganowskiego, Podróż włoską Goethego, Cywilizację wczesnego chrześcijaństwa Simona, Listy Rilkego i Lou Andreas-Sa-

lome, Dzienniki Cybisa. Dostaję w prezencie cztery tomy Alkhadaru Edmunda Chojeckiego wydane w Lipsku przez Brockhousa w 1869 roku (w Notatkach do autobiografii opisuje przygodę związaną z pierwszym wydaniem tej książki u Brockhousa, które, z bardzo licznymi, własnoręcznymi poprawkami autora widział przed wojną w antykwariacie przy księgarni Arcta na Nowym Świecie i gdy wrócił, żeby je kupić, już go nie było) oraz Grę szklanych paciorków z dedykacją i z dodaniem: Ja już tego nie przeczytam. Pożycza mi duży tom wierszy zebranych Miłosza, wydany nakładem Uniwersytetu Stanu Michigan z dedykacją: „Jerzemu,/na pamiątkę wszystkich naszych błyskawic –/Czesław”, a potem daje pierwsze czytelnikowskie wydanie Poezji Miłosza z 1981 roku z dedykacją: „Krzysiuwi,/żeby miał swojego Litwina/J.A./Obory, 14.7.1981”. Dostawałem także różne książki wydawane przez „Kulturę” i przez „Zapis”, których wtedy nie można przecież było kupić w księgarni, ani pożyczyć w bibliotece. Jak na skrzydłach wozilem te książki do Torunia i nawet w stanie wojennym przez myśl mi nie przeszło, że mogłoby mnie spotkać coś złego (tylko raz wydarzyła się bardzo niebezpieczna sytuacja).

Oto zapisy szczególnie dla mnie ważne w tym tomie dziennika: „Nie dowierzam, aby w zakresie sztuki można było własne doświadczenia przekazać komuś drugiemu. Wszelkie w tej mierze doświadczenia zbiera się w samotności. A poszukiwania owych doświadczeń również mają charakter poszukiwań samotnych”. „Niedostatki oraz utrapienia udręczają ludzi na różne sposoby, a niektóre tak wymyślnie ujawniają się w powikłanym rozsianiu drobiazgów, iż niejednokrotnie na podobieństwo drobnoustrojów bakteryjnych i wirusowych trudne są do zauważenia «gołym okiem», nie atakują wprost w sposób skoncentrowany i gwałtowny, lecz ofiarę nieświadomą charakteru schorzenia zżerają powoli, za to stale.” „Mało co w sztuce prozatorskiej tak bardzo pisarza zdradza jak styl, któremu twórca każe być stylem.” „Często tyle jesteś wart, ile warte są twoje pytania.” „Pamięć nas kształtuje i wywiera wpływ na nasze myśli i czyny. Leczą, czy niepamięć również naszej osobowości nie tworzy, tyle tylko, że ta pierwsza poprzez swoją obecność, druga natomiast właśnie przez nieobecność, nieistnienie?” „W twórczości, podobnie zresztą jak w życiu w ogóle, nie istnieje przypadkowość i tylko nasza ograniczona świadomość każe nam za przypadek uważać to, co w istocie stwarza rzeczywiste oblicze nurtu kształtującego wewnętrzny rozwój.” „Myślę, że zarówno komizm, a i tragizm również,

wówczas najsilniej przemawiają do wyobraźni, gdy gra zasada kontrastu.” „Rzeczywiste osiągnięcie musi być także i rezygnacją.” „Jedynie słowa sakralne i uświęcone blaskiem metafizycznych światła mogą się oprzeć zniszczeniom, którym muszą ulec słowa laickie, nawet wówczas gdy niosą treści autentycznie humanistyczne.” „Myślę, iż szczególnie znaczącą pomyłkę popełnia ten, który chciałby z nikim nie wiązać własnej osobowości, egzystując w «dumnym» odosobnieniu. Owszem, jestem jedyny i niepowtarzalny, lecz nie w elementach, które mnie kształtują, natomiast w ich wyborze, natężeniu oraz układzie.” „Dobrze, jeśli pod zdaniem napisanym można znaleźć drugie, a nawet trzecie nie napisane zdanie. Przecież nie sposób wyobrazić sobie, aby każde zdanie mogło zawierać ową wieloznaczną wielowarstwowość. Czytelnik nie może co krok wpadać do lochu lub do komnaty pełnej wibrującej jasności. Najlepiej, jeśli owa «niewidzialność» utajona jest w c a ł o s c i dzieła. Wydaje się jednak, że nie istnieje recepta na spełnienie podobnego przedsięwzięcia i nigdy się ono nie udaje, jeśli jego realizacja jest zamierzona.”

Ta Gra prowadzona jest z pełną świadomością coraz wyraźniej rysującego się końca. Jest to g r a k o ń c o w a w pełnym znaczeniu tych słów: gra polegająca na wycofywaniu się z gry. Gdy się skończy, będzie można powiedzieć tak jak po obejrzeniu jakiegoś dramatu Shakespeare’a, Czechowa czy Becketta: „Nic wielkiego się nie stało, niewiele się działo, a dokonało się wszystko”.

Przychodzą na myśl błazni Shakespeare’a i Becketta, a także Prospero, Lear i Hamm, i Pan Jowialski. Zrujnowane szczątki natury, jedyni bohaterowie swoich rozpadających się światów. „Agonia komedianstwa uśmierca pisarza. Koniec. Reszta staje się rzeczywiście milczeniem”, mówi.

Jaka jest ta jego gra końcowa? Tragiczna? Komiczna? Tragikomiczna? Czy może tragiczno-groteskowa? Tragedia, czyli spojrzenie od człowieka ku pustce i komedia – od pustki ku człowiekowi. On patrzył i tak i tak. Królem był czy błaznem? A może i jednym i drugim? Lub kimś trzecim? Nie mam jasności.

„Mało co w sztuce prozatorskiej tak bardzo pisarza zdradza jak styl, któremu twórca każe być stylem”, stwierdza. Jego tonacje już nie są tak gładkie

i płynne. Styl, kadencja zdań jakby łączyły się z rytmem nierównego oddechu, uwidoczniły trudności emisji, rozrywanie toku.

Z Gry z cieniem wyłania się historia powstawania jego ostatniej opowieści – Nikt, która pierwotnie miała nazywać się Pójść dalej. 9 października 1980, po roku przerwy, wywołuje, abym przypomniał szczegóły tej narracji. Wraca do niej 26.3.81 i w pocztówce z tego dnia pisze: „Odyszeusz na skutek pewnych przyjaznych okoliczności ułożył się trochę na nową modłę. Wczoraj zacząłem pisać, dzisiaj też i coraz więcej wiem o tej całej historii, której nie dam prawdopodobnie tytułu «Nikt», lecz «Pójść dalej», to jest z Dantego, z okazji Odysa tak surowo przez poetę potraktowanego, bo umieszczonego w przedostatnim, ósmym kręgu Piekła. (...) Boże! Jak przyjemnie jest móc pisać”. 16.7.81: „Po obiedzie przyszedł mi do głowy pewien fikuśny pomysł, co zrobić z tym przeklętym Odyszeuszem i, jak na razie, wydaje mi się, że tym razem, to jest właśnie TO. Nie ma to być bierne powtórzenie schematu formalnego Miazgi, lecz coś z tego porządku nieporządku, tyle tylko, że nieporządek inaczej rozbałaganiony i odmiennie skomponowany”. 23.7.81: „Skończyłem esej o fascynacjach i wstrętach i jestem już na 20-tej stronie maszynopisu tego Twego Odyszeusza. Pisze mi się szybko i wraz to coś nowego wynika w trakcie pracy. Zachwycająca historia! Jeszcze nie wiem wszystkiego, ale mam nadzieję, że dowiem się tyle, na ile mnie stać. Módl się za tego greckiego łobuza. (...)”. 24.7.: „Wymyśliłem dużo, a dzisiaj postać trefnisia przezywanego Śmieszkiem Płaczkciem, bo i płakaniem potrafi rozśmieszać”. 26.7.81: „Prawie cały czas zabiera mi praca, Odyszeusz rozrasta się, wciskają się wątki dotychczas nie przewidywane, zatem wszystko w porządku. (...) Wstaję teraz między piątą i wpół do szóstej. Spaceruję trzy kwadranse, godzinę. O 7-ej już mogę stukać na maszynie”. 29.7.: „Zmieniłem zakończenie, wymyśliłem całą kupę spraw i powikłań całkiem nowych, ale już w tej chwili wiem prawie wszystko. Dzisiaj dobijam do 50-tej stronicy. Co za przygoda!”. 6.8.1981: „Odyszeusz przekroczył stronicę 80-tą, powinien szybko zmierzać do końca, nie wiem, czy mi się uda skończyć tutaj, lecz gdy przyjedziesz – chyba na pewno Nikt będzie przynależał do najbliższej przeszłości. Nie poznasz, co z tego wyszło. Prawie wszystko zostało przewrócone do góry nogami i ukształtowane z pomysłów całkiem nowych”. 9. 8. 1981: „Ja też jestem niezadowolony, bo już wiem, że opowieści tutaj nie skończę, jeszcze 30–40 stronic, a jest około stu. Poza tym mam kłopoty z maszyną i muszę, na razie przynajmniej, przejść na pisanie

ręczne, co mnie męczy, zwłaszcza oczy. Wracam do Warszawy w piątek (14-tego) po południu. Poprawianie tego całego Nikt będzie koszmarem, tak to sobie wyobrażam, bo pisałem zbyt prędko, aby pamiętać wszystko". 16.8.81: „Odys prawie cały czas mi zabiera, a poza tym dopiero od popołudnia piątkowego jestem w domu, a skutki zapalenia gardła wciąż jeszcze dają o sobie znać kaszlem i nadmiernym smarkaniem. Liczyłem, że uda mi się tego Nikt skończyć w Oborach, ale ostatni tydzień miałem właściwie dla normalnej pracy zmarnowany. Dochodzę w tej chwili do setnej stronicy, a mam przed sobą co najmniej ze trzydzieści, może wyjdzie trochę więcej". 18.8.81: „Po pewnych niepewnościach dzisiaj przybyłem wraz z Odysusem, Noemonem oraz Śmieszkiem Płaczkiem na wyspę Ajaja. Z czarodziejką Kirke stały się bardzo dziwne rzeczy, Noemon (16 lat) – bardzo ważny". 21.8.81: „Dochodzę do 120 str. Ale jeszcze trochę. Zacząłem korektę autorską Miazgi, bardzo dziwne odczytywać ten wylew, tę erupcję, to namnożenie szczegółów i różnorodnych intymnień". 25.8.1981, telegram: „Skończyłem wczoraj przyjeżdż kiedy będziesz mógł/Jerzy".

Dziwna to historia: jasna i ciemna, wyśpiewana i nie wyśpiewana do końca. Dobrze czy źle się kończy? Odys umiera, ale po długiej morskiej ciszy zaczyna wiać wiatr i statek może płynąć dalej, mimo, że nie ma żagla i wioślarzy. Płynąć dokąd? Nie wie tego wierny trefniś. Nad martwym ciałem swojego pana deklamuje pierwsze wersety epepei Homera. Nasila się wiatr, przyspiesza biegu Odysuszowy okręt, „lekko roztrącając głośnie ciemności".

W tej opowieści powinna prowadzić cyfra 9. Ale, czy prowadzi? Dlaczego Odysusz wyrusza w ostatnią podróż? Chce dotrzeć do czarodziejki Kirke i prosić ją, żeby mógł po raz drugi zejść do Hadesu, aby zobaczyć wszystkich swoich bliskich i powiedzieć im – no właśnie, co? Co może powiedzieć tym, którzy są już po drugiej stronie?

Narrator mówi, że wszystko w tej historii powinno dziać się w ciszy i jak we śnie, ale przecież nie dzieje się w ciszy i nie jest snem. I Odysusz, czyli Nikt, jest jak Každy. Czyż nie jest Odysusz mężem godnym wielkiej pieśni? Gdy pytają go, jak było w Hadesie, nie potrafi odpowiedzieć. Nie panuje już nad słowami tak jak dawniej, gdy wydawało mu się, że po królewsku nad nimi panuje. Jest tak, mówi, jakby stał przed wysoką ścianą. Nie wie, co jest

po drugiej stronie, ale wie, że do zniszczenia muru, który zagradza mu drogę, potrzebna jest pieśń. „Pieśń jest powolnym niszczeniem stromego muru, usuwaniem ciężkich cegieł.” I raz jeszcze podejmuje trud pieśni i trud podróży, co w jego głowie łączy się ze sobą, przeczuwając, że jest to podróż i pieśń ostatnia, jego łabędzi śpiew. Czas martwej ciszy i oczekiwania przemienia w czas opowieści. Śni niebieskość. Układa historię. Mówi do Euryklei: „Już nie wiem teraz, co snem, a co moją opowieścią. Gdzie prawda, a gdzie gra?”. Ona milczy. „Pomóż mi” – prosi Odyseusz. „ – Ja nie nadałam tobie imienia Nikt” – odpowiada Eurykleja.

Odyseusz-Nikt mówi o życiu i o śmierci, o legendach i pieśniach ulepionych „z miazgi, z materii pokruszonej i chwiejnej, z plazmy rozedrganej”. „Który z nas dwóch prawdziwszy – ten z pieśni, czy ten, którym jestem? – pyta i dodaje: Nie wszystko w mojej mowie było grą.” Śni, że biegnie w blasku, z zamkniętymi oczami, że wspina się i spada w dół, błądzi w labiryncie, z którego nie ma wyjścia: nie widzi drzwi, ale słyszy, że z wielkim hukiem zatraskują się za nim. Wsłuchuje się w ciszę i w noc, śni, czuwa, czeka niecierpliwie. Mówi, że jeszcze wyśpiewa pieśń prawdziwą. Którą? – pyta Śmieszek Płaczek. „ – Jedną. Moją” – odpowiada.

W ostatnim liście z 28 kwietnia 1982 roku, na pewno jednym z ostatnich, a kto wie, czy nie ostatnim, jaki napisał, pisze: „dopiero wczoraj przyszedł Twój długi list i trochę mi żal, że więcej w nim literatury, aniżeli zwyczajnych ludzkich uczuć, a przecież – jak Ci już wiele razy mówiłem – tylko dzięki nim może powstać sztuka zwana literaturą. Właściwie, bardzo mnie martwisz, a to dzięki stylowi życia, który – nie wiem Tobie jest przeznaczony, czasem dobrowolnie, a może nawet przechernie, a może we wszystkich wspaniałościach pisarskiej wzniosłości sam zechciałeś sobie obrać. (...)”

Jeszcze nie oddałem tekstu Gry z cieniem, bo to przecież w naszych warunkach przyszłość dość odległa, w Twoją dojrzałość, a moją starczość sięgająca. Nie gniewaj się, nie denerwuj, wprawdzie czas niczego nie łagodzi, lecz z upływem czasu krajobraz, jeśli nie może, to musi stawać się coraz to rozleglejszy i trzeba wstrzymać niekiedy w sobie oddech, aby ogarnąć te na miarę ziemską nieporównywalne odległości.

Gdybym miał inteligentnego niewolnika – być może – coś bym jeszcze zrobił z tym Heliogabalem. Ale co? I dlaczego? Pozbawiony bezpośredniego wglądu we własny tekst – trochę to jest tak, jakbym na wysokim kamieniu

stał wśród wirowiska wzbrajających rzek. Ale tylko poezja, to tylko bezsilność. Czasami mi się wydaje, że jeśli teraz nie mogę czytać i pisać – jest to sprawiedliwy wyrok wyższych losów, które prawdopodobnie – także nie posiadają pełnej świadomości

[odręczny dopisek]

(...) jeszcze wiele rzeczy chciałbym powiedzieć, lecz kończyć pora/
Jerzy”

[list pisany na maszynie, z odręcznym nagłówkiem, dopiskiem i podpisem; na kopercie pieczętki: Ocenzurowano i Urząd Cenzury 955].

Pamiętam, z jaką uwagą czytałem źle widoczne linie Miazgi w trzytomowym wydaniu „Zapisu”, które J.A. przysłał wraz z Już prawie nic na początku 1980 roku. Z Dziennika, który był jej integralną częścią, fragmenty historyczne i polityczne, na przykład przejmującą opowieść Askenazego o Łukasińskim i historię Pawła Jasienicy, Polskie życiorysy, Mszę za poetę, zapisy dotyczące spraw bieżących, także pracy nad powieścią. Całość zbudowana jest z trzech części: Przygotowanie, Prolog i Non consummatum – „możliwe możliwości możliwego”. Na koniec cytaty z Ewangelii według świętego Jana (18, 19–23) i ostatni zapis, z 19 września, o Jonaszu z obrazu Breughla z monachijskiej Pinakoteki.

Gąszcz, ale pusty gąszcz. Niedokonanie, tryb warunkowy, zapowiedź i „niedorzeczna katastrofa”. Rozryta materia, bruzdy, ruiny i zgliszcza. Jaki panuje w tym duch, jaki jest ogień, jaka pasja? Tylko błyski i błyskawice i chocholi taniec i hula wiatr.

Ale czy nie taka była peerelowska rzeczywistość lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych? Miazga. Społeczna i polityczna, duchowa i moralna. Czy nie taki był tamten świat?

To nie jest usprawiedliwienie.

Na marginesie eseju Antka R. o pisarstwie Adama Nagórskiego pt. Nie cofa się ten, kto związał się z gwiazdą, napisałem: „To nie jest tak! Niepotrzebne zawikłanie w zawikłaniu! Nie miał daru wiary – oto odpowiedź”.

Zapis J.A. zrobiony w związku z lekturą monografii Todda o Lutrze: „Nie wiedziałem, że pokuta, słowo kojarzące się z karą i winą (poenitentia), brzmiało po grecku metanoia i oznaczało odmianę serca.

Równie pojęcia nie miałem i nikt mi nigdy nie wspomniał, że pojęciem «bram raju» posłużył się Luter, gdy opisując w ostatnim roku swego życia wewnętrzne olśnienie, jakiego doznał przed laty w Wartburgu, odczytawszy zdanie z Listu do Rzymian, 1, 17: «Sprawiedliwy z wiary żyje» – pisał: «I jak przedtem nienawidziłem tych słów: <Sprawiedliwość Boża>, teraz tym silniej wystawiałem je przed sobą, tak że owo miejsce u Pawła było dla mnie niczym prawdziwe bramy raju».

Tak, brak jest w tej prozie mocnego ducha. No bo co jest lepszemu Miazgi? Gdyby zapytać: co jest lepszemu Polski? – można by odpowiedzieć: wiara, ludowa wiara. A tu są tylko ruiny i zgłiszcza, zbiorowisko fragmentów, jakby ziemia niczyja. Można powiedzieć: dzieło w toku, rzecz in potentia, rodzaj nie dopracowanego do końca raptularza. Można, ale co to wyjaśnia?

Rzeczywistość i nierzeczywistość miazgi.

W końcowych zapisach J.A. pisze o utracie wiary, że miał ją jako dziecko i potem, bardzo krótko, gdy pisał Ład serca i wyznaje: „Teraz jednak, gdy tak wiele lat i różnorodnych doświadczeń dzieli mnie od tamtych czasów – myślę niekiedy, iż wszystko, co robię i czego nie robię, wszystko, co myślę, co odczuwam, czego pragnę i czym się dręcę, wszystko, kim jestem i kim nie jestem – zostało nieodwracalnie i aż po kres mego życia ukształtowane przez wyobrażenia i normy chrześcijańskie (katolickie?)”. I dodaje: „Od najdawniejszych lat mam o pisarstwie mniemanie podwójne: w różnorodny sposób bywa ono misją i wyższym powołaniem, lecz równocześnie przepływa przez nie element kpiącego kutwiarstwa, które pod maską szczerości tak łatwo może przekroczyć granicę, poza którą istnieje sfera grzechów przeciw Duchowi Świętemu, więc przeciw samemu sobie. Zdaję sobie sprawę, że w owym zakresie szczerości też posiadam pewne hamulce, bardzo trudne do przekroczenia. Myślę wszakże, że Mauriac, właśnie dlatego, że wierzył lub wierzyć chciał – hamulce wobec owej «hulanki» posiadał miary większej aniżeli moje: prywatne. Wciąż nie wiem, czy szczerość musi doprowadzić do obnażenia się. Może w przemilczeniach kryje się właśnie ludzka kondycja? Może skrajna, więc do końca doprowadzona szczerość jest tylko wynikiem słabości i rozpacz?». Potem jest cytat z Ewangelii według świętego Jana i obrazek Jonasza.

Wiele lat później słuchałem opowieści księdza Jana Twardowskiego, jak wezwany przez Andrzejewskiego, pojechał do niego, na drugi brzeg, żeby wysłuchać spowiedzi i dać ostatnie namaszczenie i jak J.A. powtarzając za nim Credo, raz po raz zatrzymywał się i zachwycał pięknem i mocą tych słów i sformułowań. Jak dziecko, mówił Twardowski, zupełnie jak dziecko, i chyba więcej w tym stwierdzeniu było zdziwienia niż smutku czy oburzenia.

Gdy po śmierci J.A. jeździłem do księdza Jana i mieszkałem na Krakowskim Przedmieściu w małym pokoiku przyległym do Jego dwóch pokoi na pierwszym piętrze, myślałem o pobytach w mieszkaniu na Świerczewskiego i o kontraście, jaki był pomiędzy tymi dwoma miejscami i tymi dwoma ludźmi. To były dwa różne bieguny, dwa światy. I ksiądz Jan przepawił go na tamtą stronę, a po pogrzebie odprawił u siebie, u Wizytek, mszę za jego duszę.

Po lekturze Miazgi w liście do J.A. napisałem, że dzień 19 września stał się dniem moich podwójnych, trochę nieprzewidzianych narodzin. Ten dzień i mały Jonasz tak na mnie podziałali? A może właśnie te fragmenty i cytaty końcowe o wierze i o braku wiary? Być może.

Jakby odpryskiem Miazgi była napisana w 1967 roku Apelacja „autentyczna” i w swojej powszedniości niezwykła historia. Rzecz dzieje się w oddziale psychosomatycznym Szpitala Miejskiego w Toruniu. „Warstwa językowa Apelacji, to jakby Bramy rajy pisał współczesny półinteligent” – notuje w dołączonych do opowieści Notatkach szpitalnych. Ale, historia M-skiego/Koniecznego mogłaby być także jedną z historii Miazgi. To wszystko się łączy. J.A. przez całe życie, jak sam mówił, pisał jedną książkę: różnorodną stylistycznie, ale jedną i tak trzeba patrzeć na tę twórczość.

W 1980 i w 1986 roku ukazały się ciekawie skomponowane, różnorodne formalnie i stylistycznie zbiory: Nowe opowiadania, zawierające opowiadania z lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych, odczyt Wyznanie osobiste i Notatki do autobiografii (1909–1924) oraz ułożone na tydzień przed śmiercią Intermezzo i inne opowiadania, z utworami przedwojennymi i wojennymi, z Wielkim lamentem papierowej głowy, tytułowym z tomu Niby gaj i dwoma miniaturami narracyjnymi – Modlitwy i W Dzień Zwycięstwa wieczorem, które umieszczone na początku tomu poprzedniego, tu, zamykają całość.

W 1996 roku wyszły Legendy nowoczesności – listy-eseje Andrzejewskiego i Miłosza, które wymieniali między sobą w latach 1943–1944 w Warszawie – dyskusje o możliwościach i obowiązkach literatury i o świadomości zła w pogrążonym w wyniszczającej wojnie świecie. Kontekstem do nich są utwory, jakie napisali w tamtym czasie: Wielki Tydzień, Apel i Intermezzo Andrzejewskiego oraz wiersze Miłosza, które potem weszły do Ocalenia. Dalszym kontekstem tej polemiki jest rozdział Alfa czyli moralista ze Zniewolonego umysłu, napisany na przełomie 1951 i 1952 roku.

W 2003 ukazał się w Bibliotece „Kwartalnika” Dziennik paryski – zapiski z lat 1959–1960, które w 1982 roku w niebieskiej teczce wręczył mi J.A. z prośbą, żebym się temu przyjrzał. Są to listy, właściwie dziennikowe zapisy i notatki, jak sam mówi, jedyna w tamtym czasie forma mówienia „możliwie szczerego”. Co robi? Zadręcza się na paryskim bruku. „Moje dni ni z pierza, ni z mięsa – notuje – Wszystko jak we śnie.” Jeździ metrem, wchodzi na szczyt wieży Eiffla, pije Pernod w dzielnicy Łacińskiej, chodzi po St. Germain i pali gauloisy. Zwiedza muzea, planuje podróż do Włoch, chodzi do kina, przesiaduje w bistrach, spotyka się ze znajomymi (m.in. Miłoszowie, Czapski, Hertz, Wierzyński, Żuławski, Wajda, Polański), ale bywa i tak, że całe dni spędza zamknięty w pokoju hotelowym, w samotności.

Żyje, jak sam mówi, „jak niebieski ptak”, kwitnie pozorami. Ma o sobie bardzo dobre i bardzo złe zdanie, żyje zrywami, przygodami, od przypadku do przypadku. Jest zmęczony sobą, niezmiennością swojej natury, pełen zwątpień, wahań i trwóg, zobojętniony, nieczynny twórco. „Moje życie duchowe jest dość ubogie i kruche” – mówi i dla żartu czy dla smutnej prawdy (ironia) układa pięćdziesiąt akapitów, które mają zaświadczyć o intensywnym życiu duchowym autora, ale wśród nich nie ma ani jednego prawdziwie duchowego zapisu.

W całości są błyski, nieliczne, ale cenne jak na przykład pełen rezygnacji fragment: „Coraz bardziej mi się wydaje, że istniejemy w świecie stwarzanych przez nas samych fikcji, ciężko się wysilamy, aby usprawiedliwić naszą egzystencję, ale to wszystko, co czynimy, jest tylko naszą imaginacją, naszą potrzebą rozumienia i wyjaśnienia, może jedynie szczególne chwile szczęścia i udręki zbliżają nas do istotnego nurtu życia, lecz cóż? to są tylko

chwile, owe szczególne chwile, i gdy oddalają się od nas nie dalej niż na wyciągnięcie ręki – już je poczynamy przekształcać, aby nie były sobą w owej szczególnej chwili, lecz przedłużeniem, które już musi się stać fałszem”, czy zapis o pomyśle powieści w formie opętanego i szalonego monologu, uzupełnionego o kilka innych, sekundujących mu głosów, pod tytułem Pasja świętego Jana. Rzecz rozgrywa się w Paryżu, w Wielki Piątek, wokół pełnego wykonania pasyjnego arcydzieła Bacha w starym kościele Świętego Eustachego, w rozpustnej dzielnicy, o dziewiątej wieczorem. To był pomysł jakby mnie powierzony.

Dawał rady pisarskie, które mogłem konfrontować z jego dawnymi utworami i z tym, co pisał na bieżąco. Potrzebny mi jest początek i koniec, punkt dojścia, mówił. Początek opowieści porównywał do pierwszego ruchu lancetu, kiedy chirurg zaczyna operację i musi w sposób jedyny i nieomylny rozpocząć. Można nie wiedzieć, co będzie w środku, w brzuchu opowieści, ale musi się wiedzieć, co będzie na końcu. I dobrze, jeżeli już jest tytuł, który powinien być jak klucz, otwierać. Mówił, że w pisaniu nie da się wszystkiego zaplanować i że dużą rolę odgrywa pierwiastek irracjonalny. W liście z 16.7.81 napisał: „Twoje listy zawsze były mi przyjemne i ciekawe, zawsze, żebyś był i bliżej i żeby więcej o Tobie myśleć, lecz ten ostatni jeszcze mnie na dodatek po prostu wzruszył, bo przecież sam najlepiej wiesz, jak kusi mnie i urzeka pewien rodzaj ludzkiego utrapienia, oczywiście szczególnie wówczas, gdy i ów rodzaj niedostatku jest mi bliski, i człowiek nim dotknięty także. (...) Nie chcę Ci udzielać żadnych rad, najwłaściwszą znajdziesz w którymś zapisie z Gry z cieniem, o tym, jak to wielki Anton Rubinstein, gdy go młodzieńki, później jeden z najświetniejszych pianistów epoki, Józef Hofmann spytał, jak zagrać jakiś trudny pasaż, odpowiedział: «Zagraj nosem, aby tylko dobrze brzmiało». I potem dodał coś w tym sensie, iż Bóg pomaga tym, którzy sami sobie pomoc potrafią. Chociaż to nie tak, teraz sobie przypominam, to Hofmann tak sobie kwestię Rubinsteina wyjaśnił. Więc pisz nosem!

Jedyne, co mogę Ci w tej całej Twojej niełatwej sprawie, to przekazać supozycję, iż bardzo we mnie chwiejna pewność, czy tryb życia i w ogóle życie, jakie prowadzisz, jest według formuł pożywnych zarówno dla ciała, jak i dla ducha. Przyjmij, mój kochany, tę supozycję z całym mnóstwem zastrzeżeń, bo ostatecznie mało co o Twoim życiu osobistym wiem, tylko domyślam się, iż jest samotne i cierpi na pewien niedostatek «blasków

i cieni» właściwych wiekowi młodzieńczemu, jakkolwiek nie tylko jemu. Nie powiem Ci: zakochaj się, bo miłości się nie szuka, miłość zostaje znaleziona, przyłapana, uchwycona, spada, uderza, poraża, lecz nie zjawia się na zawołanie, raczej pojawia się niespodziewanie na drodze trochę tak, jak się to przydarzyło Pawłowi, choć u niego inaczej ten moment wizyjnego olśnienia rozwinął się, aniżeli dzieje się to w miłości zwyczajnej i całkiem nadzwyczajnie ludzkiej.

Pomyśl o tym wszystkim i jeśli odczujesz potrzebę, zdaj z tego relację wedle zasady, której mądry Król udzielił był Króliczkowi: «Zacznij od początku, opowiadaj po kolei, a gdy dobiegniesz do końca – zatrzymaj się». Oczywiście, może to być zwierzenie również w stylu odmiennym, na ten przykład – Miazgi”.

U niego to się zawsze tak łączyło: życie i literatura, literatura i życie.

Orbita J.A. to orbita do innych niepodobna. Byłem jego przyjacielem i kimś w rodzaju sekretarza. Przygotowałem do druku *Z dnia na dzień* i *Grę z cieniem*, za co wdzięczny dał mi oprawiony w skórę notes paryski z dedykacją oraz zamieścił specjalne podziękowanie w *Grze*. Miałem wgląd w jego różne zapisy i notatki. To był dobry człowiek i dobry pisarz, u nas jeden z najlepszych. Nie był szczęśliwy i nie był spełniony, ale kto z nas jest szczęśliwy i kto jest spełniony?

Potem odszedłem od niego, wielki wpływ zaczęli wywierać na mnie Beckett i Miłosz, ale przecież wiem, ile jemu zawdzięczam. Nie byłbym tym, kim jestem bez jego wpływu w tamtych latach, w których tak wiele się działo i tak bardzo zmieniał się świat wokół nas. Umieścił mnie w testamentie, żebym opiekował się jego spuścizną, ale jakoś nikt nie planuje wydania jego dzieł.

Pamiętam jego spokój, gdy dzwoniłem albo przyjeżdżałem podekscytowany, że coś nie wychodziło mi tak, jak chciałem albo, że nie działo się tak, jak sobie myślałem i planowałem, mówił: A dlaczego miałyby być tak, jak chcesz? I dlaczego od razu miałbyś mieć to, co chcesz? Musi być trudno, a nie łatwo. Dlaczego miałyby być łatwo? Zastanów się, Złotko. I sprowadzał mnie na ziemię, chociaż powtarzał, że trzeba podejmować się zadań trudnych i niebezpiecznych, bo jak spadać, to z wysokiego konia, nigdy z muła.

Ale jaka jest w jego twórczości, jeżeli spojrzeć na nią w całości, rada i pocięcha, jakie jest w niej światło i podtrzymanie na duchu? Jaki jest jej pułk duchowy i artystyczny? Czy jednak nie średni? Półpraktyczny pancierz stylu, formy i fikcji, czyli, jak sam mówił, przesady. I rzeczywistość, która przecież o ileż bliżej jest po stronie pasji niż literatury. On kochał literaturę i wyczuwał to we mnie. To nas łączyło. I zwyczajne, ludzkie utrapienie – jego wieku późnego i moje lat młodości.

W Grze z cieniem wspomina jak Andrzej Kijowski napisał kiedyś, że on, Andrzejewski, przerasta swoje książki, że „forma literacka jest dla niego kostiumem, maską, a nie wyzwoleniem”. „Owszem, coś w tym jest” – skwitował.

„Chciałbym kiedyś (?) napisać obszerniejszy esej o właściwościach pisarskich masek. Wcale mnie nie oburza lub gorszy, przeciwnie: raczej wzrusza, iż literatura wynika z oszukańczych sztuczek, z komedianstwa i pozy”, mówi. Czy tak powiedzieliby Miłosz i Beckett? Ile prawdy lub choćby tylko dążenia do niej jest w tak zorganizowanej grze? Jak jedno łączy się z drugim? I czy świadectwo, artystyczne świadectwo, nie ma większej siły niż nawet najlepsze maski, kostiumy i gry i czy rzeczywiście tak jest, że „błazenada świadczy o poważnym stosunku do ludzi i w ogóle do życia”?

Mnożą się różne pytania.

A jeżeli reszta nie jest milczeniem? To co wtedy?

Kto pyta, nie błądzi.

Tak uczył. Pytać i mieć wątpliwości. Raczej szukać, niż znajdować. I pamiętać, że gra to gra, a rzeczywistość to rzeczywistość, chociaż tak bardzo łączą się ze sobą. I nie budować na piasku. Szukać skały i chociaż miałyby się jej nigdy nie znaleźć, nie dawać za wygraną. Tak żyć, jak się pisze i tak pisać, jak się żyje, nie ma innej rady. Słuchać głosów w sobie i głosów innych i mieć dystans do siebie i do innych i wewnętrzną otwartość na zmiany.

Krzysztof Myszkowski

Dariusz Nowacki

Teraz na niego zagłada?

Ostatnia kwestia wypowiedziana przez Jerzego Andrzejewskiego w rozmowie z Jackiem Trznadlem jest piękna i, co tu kryć, trąci myszką: „Zna pan tę legendę, przekazywaną z pokolenia na pokolenie, że dzieło pisarza przechodzi przez czyściec i potem dopiero będzie zdecydowane, czy pójdzie do piekła czy do nieba. Oczywiście, większość idzie do piekła. Piekłem w tej dziedzinie jest zapomnienie. Tylko wybrani dostają się do nieba pamięci” (Hańba domowa. Rozmowy z pisarzami). Słowa te wypowiedział Andrzejewski we wrześniu 1981 roku. Zawsze mnie zastanawiało, czy autor Bram raju myślał wtedy o sobie jako wybrańcu, czy tylko tak mu się powiedziało – ładnie i nad wyraz kulturalnie. Trudno dziś rozstrzygnąć tę wątpliwość. Pewne natomiast jest to, że od tamtego czasu naprawdę wiele się zmieniło – również w zakresie mniemań dotyczących sukcesu i przetrwania (w literaturze).

Sądzę, że metafora czyścica, przez który musi przejść dzieło pisarza, nie ma obecnie większego lub zgoła żadnego zastosowania, i to nie tylko w odniesieniu do dorobku Jerzego Andrzejewskiego. Nie chodzi o to, że piekło niepamięci jest dziś przeludnione jak nigdy wcześniej, a szansa zamieszkania w niebie pamięci znikoma, że funkcjonujemy w kulturze literackiej, która broni się przed dopływem „nowych klasyków”, gdyż działa pod ciśnieniem niebywałej nadprodukcji dóbr lekturowych. To rozpoznania oczywiste, a najoczywistsze z nich brzmi: dziś – inaczej niż w latach aktywności twórczej Andrzejewskiego – literatury jest więcej niż czytelników. Problem dotyczy instancji pośredniej, owej poczekalni, w której – jak mówił pisarz – zapadnie decyzja.

Wyobrażenie Andrzejewskiego na temat pisarskiego czyścica – jak przystało na przedstawiciela dawnej formacji kulturalnej – posiada kontury bez mała metafizyczne. Ów czyściec jest miejscem, w którym się cierpliwie (?) czeka, aż zadziała prawo i sprawiedliwość, aż zapadnie obiektywny wyrok. „Będzie zdecydowane” – powiada pisarz. I właśnie ta bezosobowa forma wydaje się najbardziej kłopotliwa. Tymczasem – co także podpada pod oczywistość – owa decyzja zawsze jest podejmowana z punktu widzenia czyichś – indywidualnych bądź zbiorowych – potrzeb, skłonności lub uprze-

dzeń; jest nieodmiennie interesowna, „sprofilowana”, ze wszystkimi tego konsekwencjami.

Andrzejewski najpewniej był przekonany, że stawką w owej grze o pamięć będzie – jakkolwiek rozumiana – wybitność, olimpijskość, do której przecież tak zawzięcie aspirował. Wszak za życia pisarza istniała fundamentalna wątpliwość: czy jest on twórcą wybitnym, czy tylko uchodzącym za wybitnego. Po jego śmierci owa rozterka uwidoczniła się z jeszcze większą mocą. Rozwiązanie miało się pojawić w raczej nieodległej przyszłości. Do tego czasu wiadomo – czyściec.

Jednak rozstrzygnięcie się nie pojawiło i zapewne się nie pojawi. Ponieważ nie jest specjalnie istotne, czy niektóre, bo przecież nie wszystkie, dzieła składające się na spuściznę po tym pisarzu mogą lub powinny być rozpatrywane w perspektywie arcydzielności, czy on sam był artystycznym gigantem, znakomitością, przed którą uginają się kolana. Takie kategorie, jak arcydzielność, wybitność, genialność czy olimpijskość, czyli pojęcia zaczerpnięte z przedawnionego słownika wysokiego modernizmu, nie tylko na nikim (prawie na nikim) nie robią wrażenia, ale też nie są nikomu (prawie nikomu) potrzebne. Może ostrożniej i bardziej wprost – jeżeli Andrzejewski miałby być dziś i w najbliższej przyszłości czytany i komentowany, to nie z tego powodu, że owa hipoteza wybitności domaga się sprawdzenia i potwierdzenia. Mówiąc jeszcze inaczej, nie chodzi o to, czy autor *Miazgi* był pisarzem pierwszorzędnym, idzie wyłącznie o to, czy może być – dziś i jutro – pisarzem „użytecznym”. Bo też jedyną sensowną perspektywą jest tu możliwość „użycia” dzieła Andrzejewskiego, które, rzecz jasna, nie w żadnym czyścicu przebywa, lecz należy do wielkiego archiwum literatury polskiej XX wieku. Niekiedy przeczesujemy to archiwum i wybieramy z niego to i owo, zawsze – by tak rzec – po coś, nieprzypadkowo. Nikt tam nie zagląda bez wyraźnej, na ogół ukierunkowanej pragmatycznie, potrzeby. Godzi się więc zapytać, jak jest i może być „używane” dzieło Jerzego Andrzejewskiego.

Lecz czy na pewno dzieło? Raczej osoba pisarza, „sprawa Andrzejewskiego”, a więc jego dylematy i wolty światopoglądowe, jego przygody ideowo-polityczne, jego „moralność”. Nawet pobieżna i wrywkowa lektura najróżniejszych wypowiedzi, których bohaterem jest autor *Popiołu i diamentu*, prowadzi do wniosku, iż „czytanie osoby” zdecydowanie dominuje nad czytaniem dzieła. To niezwykle trwała, żywotna przez pół wieku metoda rozprawiania o Andrzejewskim. Pomijając pamiętny rozdział

Zniewolonego umysłu (1953) Czesława Miłosza, skłonność ta po raz pierwszy dała o sobie znać w latach 1956–1957, kiedy pojawiły się pierwsze próby całościowego spojrzenia na dostępną podówczas twórczość Andrzejewskiego, oczywiście ze szczególnym uwzględnieniem perypetii ideowych autora, podtrzymywana była przez trzy kolejne dekady, a za jedną z jej ostatnich odsłon – cały czas mowa o tej samej metodzie – mógłby uchodzić rozdział obszernej pracy Anny Bikont i Joanny Szczęsnej *Lawina i kamienie. Pisarze wobec komunizmu* (2006). W tymże opracowaniu część traktująca o naszym autorze została zatytułowana – jakże znamienne – *Zdzieranie katarakty, czyli rozterki i cierpienia Jerzego Andrzejewskiego* (nawiasem mówiąc, postać i czyny Andrzejewskiego zostały opisane nie tylko w tym jednym rozdziale; to bohater pojawiający się w wielu miejscach tej publikacji, nie- zwykłe „użyteczna” figura).

Trudno się dziwić tej koniunkturze – liczne antynomie, metamorfozy, samozaprzeczenia, rozdarcia i rozchwiania, czyli dość barwne, nacechowane dramatyzmem perypetie intelektualno-duchowe i polityczne, jakie stały się udziałem Andrzejewskiego, to atrakcyjna materia. Nie ma potrzeby tłumaczyć, na czym polegał seksapil tej akurat „biografii znaczącej”. Zbędne jest także przypominanie, jaki portret – mówiąc tytułem szkicu Jana Błońskiego – artyści w latach wielkiej zmiany się z tych opowieści wyłonił. Warto natomiast zwrócić uwagę na dwie sprawy.

Po pierwsze, obok dążących do obiektywizmu (jak powiedzieliby jedni) bądź udających obiektywizm (jak chcieliby drudzy) opowieści o życiu i czynach Andrzejewskiego (biografia pióra Anny Synoradzkiej, 1997; tejsze wstęp do wydania *Miazgi* w Bibliotece Narodowej, 2002; minisynteza Zbigniewa Kopcia, 1999) pojawiły się w ostatnich latach narracje zdecydowanie „interesowne” i „sprofilowane”, których perswazyjność na dobrą sprawę nie jest skrywana. Wspomniana księga Bikont i Szczęsnej, przynosząca summa summarum pozytywny portret pisarza, najlepszym tego przykładem. Na przeciwnym biegunie można dla przykładu osadzić tekst Krzysztofa Maślonia napisany w 20. rocznicę śmierci Andrzejewskiego („Rzeczpospolita” z 19 IV 2003 roku), choć przesadą byłoby twierdzenie, że warszawski publicysta szkicuje wizerunek pisarza używając wyłącznie czarnej barwy. Idzie o rozkład akcentów, o jakieś przedwstępne wyobrażenia, z jakimi ten czy ów autor przystępuje do portretowania. Zaiste, na wiele można sobie pozwolić, mając do dyspozycji tyle sprzecznych, poplątanych wątków.

Po wtóre, nie sposób nie zapytać o kres metody, o wyczerpanie „lektury osoby”, i to osoby opisywanej i ocenianej w jednym praktycznie wymiarze, czyli osoby publicznej (Andrzejewski jako przedstawiciel elity kulturalnej, jako postać znana i rozpoznawalna, obecna w społecznej świadomości z powodu tego, co napisał i podpisał, z kim politycznie sympatyzował itd.). Wydaje się, że wszystko zostało tu już powiedziane, że ową „lekturę osoby” niepodobna pchnąć na nowe tory, jakkolwiek, a najlepiej twórczo, odnowicielsko przeorientować. No chyba, żeby dokonać podmiany: porzucić osobę publiczną i zająć się osobą prywatną. Ale gdzie owej prywatności szukać i – ważniejsze – jak tę prywatność rozumieć?

Krzysztof Tomasik w wydanych w ubiegłym roku Homobiografiach zanotował w związku z Andrzejewskim: „Jego twórczość staje się coraz bardziej zapomniana i oceniana jako anachroniczna. Zebranie rozproszonych fragmentów dziennika i wydanie go jako całości niewątpliwie mogłoby tę sytuację zmienić”. Autor tych słów ma na uwadze bardzo konkretne treści zawarte w nieogłoszonych dotąd pismach naszego twórcy – idzie o zapiski, w których Andrzejewski utrwalił swoje doświadczenia homoseksualne. Jak zostało wyjaśnione w innym miejscu cytowanej tu książki: „Wiedza o życiu prywatnym ważnych postaci homoseksualnych sprzed lat potrzebna jest nie tylko do pełnej rekonstrukcji obyczajowości dawnych czasów (...) Jest to szansa dla wielu twórców i twórczyń zapomnianych i zapominanych. Ponowne odczytanie i zinterpretowanie ich dorobku oraz biografii z nowej perspektywy może jeszcze nieraz potrząsnąć kanonem”.

Propozycja Tomasika jest interesująca, ale rozbija się o pewien problem. Na jakiej bowiem zasadzie to, co „coraz bardziej zapomniane i oceniane jako anachroniczne”, miałyby nabrać nowego blasku? Trudno odnieść się do zapisków, których się na oczy nie widziało, czy opierać na zapewnieniach Synoradzkiej, że nieznanne pisma intymne Andrzejewskiego pełne są pikanterii, można natomiast pomyśleć o tym, co zdeponowano w bibliotece. Otóż „maskami homoseksualnego pożądania” (w oficjalnie wydanej prozie Andrzejewskiego) zajął się już – i to kilkanaście lat temu – German Ritz w kilku rozprawach, ale czy jego, skądinąd świetnie przeprowadzone, analizy wywołały jakiegokolwiek poruszenie, to znaczy takie poruszenie, na którym zależało Tomasikowi. Nie wywołały. Oczywiście nie mogły tego uczynić (przypomnijmy: idzie o przewyciężenie zapomnienia i anachroniczności), gdyż – po pierwsze – były operacjami

zbyt subtelnymi (dyskurs homoseksualny to dla Ritza zjawisko poetologiczne, nie zaś temat kultury czy biografii), stricte specjalistycznymi oraz – po drugie – pozbawione były owej nieszczerzej troski o społeczne funkcjonowanie dzieła. Owszem – szwajcarski polonista zarysował nowe perspektywy interpretacyjne, stał się nietuzinkowym odnowicielem andrzejewskologii, ale nie przyczynił się do renesansu zainteresowań prozą Andrzejewskiego, nie doczekał się naśladowców. Dlaczego? Zapewne dlatego, że na temat homoseksualnych szyfrów obecnych w dziełach autora Nocy powiedział wszystko, co było do powiedzenia. To, że dzieło Andrzejewskiego może być wielokrotnie i na różne sposoby „używane” przez komentatorów posługujących się metodami z obszaru queer studies, jest po prostu złudzeniem.

Ale to nie koniec złudzeń. Tomasiak przytacza opinię Synoradzkiej na temat nieznanych zapisków naszego bohatera: „Jednym z wątków najważniejszych i najszerzej traktowanych w dzienniku jest życie osobiste Andrzejewskiego, rozdarte pomiędzy rodzinę i związki z młodymi mężczyznami. O tych sprawach pisarz mówi z otwartością niespotykaną w naszym piśmiennictwie diarystycznym; porównywalną może jedynie z dyskursem w dziennikach Zygmunta Mycielskiego” (cyt. za *Homobiografie*). Dowcip polega na tym, iż w innym rozdziale tej samej książki, poświęconym wspomnianemu Mycielskiemu, pojawia się ubolewanie, że publikacja owych śmiałych dzienników (tegoż Mycielskiego, w latach 1999–2001) spotkała się z „niewielkim odzewem w mediach”. Tak publiczność czytająca, jak i zawodowi opiniodawcy jakoś nie przejęli się otwartością, z którą diarysta pisał „o tych sprawach”. Dlaczego mieliby się przejąć równie otwartą – wedle zapewnień Synoradzkiej – opowieścią Andrzejewskiego? Nie widzę powodu. Najmniejszego.

Zgodnie z pewnym obiegowym i chyba coraz częściej wyrażanym poglądem literatura powstała w latach istnienia Polski Ludowej – poza nielicznymi wyjątkami – odeszła bezpowrotnie wraz z tą epoką. Istnieje wszelako sposób, żeby na jakiś czas zahamować lub choćby spowolnić ów proces zapadania się nie tyle dzieł, ile pisarskich nazwisk w piekło niepamięci. Należy przy tym zaznaczyć, że w piekielną otchłań strąceni są nie tylko nieżyjący autorzy, znakomitości sprzed wielu lat, lecz także twórcy, którzy sami zeszli ze sceny literackiej, z nikim się już nie ścigają, nie zadziwiają nas – jak obchodzący w tych dniach 90. urodziny Marian Pankowski – swoją twórczością senioralną. Otóż tym sposobem jest – jeśli

wolno tak powiedzieć – rekonfiguracja w obrębie dorobku poszczególnych autorów, przededefiniowanie dzieła, a dobrym przykładem to, co aktualnie dzieje się z pismami Sławomira Mrożka. Mówiąc w wielkim skrócie, dla dzisiejszej i jutrzejszej publiczności kulturalnej nie dzieło dramaturgiczne i prozatorskie Mrożka może się okazać – już się okazuje – najbardziej atrakcyjne, lecz sygnowane tym nazwiskiem pisma prywatne (to, z jaką atencją komentowane były trzy tomy korespondencji Mrożka – odpowiednio – z Błońskim, Skalmowskim i Tarnem, to, z jakimi nadziejami oczekuje się na rychłą publikację Mrożkowych dzienników, chyba o czymś świadczy lub świadczyć może). Powstaje więc pytanie, czy na tym gruncie, stosując tę samą metodę, można udzielić wsparcia Andrzejewskiemu. Dość to wątpliwe, zwłaszcza jeśli ma się w pamięci swoisty falstart, a może i wpadkę, jaką było ogłoszenie w 2003 roku Dziennika paryskiego, czyli zbioru listów naszego bohatera z lat 1959–1960 wysłanych do rodziny (żona i dzieci pisarza); korespondencji pod każdym względem rozczarowującej, wobec której zdystansował się nawet autor wstępu i opracowania (Wacław Lewandowski). Postawione tu pytanie należałoby zadedykować strażnikom i dysponentom spuścizny Andrzejewskiego, oczywiście założywszy uprzednio, że takowi w ogóle istnieją, a co do tego można mieć wątpliwości.

Na początku tej krótkiej przechadzki zakwestionowałem staroświecką i beużyteczną metaforę pisarskiego czyścica. Puste miejsce po tej figurze chciałem wypełnić – roboczo, prowizorycznie – mało eleganckim pojęciem „użycia” („użyteczności”). Okazuje się jednak, że jak zwał tak zwał – kłopot ten sam. Nie wiadomo, w jaki sposób zagospodarować dzieło Jerzego Andrzejewskiego, jak odnowić namysł nad tą spuścizną i czy w ogóle da się tutaj cokolwiek zrobić. Ponure to myśli snute w roku setnej rocznicy urodzin tego artysty.

Dariusz Nowacki

Leszek Szaruga

Willa z widokiem na jezioro

W znakomitej, stanowiącej ważne dopełnienie Zniewolonego umysłu Miłosza, książce Anny Bikont i Joanny Szczęsnej Lawina i kamienie znalazłem następującą relację: „Podczas urlopu w kraju latem 1949 roku Miłosz odwiedził Andrzejewskiego w Szczecinie (miał tam wieczór autorski w Klubie 13 Muz). – Pamiętam tę willę w lasach z widokiem na jezioro – opowiadał nam. – Niedaleko mieszkał Wiktor Woroszyłski, gorliwy komunista, z którym Andrzejewski dużo przebywał. A także Witold Wirpsza. Miejscowy sekretarz partyjny obwoził nas samochodem. Oni osiedli w najlepszym z możliwych światów. Wrażenie jak u Pana Boga za piecem. Świat Polski Ludowej wydawał się ustabilizowany. To był świetny pomysł ze strony partii, żeby ich tam umieścić. Aresztowania słabo docierały do willi w Szczecinie. Uświadomiłem sobie, jaką rolę odgrywają w każdym społeczeństwie strefy, w których ludzie żyją. Myślałem potem często o chorobie niewinności”.

Willa Andrzejewskiego, nie w samym Szczecinie wówczas, lecz w położonej kilka kilometrów od miasta miejscowości Głębokie, dziś już stanowiącej dzielnicę metropolii, widoku na jezioro nie miała i nie ma – oddzielona jest od niego sporą połącią lasu. Poza tym wszystko w zasadzie się zgadza. Towarzystwo rzeczywiście było dość intelektualnie żywe, a w jego skład, prócz osób wymienionych przez Miłosza, wchodziła jeszcze jedna, dość ważna postać, jaką był Edmund Osmańczyk, reporter i eseista zajmujący się przede wszystkim kwestiami niemcoznawczymi. Specjalnie fajnie nie było, o czym świadczą wspomnienia Anny Iwaszkiewicz, która, odwiedzwszy wraz z mężem Andrzejewskiego zwróciła uwagę na sprawy dla intelektualistów marginalne, lecz za to mające istotne znaczenie życiowe: na to mianowicie, iż zajmujące się aprowizacją żony tych pisarzy taszczyły żywność ze Szczecina, z którym komunikacja wówczas do wygodnych nie należała.

Panowie tymczasem tworzyli. W roku 1952 wyszła książka Andrzejewskiego Partia i twórczość pisarza, którą, rzecz jasna, oferował najbliższym przyjaciołom. W tomie, który leży teraz na moim biurku odnajduję dedykację treści następującej: „Maryli i Witkowi Wirpszom z trochę smutnym stwierdzeniem, że łatwiej jest pisać o literaturze niż «robić» literaturę. Jerzy, Szczecin. 10 maja

1952". Wcześniej, w 1951 roku ukazał się sztandarowy tom poezji socrealistycznej Wiosna sześciolatki autorstwa Andrzeja Brauna, Andrzeja Mandaliana i Wiktora Woroszylskiego. Do rąk mego ojca trafił z opóźnieniem, co znalazło wyraz w dedykacjach naznaczonych już doświadczeniem oficjalnej recepcji książki. Braun: „Witusiowi ofiaruję ten «kij do mrowiska» sądząc, że potrafi posługiwać się kijem lepiej od kupy durniów” (1952). Woroszyłski: „Dziś to już nie kij – «to szczątki starodawnej ale groźnej broni». Kustoszowi naszego muzeum poetyckiego, Witkowi Wirpszy” (1953). By odczytać te dedykacje ze zrozumieniem, trzeba znać perypetie socrealistów, szczególnie tych właśnie, zaatakowanych za Wiosnę sześciolatki z powodu „odchyłu” lewackiego przez samego Adama Ważyka.

Czasy były zaiste dynamiczne: od roku 1945 do 1953 czyli do śmierci Stalina, minęła cała epoka wypełniona nie tylko straszhliwymi zbrodniami – których echa na Głębokie, jak trafnie zauważa Miłosz, docierały raczej sporadycznie ale też nasilającymi się rozgrywkami zarówno w całym obozie moskiewskim, jak w polskich środowiskach partyjnych. Pisarze bywali – jedni świadomie, drudzy bezwiednie – pionkami w tych grach i zabawach. I gdy się nad tym zastanawiam – a mam za sobą parę ważnych rozmów zarówno z rodzicami, jak z Andrzejewskim i Woroszyłskim – wydaje mi się, że w szczególnie niedobrej sytuacji byli ci, którzy w system „wierzyli”. Można się oczywiście zniecać nad ówczesnymi tekstami Andrzejewskiego – co czyniła moja niewierząca mama czyniąc złośliwe uwagi na marginesach jego książki O człowieku radzieckim – ale to w żadnej mierze nie zbliża do zrozumienia, co się wówczas z tymi ludźmi działo. I straszna szkoda, że Jacek Trznadel, który przeprowadził dla swej Hańby domowej wywiady z wszystkimi wówczas żyjącymi mieszkańcami powojennego Głębokiego, nie dokonał – a wtedy jeszcze mógł to zrobić, gdyby się do tych rozmów rzetelnie przygotował – rekonstrukcji tej dziwnej przestrzeni, w której, wedle świadectwa Miłosza, „świat Polski Ludowej wydawał się ustabilizowany”. Bo rzeczywiście, strefy, w których ludzie żyją, mają olbrzymie znaczenie dla kształtowania ich postaw.

Gdy dziś odczytuję zbiorczo te wszystkie tomy Andrzejewskiego – O człowieku radzieckim, Partia i twórczość pisarza, Ludzie i zdarzenia 1951, Ludzie i zdarzenia 1952 – uderza mnie przede wszystkim ich naiwność. I gdy przypominam sobie samego Jerzego, wydaje mi się, że rzeczywiście był naiwny, a w dodatku ufny. Takich ludzi niezwykle łatwo uwieść i Andrzejewski

uwieść się pozwolił. To nie był człowiek nastawiony na czerpanie korzyści z systemu, na gry z władzami. To raczej władze grały nim cynicznie wykorzystując ową naiwność i ufność. A splendory tylko umacniały jego „wiarę” – gdy zrozumiał, co się stało, odszedł i jako jeden z pierwszych zrezygnował z legitymacji partyjnej i stanowisk, jakimi go obdarzano.

Ale jednocześnie był to człowiek obdarzony czy raczej dotknięty potrzebą teleologicznej wizji rzeczywistości. Przed wojną – czemu dał wyraz w ładzie serca – potrzebę ową zaspakajał katolicyzm. W czasie wojny przeszedł – nie on jeden przecież – piekło zwątpienia będąc świadkiem zbrodni, wobec których trudno utrzymać wiarę w obecność Boga. W rozmowie z Trznadlem próbuje podsumować swe doświadczenie: „W tamtym okresie, w tych okresach, wliczając też i okres przedwojenny, mój temperament, moja umysłowość, moje jakieś usposobienie intelektualne, wyobrażeniowe, były charakteryzowane w sposób zupełnie wyraźny przez potrzebę fideizmu. (...) ... był to katolicyzm, który bardziej przemawiał do mnie swoim uporządkowaniem rzeczywistości, aniżeli stroną dogmatyczną. (...) Myślę, że po tym pewnym zmęczeniu okupacją (...) to było zachłyśnięcie się wolnością. I była ta pewna logika myślenia marksistowskiego, ta wizja uporządkowania przeszłości, teraźniejszości i przyszłości (...) z jednocześnie nie dość sprawnym obserwowaniem rzeczywistości. Na pewno temu sprzyjało, że po wojnie tak się złożyły warunki, że wszyscy pisarze, no, prawie wszyscy pisarze, z bardzo nielicznymi wyjątkami, zgromadzeni byli w pewnych domach”.

Takim domem był kołchoz literacki przy ul. Krupniczej w Krakowie, takim domem była też owa głębocka „willa z widokiem na jezioro”. W takiej willi, z dala od doświadczenia prawdziwego życia, można było bezkarnie wypisywać farmazony o tym, że – jak czytamy w *O człowieku radzieckim* – „za kulisami działalności takich pisarzy, jak Gide, Malraux, Mauriac czy Sartre, Priestley, Eliot, Huxley czy Bertrand Russel stoi ta sama dekoracja, zbudowana ze schyłkowych pojęć burżuazyjnych, którą kapitalizm raz ustraja kuszącymi pojęciami «wolnej» sztuki, a przy innej okazji maluje na czarno faszystowskim pędzlem”, co moja matka opatrzyła przypisem: „dekoracja ZA kulisami?”. O tym, że już wówczas można było te wywody czytać przesmiewczo, zaświadcza kolejny przypis w książce, odnoszący się tym razem do cytowanego przez Andrzejewskiego fragmentu z Marksa: „Być radykalnym, to znaczy ujmować zagadnienia od ich korzeni. Korzeniem dla człowieka



Fot. Archiwum „K.A.”

Spotkanie autorskie Jerzego Andrzejewskiego w Kilonii 3 listopada 1966 roku; obok Jerzego Andrzejewskiego Maria Kurecka.

jest sam człowiek” – drugie z tych zdań zostało podkreślone i opatrzone zdumionym dopiskiem: „że – CO??”.

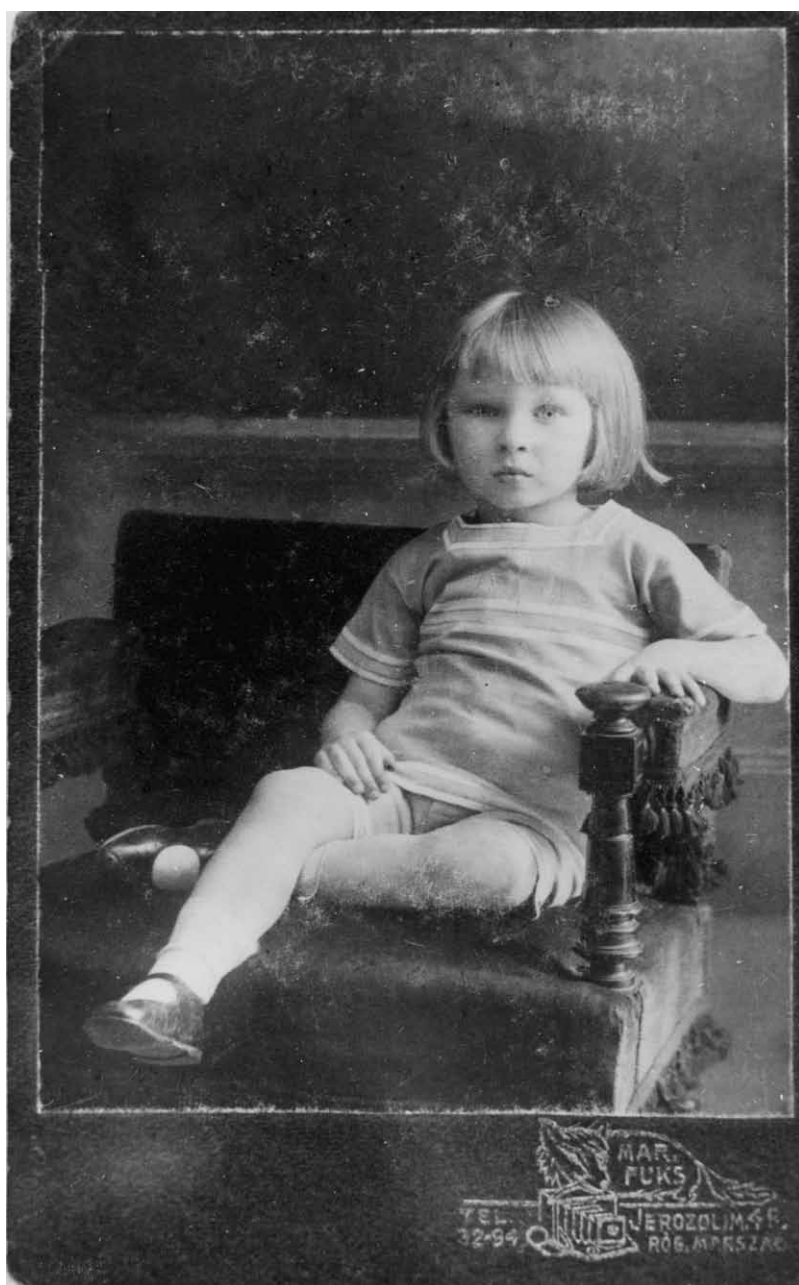
Pytałem wielokrotnie rodziców, matkę zwłaszcza, jak wyglądały wówczas ich rozmowy. Tym bardziej mnie to interesowało, iż wiedziałem, że skazani byli na siebie, że kisili się we własnym sosie, z dala od miasta, jeszcze dalej od Warszawy czy choćby Poznania, wyrzuceni na prowincję, ale z poczuciem misji „polonizacji” pozyskanego dla kraju Szczecina. O to samo pytałem później zresztą i samego Jerzego. I dowadywałem się – a przecież w końcu nie byli tu całkowicie skazani na siebie: na Głębokim często gościli ich znajomi, jak choćby wspomniani Miłosz i Iwaszkiewicz lub Wisława Szymborska czy Tadeusz Różewicz – że potrafili zajmująco, czasem złośliwie, dyskutować o Rzeczy ludzkiej Mieczysława Jastruna bądź o Czytając Mickiewicza Przybosia. Reszta jakby została wyparta. Nie rozmawiali o marksizmie z leninizmem? Przecież gdy się te wszystkie książki i broszury dziś przegląda, trudno w to uwierzyć. Owszem, potrafił to Andrzejewski przetworzyć w uniwersalne przypowieści w Bramach raju czy w Ciemności kryją ziemię, dziełach, które się po dzień dzisiejszy bronią i które swego czasu, jako młody człowiek, czytałem z zapartym tchem, wówczas wszakże nie do końca rozumiejąc ich sens i zakorzenie

w konkretnym doświadczeniu. Dziś, sądzą, tym bardziej pozostają one dla młodych odbiorców oderwane od stalinowskiej rzeczywistości.

Może oczekiwałem więcej, niż to możliwe – oczekiwałem świadectwa. Inni oczekiwali skruchy. Komuniści zaś nienawidzili za „zdradę”. On sam zaś? Myślę, że chciał się ocalić – jak w rozmowie z Trznadlem – przez odnalezienie prostej formuły. Mówił o „fideizmie”. Coś w tym, oczywiście, jest. Zastanawiam się czy ten typ doświadczenia nie stał się punktem odniesienia encykliki Jana Pawła II *Fides et ratio*. Cóż – wiem jedno: nie wolno sobie pozwalać na przyjmowanie, że wielkiemu pisarzowi – a takim Jerzy bez wątpienia pozostanie – można „wybaczać” wielkie upadki. To zbyt łatwe i zbyt proste. I chyba jednak znieważające. Z drugiej strony tych książek, które wówczas zostały napisane, z bibliografii dorobku Andrzejewskiego nie tylko nie można, ale i nie należy wyrzucać. Mimo wszystko są one świadectwem, świadectwem o tyle trudnym, że wciąż, drążąc ten epizod dziejów naszej literatury współczesnej, nie do końca wiemy, czego dotyczącym. Może tego, o czym wspomina Miłosz: objawów „choroby niewinności”. Jeśli tak, to dobrze by było – choć czasy się zmieniły – wiedzieć, co to za choroba. A dowiedzieć się warto, bo chorych nie tylko bez liku, ale wciąż jakby ich przybywa. Siedzą w swych willach z widokiem na jezioro.

Leszek Szaruga

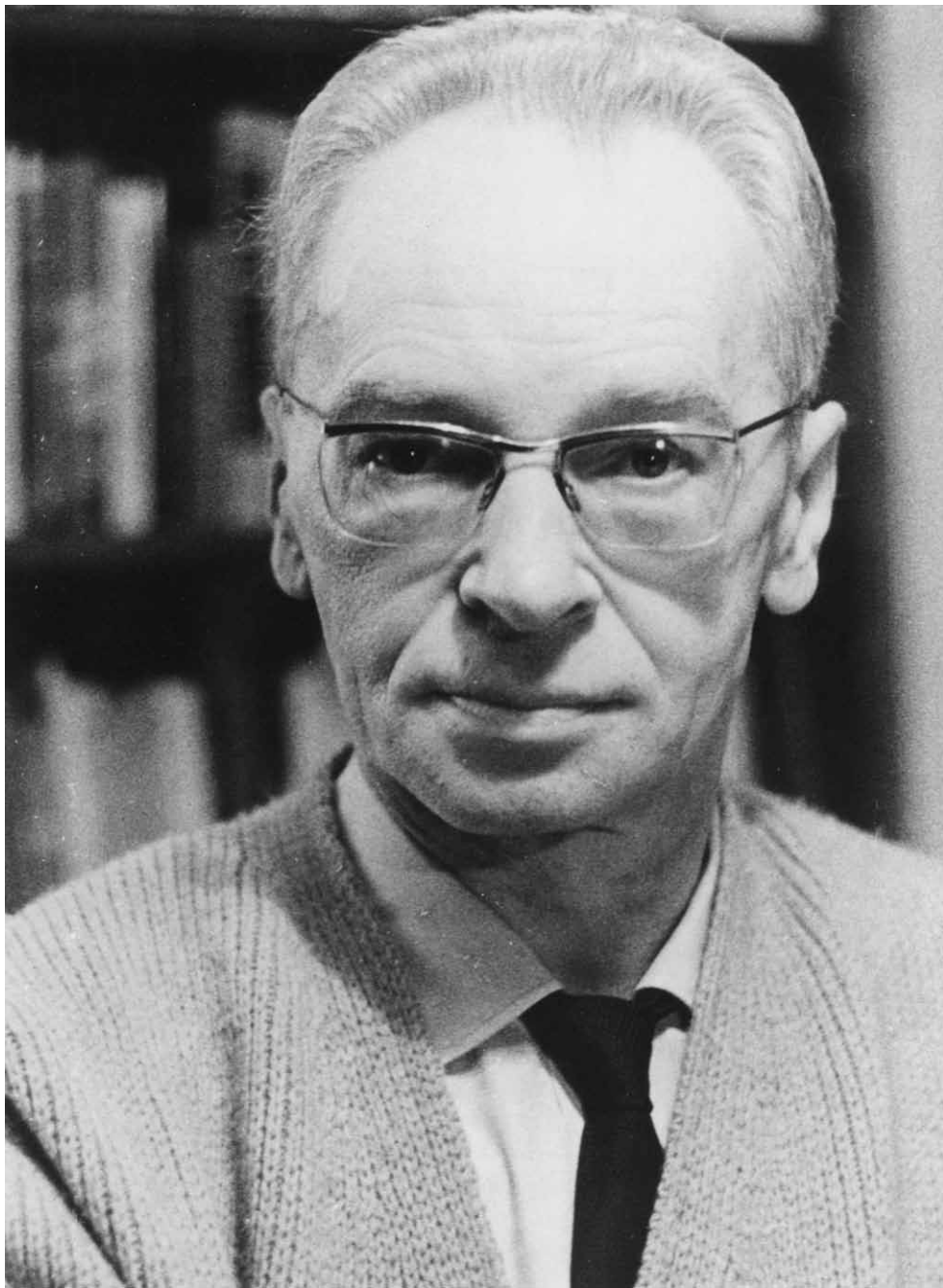
JERZY ANDRZEJEWSKI

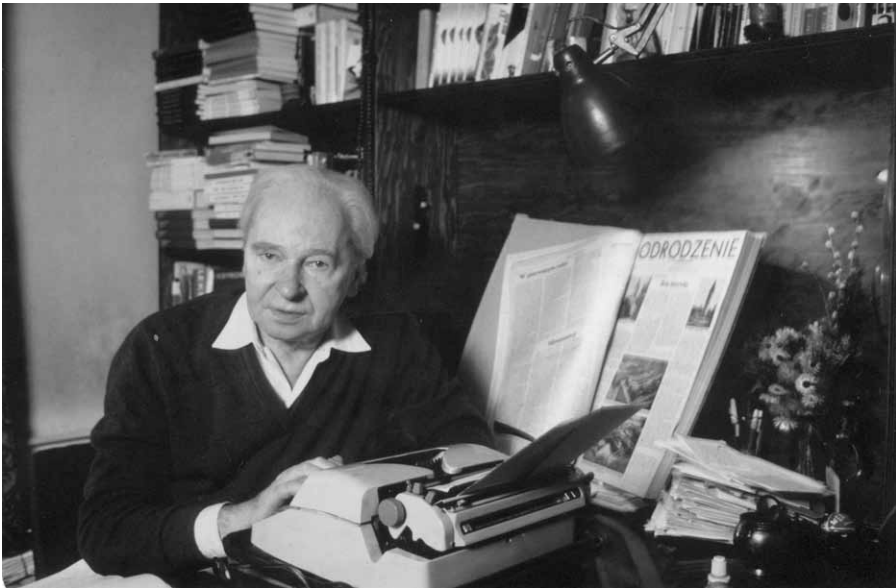
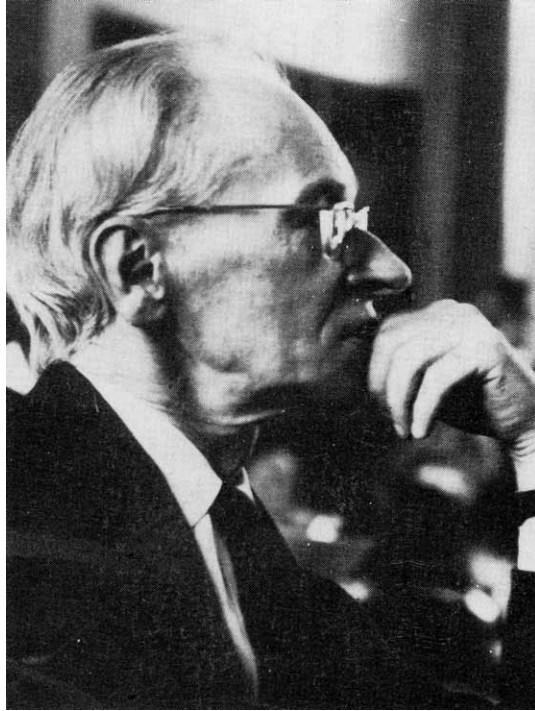














Fot. Archiwum Dokumentacji Fotograficznej Muzeum Literatury

Jerzy Andrzejewski i o Jerzym Andrzejewskim w „Kwartalniku Artystycznym”

„Kwartalnik Artystyczny” 1995 nr 1 (5): Jan Błoński, Mroźek przeciw Andrzejewskiemu. „Pieszko” kontra „Popiół i diament”

„Kwartalnik Artystyczny” 1997 nr 4 (16): Jerzy Andrzejewski: Noc; Każdy albo nikt; Młodość 1975; Elegia; Rzecz, która ma być opowiedziana; Heliogabal (fragmenty);

Szkice krytyczne, głosy i glosy, wspomnienia o Jerzym Andrzejewskim: Andrzej Fiett, Glosa do „Nocy”; Anna Synoradzka, Historia jednego tytułu; Historia jednego kłamstwa; Madeline G. Levine, Niejednoznaczność moralnego oburzenia wyrażonego przez Jerzego Andrzejewskiego w „Wielkim Tygodniu”; Dariusz Nowacki, Non consummatum?; Irena Szymańska, Mój przyjaciel Jerzy; Aleksander Fiut, Kilka myśli o Andrzejewskim; Henryk Grynberg, Ironia historii; Jarosław Klejnocki, Trzy uwagi; Julian Kornhauser, ***; Ryszard Matuszewski, Garść wspomnień o Jerzym Andrzejewskim; Czesław Miłosz, ***; Krzysztof Myszkowski, ***; Andrzej Wajda, ***;

Jarosław Klejnowski, Tylko popiół, a jednak... (recenzja)

„Kwartalnik Artystyczny” 2000 nr 1 (25): Jerzy Andrzejewski, Dziennik paryski (1)

„Kwartalnik Artystyczny” 2000 nr 2 (26): Jerzy Andrzejewski, Dziennik paryski (2)

„Kwartalnik Artystyczny” 2000 nr 3 (27): Jerzy Andrzejewski, Dziennik paryski (3)

Biblioteka „Kwartalnika Artystycznego”: Jerzy Andrzejewski, Dziennik paryski, wstęp i opracowanie Waław Lewandowski, Wydawnictwo OPEN, Warszawa 2003

„Kwartalnik Artystyczny” 2003 nr 4 (40): Aleksander Jurewicz, Paryż, życie, literatura (recenzja)

„Kwartalnik Artystyczny” 2009 nr 4 (64): Głosy i glosy w 100. rocznicę urodzin Jerzego Andrzejewskiego: Julia Hartwig, O Jerzym Andrzejewskim; Antoni Libera, Wesele, którego nie było. O „Miazdze” Jerzego Andrzejewskiego; Krzysztof Myszkowski, J.A.; Dariusz Nowacki, Teraz na niego zagłada?; Leszek Szaruga, Willa z widokiem na jezioro;

Jerzy Andrzejewski na fotografiach



Piotr Szewc

Przetarłem oczy

Wysiadłem z busa było parno koszula przykleiła
mi się do pleców zsuwały się okulary na Spadku
mijałem opustoszały młyn po drugiej stronie kiedyś
rosło dzikie wino przetarłem oczy widma pojawiały się
i znikwały nowe domy zajęły miejsce starych inne
właśnie się rozpadały w przechodniach chciałem
rozpoznać dawnych znajomych pomyślałem o moich
nauczycielkach zapytałem Małgosi czy tu mieszkała
pani Malugowa odpowiedziała nie wiem wieczorem
u Marysi piliśmy kompot to szklanki mamy poznajesz

5 VIII 2009

Dużo czasu

Popchnąłem furtkę przepuściłem Marysię mokry wietrzny
październik a tu letnie sukienki koszule z krótkim rękawem
sandały starzy modlą się młodszy rozmawiają nieznajome dzieci
bawią się w chowanego za tujami róże gerbery to takie ma pani
teraz gospodarstwo powiedziałem do Stachy Kardaszowej sam
widzisz odparła gdzie Mirka i Renia pokręciła głową zapalki
gasły mi na wietrze dziadek uśmiechał się zdążysz mam dużo
czasu papierosy Piotrusiu wypaliłem pamiętaj przynieść
następnym razem

2009

Może dostanę

Listopadowy poranek niebo ciężkie sucho autobus
coraz dalej i bliżej dachy miedze witajcie biedne
bogate strony te same ale odmienione jadę mam
obejrzeć twój granit czy tam gdzie jesteś z babcią
robi się pierogi co powiedziała pani Segieda ile to
już lat kiedy ostatni raz ją odwiedziłem czy pamięta
że kiedyś pożyczyła mi Zarys teorii literatury przed
Lublinem stado gołębi kołuje nad zaoranym polem
unieście mnie może dostanę więcej

23 XI 2009

Piotr Szewc

Aleksander Fiut

Schulz czyta Rilkego

To pytanie, przyznam, od dawna nie dawało mi spokoju. Bruno Schulz wśród pisarzy, którzy go „olśnili i porwali”^{*} wymieniał jednym tchem Kafkę, Tomasza Manna i Rilkego. Dlaczego dwóch pierwszych – dosyć łatwo zrozumieć i nietrudno wytłumaczyć, sporo już zresztą na ten temat napisano. Ale co było powodem, że na tej liście znalazł się także autor Sonetów do Orfeusza?

Trudno sobie, przynajmniej na pierwszy rzut oka, wyobrazić pisarzy bardziej od siebie różnych – stylem życia, typem wrażliwości, rodzajem pisarstwa. Schulz prowadził życie nad wyraz prowincjonalne, z Drohobycza rzadko wychylał nosa: jedynie jego lata młodzieńcze wiodą go poza rodzinne opłotki – na studia we Lwowie i w Wiedniu. Później, przygnieciony nieznośną szkolną nudą i rutyną, bywał w Warszawie; jedyną zagraniczną wyprawą stał się dlań niezbyt fortunny wyjazd do Paryża, skąd po kilku tygodniach, w popłochu, powrócił. Urodzony w Pradze Rilke, większość swego życia spędził

^{*} Cytaty z utworów Rainera Marii Rilkego i Brunona Schulza pochodzą z: Reiner Maria Rilke, Wybór poezji, przełożył i wstępem opatrzył Mieczysław Jastrun, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1964; Bruno Schulz, Księga listów, zebrał i przygotował do druku Jerzy Ficowski, wydanie drugie, przejrzone i uzupełnione, Wydawnictwo słowo/obraz terytoria, Gdańsk 2002; Bruno Schulz, Proza, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1973.

w podróżach – dwa lata przebywał w Rosji, ale odwiedził także Hiszpanię, Szwecję, Egipt, długo mieszkał we Francji, wreszcie osiadł w Szwajcarii. Mimo iż w życiu ponad wszystko cenił ciszę i samotność, w porównaniu z drohobyckim nauczycielem wydawał się być prawdziwym globtroterem! Podczas gdy Schulz daremnie marzył o luksusie urlopu, podczas którego mógłby, choć na kilka miesięcy, oderwać się od szkolnych obowiązków i poświęcić czas wyłącznie pisaniu, Rilke cieszył się pod koniec życia tym luksusem aż w nadmiarze, znajdując spokój i azyl w udostępnionym mu przez przyjaciela pięknym zamku nad Lemanem. Pierwszy z twórców uczył rysunków i prac ręcznych w prowincjonalnym gimnazjum, godnych siebie partnerów intelektualnych znajdował nade wszystko w prowadzonej przez siebie, bogatej korespondencji, zaś długo niedoceniony, krótkotrwałej sławy literackiej zaznał jedynie na krótko przed wybuchem drugiej wojny światowej. Drugi, nie bez snobizmu, obracał się w arystokratycznych salonach Europy, długie lata spędził w Paryżu jako sekretarz Rodina i cieszył się już za życia powszechnym uznaniem oraz opinią wybitnego poety. Podobnie na dwu różnych biegunach znajduje się ich twórczość, nawet prozatorska. Bo jakże daleko ze Sklepów cynamonowych do Maltego!

Tymczasem rozmaite świadectwa nie pozostawiają cienia wątpliwości. Jak pisze Jerzy Ficowski, właśnie w Rilkiem Schulz widział „swego duchowego patrona w sztuce: czytał jego dzieła w niemieckim oryginale i nie rozstawał się z nimi, do końca życia powracając do lektury poezji i prozy tego artysty, którego uważał za największego, obok Tomasza Manna, twórcę w literaturze europejskiej XX wieku”. Sporo dowodów tej fascynacji znaleźć można w korespondencji Schulza. Na przykład w liście do Arnolda Spaeta z 10 czerwca 1934 roku wyznaje, że jego marzeniem byłoby przełożenie wierszy Rilkego, „którego ponad wszystkich poetów uwielbia”. W liście do Romany Halpern z 16 sierpnia 1936 wywodzi, że „Istnienie jego książek jest gwarancją, że zagmatwane, głuche masy niesformułowanego w nas mogą się wydostać jeszcze na powierzchnię cudownie wydestylowane. Precyzja i czystość Rilkowskiej destylacji jest dla mnie pociechą”. W innym liście do tej samej adresatki, napisanym 10 września 1936 roku, dodaje: „Za szczyt jego twórczości uważam Neue Gedichte. To, co potem jeszcze pisał: Duineser Elegien, Sonette an Orpheus – jest już zbyt przerafinowane i ezoteryczne”. W liście do Anny Płockier z 23 sierpnia 1940 roku, już z perspektywy okupacji, Schulz dosyć jasno określa swoją ówczesną ocenę pisarstwa Rilkego: „Co do mnie, to po okresie nieopamiętanego zachwyty dla Malte dostrzegam

dzisiaj jego granice i punkt, w którym świadomie oddalam się od tej prozy. W poezjach swoich przechodził Rilke ewolucję o kilku (trzech, czterech) stadiach, z których każde wymaga na nowo ustosunkowania się do tej poezji". Jaka szkoda, że tej uwagi Schulz nie zdążył rozwinąć!

W pamięci Józefiny Szelińskiej pozostał obraz Brunona Schulza, czytającego jej wiersze autora Maltego, „niezapomnianym, sugestywnym, tajemniczo dalekim od wszelkiego recytatorstwa głosem, jakby to on sam tworzył te wiersze Rilkego". Artur Sandauer w szkicu pt. Rilke wspomina zaś, że ilekroć wchodził do „wytapetowanego książkami" gabinetu Schulza, zastawał go „pogrążonego jeśli nie w Tomaszu Mannie, to w Rilke", dodając, „Ocalały w mojej bibliotece tom Neue Gedichte (Nowych wierszy) który przetrwał jakimś cudem okupację, jego pierwotnie był własnością".

Schulz zwykł w lekturach obdarzać innych pisarzy częścią swojego świata, projektować w cudze teksty własne pomysły, wypróbować w lekturze swoje sposoby rozumienia i przedstawiania zjawisk. W poezji Tuwima znajdował opis „genialnej epoki", w Ferdynandzie – demaskację wstydliwych rewirów jednostkowych i zbiorowych form wyobraźni. Co odnajdywał w wierszach Rilkego? Oczywiście, umieszczenie obok siebie nazwisk Kafki i Rilkego zdaje się dowodzić – podobnego do Schulzowskiego – uwrażliwienia na zasadniczą nietrwałość, kruchość i przejściowość granicy pomiędzy rozkwitem i upadkiem, kształtem i bezkształtem, życiem i śmiercią. Z pewnością twórczość wszystkich tych pisarzy była wykwitem atmosfery dekadencji mocarstwa austro-węgierskiego, przejawem wyrafinowania, nadmiernego wysubtelnienia i przesytu, których mrocznym cieniem jest świadomość nieuniknionej zagłady. Ich dzieła, podobnie jak choćby dzieła Musila, Hofmannsthal, Rotha, naznacza obsesja rozpadu, nawiedza widmo unicestwienia. Obydwaj czuli się przeraźliwie obcy i samotni wśród ludzi i w świecie.

Ale taka odpowiedź nie wystarcza. Gdzie kryło się prawdziwe źródło fascynacji Schulza poezją Rilkego? Najgłębsze pokrewieństwo ich osobowości, najściślejsza więź ich sposobu widzenia świata? Bodaj pierwszy wskazał na te powinowactwa Sandauer, który odnajdywał u obydwu twórców to, że dostrzegają „w każdej czynności powszedniej odwieczny rytuał", a ponadto: „Dla obydwu pod powierzchnią rzeczywistości doraźnej kryją się niezmiennie układy odniesień". Owe układy odniesień, Bezüge, to – jak niezbyt jasno wyjaśnia krytyk – „coś jakby gwiazdne prawzory". Jednakże wiersze Rilkego podpowiadają jeszcze inne, ważniejsze tropy.

Na przykład w Siódmej Elegii padają słowa, pod którymi Schulz z pewnością mógłby złożyć swój podpis:

(...) Nasze
 życie umiera w przemianie. I wiecznie malejąc
 ginie świat zjawisk. Gdzie niegdyś stał dom pełen trwania,
 kładzie się w poprzek kształt wymyślony, do wyobraźni
 należący bez reszty, jakby cały był jeszcze w umyśle.
 (...)
 Każda głucha przemiana świata ma takich wydziedziczonych,
 do których już nie należy dawne ni jeszcze najbliższe,
 bo nawet najbliższe dalekie jest ludziom. Lecz to
 nie powinno nas trwożyć: niech wzmocni w nas zachowanie
 kształtu poznawalnego jeszcze. (...)

Schulz z pewnością należał do tych wydziedziczonych, dla których „życie umierało w przemianie”, i którzy bronili się przed widmowością zjawisk, dotkniętych unicestwiającym ruchem, dzięki zachowaniu w pamięci „kształtu poznawalnego jeszcze” – choćby miał to być dom drohobyckiego kupca bławatnego, spalony przez Kozaków w 1915 roku.

W innym wierszu Rilkego, pt. Przed deszczem letnim, odnaleźć można motywy dobrze znane czytelnikom Schulza:

Nagle z zieleni parku odebrano
 coś, nie wiadomo co; prawie się słyszy, jak park podchodzi pod okna i w ciszy
 zatrzymał się.
 (...)
 Ściany sali
 odeszły od nas z swymi obrazami,
 jakby im słuchać naszych słów wzbroniono,

 i odbijają wyblakłymi tapetami
 światłość tych popołudni przytłumioną,
 gdyśmy się niegdyś, w dzieciństwie, lękali.

U obydwu pisarzy dominuje zatem przestrzeń niejednorodna, jak gdyby pootwierana w rozmaitych kierunkach. Przestrzeń, w której przenika się zobaczone i doznane, z tym, co wewnątrz, niejasno odczute; to, co realne – z tym, co jedynie możliwe. A ponadto: co dawno minione, zapisane jedynie w pamięci – z kształtem obecnym; co bywa porządkowane przez symbole i znaki kultury – z odsyłającym do pierwszych, elementarnych, dziecinnych przerażeń i zachwyceń. Jest to przestrzeń odtwarzana z niemal fotograficzną dokładnością, a zarazem – fantasmagoryczna. Sfera, w której zwykle, pospolite, trywialne, nieoczekiwane nabiera blasku i fantastycznie-

je. Obydwaj twórcy są wędrowcami na granicy dwóch światów, z których ten drugi, zaledwie przeczuty czy z trudem dający się doścignąć przez wyobraźnię lub najgłębszą, najbardziej pierwotną intuicję, wydaje się szczególnie pociągający. Bowiem jest zarazem wewnętrzny i zewnętrzny, kryje się w głębinach ludzkiej psyche, ale też stanowi podszewkę samej rzeczywistości. Trudno zresztą ten drugi świat nazwać i określić. Wymiar metafizyczny? Domena fantazji i wyobraźni? Na poły sennych rojeń, które wiodą ku archetypom? Z pewnością, jest tym wszystkim po trosze, ale kryje się w nim tajemnica, której nie sposób zgłębić, ale która kusi do jej ciągłego odkrywania.

Jednym z najważniejszych tropów, prowadzących w krąg tej tajemnicy, wydają się być przedmioty. Dlatego domu, obrazu, tapet – w cytowanych wierszach Rilkego – nie należy traktować jako dekoracyjnych rekwizytów. Przeciwnie – one do owej ukrytej przestrzeni ściśle należą. Pod tym względem znawcy i komentatorzy niemieckiego poety są wyjątkowo zgodni. Już pierwszy tłumacz jego wierszy na polski, Waław Hulewicz, zauważył:

„Dinge to są dla Rilkego najbardziej istotne konkretyzacje rzeczywistości. Rzeczą jest dla niego wszystko martwe, co otrzymało duszę choćby w postaci jednej myśli ludzkiej. Rzeczą jest każdy przedmiot, który nabrał do mnie uczuciowego stosunku. Rzecz to jest coś, «co nie umiera pospólnie, coś trwałe, coś najbliższe wyższego». Bóg łatwiej bywa w rzeczach niż w ludziach, bo rzeczy mniej mają gorączki codziennej, a więcej cichej cierpliwiej godności”. Wtórjuje mu Ewa Steinhardt: „W świecie stworzonym przez Rilkego, na szczycie stworzenia stają rzeczy (...) najbierniejsze, które wiedzą mniej niż najmniejsi z maluczkich, a nad którymi ciąży też tajemnica istnienia, czasu i przemiany materii (...) Te rzeczy bezosobiste i bezindywidualne, bezegoistyczne magazynują jakby ludzkie uczucia i mogą je wyzwalać nabierają siły, boskiej mocy przemieniania świata i stosunków ludzkich”. Według Mieczysława Jastruna, rzeczy u Rilkego, „to przede wszystkim przedmioty o indywidualnych rysach, ogrzane przez tysiąclecia naszego uczucia, przez całe pokolenia. A więc zachowane z minionych cywilizacji przedmioty zarówno codziennego użytku, jak i sztuki, albo natchnione przez nie wyroby późniejszych wieków”. Ale Rilke, powiada poeta, „buduje cały świat podziemny z rzeczy niewidzialnych. Tam są katedry potężniej jeszcze zbudowane niż w widzialnej rzeczywistości”.

Rzeczy oznaczają zatem dla Rilkego konkretyzację rzeczywistości oraz trwałość, opierającą się wiecznej przemianie. Pomimo że są martwe, jak

gdyby nabierają życia pod dotknięciem ludzkiej myśli i wyobraźni. Magazynują uczucia, ale mają też moc wyzwalać ich i przeobrażania świata. Przy czym wszystkie są równie ważne, niezależnie od przejściowych hierarchii: tyleż samo znaczą dzieła sztuki, co przedmioty codziennego użytku, ponieważ są świadectwem ciągłości cywilizacji. Ogrzewane zaś przez wieki ludzkimi emocjami nabierają cech indywidualnych. I nieważne, czy są to przedmioty realne, czy tylko wymyślone, powołane do istnienia poetycką imaginacją – bywa nawet, że te drugie mają większą moc trwania.

Czy nie podobnie u Schulza? Tymi przymiotami odznaczają się przecież Księga, reklama na porost do włosów czy markownik Rudolfa. Jest jednak także między Schulzem i Rilke zasadnicza różnica, o której świadczą następujące przykłady:

„Czuł, nie patrząc, że przestrzeń obrasta go pulsującą gęstwiną tapet, pełną szeptów, syków i seplenień. Słyszał, nie patrząc, tę znową pełną porozumiewawczych mrugnięć perskich oczu, rozwijających się wśród kwiatów małżowin usznych, które słuchały, i ciemnych ust, które się uśmiechały” (Nawiedzenie).

„Tam, w tych spalonych, wielobelkowych lasach strychów i dachów ciemność zaczęła się wyradzać i dziko fermentować. Tam zaczęły się te czarne sejmy garnków, te wiecowania gadatliwe i puste, te bełkotliwe flaszgowania, bulgoty butli i baniek. Aż pewnej nocy wezbrały i pod gontowymi przestworami falangi garnków i flaszek i popłynęły wielkim stłoczonym ludem na miasto (...) Dudniąc dnami, piętrzyły się wiadra, beczki i konwie, dyndały się gliniane stągwie zdunów, stare kapeluchy i cylindry dandysów gramoliły się jedna na drugie, rosnąc w niebo kolumnami, które się rozpadały. I wszystkie kołatały niezgrabnie kołkami drewnianych języków, mełły nieudolnie w drewnianych gębach bełkot klątw i obelg, bluźniąc błotem na całej przestrzeni nocy” (Wichura).

Rzeczy nie są zatem jedynie otoczeniem przyjaznym dla człowieka, chroniącym go i wspierającym w jego samotności w kosmosie. Przeciwnie, mogą się usamodzielniać, groźnie napierać, szydzić, przedrzeźniać, stać się wysłannikami ciemnych mocy. Są to przy tym tyleż przedstawione przedmioty, co ich znaki językowe. Bowiem w tych opisach – nie pozbawionych akcentów humorystycznych i groteskowych, które najwyraźniej osłabiają poczucie zagrożenia – łatwo dostrzec także element estetycznej zabawy i gry słownej, na którą wskazują choćby liczne eufonie czy neologizmy. Ale jest tu także zawarty zabieg, który Schulz mógł podpatrzeć u Rilkego.

Dobrym przykładem tego zabiegu może być wiersz Piłka:

Okrągła, która ciepło dwojga dłoni
płochy oddajesz, jak swą własność, w locie:
to, co za lekkie jest aby w przedmiocie
zostać, i przed czym każda rzecz się broni,

co nie dość jest, a jednak dość przedmiotem,
aby w nas z wszystkich rzeczy poza nami
wniknąć niewidzialnymi drogami:
to weszło, między spadaniem, a lotem

w ciebie, wciąż pełna niezdecydowania,
co jakby wzięła rzut ze sobą w górę,
unosi go i puszcza wolno – skłania
się, zatrzymuje i nagle odsłania
grającym nowe miejsce do rzucania,
jakby kreśliła taneczną figurę,

by – gdy ją wzrok oczekujących goni,
śpiesznie, po prostu, na wzór natury,
wpaść w kubek w górze nadstawionych dłoni.

Rilke stosuje tutaj chwyt, który można nazwać pozorną antroporfizacją. Antropomorfizacją, bo piłka – do której zwraca się mówiący w wierszu – jest materialną rzeczą, która przechowuje na moment i przenosi ze sobą dotyk dłoni, „co nie dość jest, a jednak dość przedmiotem”, równocześnie nabywając po trosze cech ludzkich: jest przecież „pełna niezdecydowania”, „jakby” (to słowo osłabia identyfikację piłki z rzucającym ją człowiekiem) „medytuje” nad siłą rzutu, trajektorią swego lotu, przypominającą figurę taneczną, wreszcie upadkiem, który nie jest wszakże jej własną domeną, lecz uległością wobec praw natury. Pozorna, bowiem wiersz stanowi próbę przedarcia się w sferę zarezerwowaną dla przedmiotu, domeny jego „odczuć” i doświadczeń, oglądania rzeczywistości jakby z jego perspektywy. Poezja jest próbą przemawiania w imieniu rzeczy, te zaś najwyraźniej wskazują poza siebie. W jakim kierunku? Badacze Rilkego odpowiadali zgodnie: w stronę transcendencji. Powyższy przykład dowodzi, że taka odpowiedź nie wystarcza. Pora na próbę bliższego określenia ontologicznego statusu rzeczy w utworach Rilkego i Schulza. Pomocny będzie jeszcze jeden przykład, zaczerpnięty z Schulzowskiego Sierpnia:

„Kupka obdartusów, ocalała w kącie rynku przed płomienną miotłą upału,
oblegała kawałek muru, doświadczając go wciąż na nowo rzutami guzików

i monet, jak gdyby z horoskopu tych metalowych krążków odczytać można było prawdziwą tajemnicę muru, porysowaną hieroglifami rys i pęknięć”.

Rzeczy mają więc charakter semiotyczny, są zarazem znakami, znakami znaków i symbolami. Znakami, bo same w sobie pozostają częścią kultury materialnej (jak tapety, beczki, piłka). Znakami znaków, bo stanowią rodzaj szyfru, dzięki któremu można się choć częściowo wdrzeć w strefę inaczej nieosiągalną (zobaczyć nieistniejący dom, który przetrwał jedynie w czyjejś pamięci; śledzić inny, ukryty przed ludzkimi oczyma nocny żywot strychów i wypełniających ich przedmiotów; poznać „prawdziwą tajemnicę muru”). Symbolami, ponieważ – tak rozumiane – należą do rzeczywistości ukrytej jakby pod powierzchnią rzeczywistości jawnej dla ludzkich zmysłów i ludzkiego umysłu, do rzeczywistości możliwej jedynie do wyobrażenia, oddanej niejasnym, nie dającym się wysłowić przecuciom, spowitej tajemnicą. Sfery, o której najwięcej, wieloznaczną mową symboli, mówią najstarsze mity i religie, ale także baśnie i fantazje, rejonów ludzkiej psyche i wytworów kultury stanowiących przedmiot badań psychoanalizy, psychologii głębi, etnografii, religioznawstwa.

Właśnie tę sferę nieustępliwie eksplorują Rilke i Schulz. W dużym uproszczeniu rzecz można, że obydwaj twórcy demonstrują w swoim piarstwie proces hermeneutyczny, który, z góry skazany na klęskę, podejmuje próby wdarcia się na teren pomiędzy poznawalnym i niepoznawalnym, zrozumiałym i niezrozumiałym, jasnym i ciemnym. Nie przypadkiem w wywiadzie dla „Wiadomości Literackich” w 1939 roku Schulz powiedział: „Kuszą mnie obecnie coraz bardziej niewyraźalne tematy. Paradoks, napięcie między ich wyrażalnością i nikłością, a uniwersalną pretensją, aspiracją reprezentowania «wszystkiego» – jest najsilniejszą podniętą twórczą”. Właśnie przedmioty zdają się pełnić rolę alfabetu języka, który pragnie zawrzeć w sobie, pomimo swej ułomności, choć fragment z tego, co zawiera rzeczywistość ukryta za rzeczywistością widzialną. Języka, który wieździe pośrednio – w pierw Rilkego, a za nim Schulza – w trudną i najeżoną niebezpieczeństwami poznawczymi sferę Niewyraźnego.

Aleksander Fiut

Anna Janko

Kanon

Tamtej nocy kochaliśmy się na plaży.

Bezsenni, bezimienni, bezwiednie naśladowaliśmy fale,
ich niezliczone ucieczki i uparte, ufne powroty.
I te chwile bez rytmu, bez tchu.

Aż nagle wszystkie rzeki dotarły do morza.
I monument światła powoli wynurzył się z wód.
Przedwieczne spojrzenie spoczęło na nas splecionych i drżących na piasku.

Płonęło. I zarazem wypełniało spokojem.
Bolało. Ale cud musi boleć.
I śpiewały tlen i wodór, i krzem inicjacyjną pieśń o wspólnocie pierwiastków.
Wszyscy wiedzieli wszystko o wszystkim i my też zobaczyliśmy jak jest.

Pozostaliśmy tam na zawsze, po czym odnaleźliśmy swoje ubrania
i wróciliśmy do hotelu
aleją lamp, które właśnie gasły.

W tym czasie rzeczy zamykały się w sobie, a to co zrozumieliśmy
wcześniej znów było
niepojęte.

Pachniało espresso i tytuły gazet. Kelner swoim zwyczajem strzepnął blask
z obrusa.

Osypał się piasek z twych włosów na wyniki lotto, notowania giełdy
i reklamę fiata.

Radio podało dzisiejszy plan zajęć dla ludzkości świata.
Nie czułam żadnej goryczy, że zachwyty przeminąły nie wiem na jak długo.
Że się wiedza tajemna cofa zgodnie z amplitudą.
Że niegdysiejsi współnicy prawdy ostatecznej siedzą w ludzkim gwarze
i piją czarną kawę z cukrem w hotelowym barze.

Obraz niesygnowany

Nad zatoką bryza cofa fale delikatnie bez przemocy.
Ludzie przychodzą i odchodzą, bo zmiana jest ich żywiołem.

Twój puls
Wzruszający popłoch serca pod połą welwetowej marynarki

Jestem sprawiedliwie nasycona tym, co było
I tym do czego nie doszło.
Wiodłam życie szczęśliwe i poszczęśliwe.
I sięgałam poza to, co posiadałam, chociaż miałam wszystko.

Patrząc ci w oczy
Przechodziłam przez twoje spojrzenie na tamtą stronę
Widziałam przepaść pomiędzy gwiazdami
I to najciemniejsze światło, które jest matką świata.

Nad zatoką szerokie deszcze, niskopienne wiatry.

Już nie pamiętam na jakie niepogody skazana bywa dusza.
Skończyła się wojna i pokój. Więc czym jest to, co trwa jeszcze?

Przerażająca jest słodycz patrzenia w oczy kochanka
To jak spadanie do samego początku,
by w ułamku sekundy wiedzieć wszystko i wszystko zapomnieć.

Zimno mi. Na brzegu życia bywa chłodno.
Nieobecność zyskuje przewagę nad obecnością (Levinas)
Z czasoprzestrzeni została mi jedynie przestrzeń, pusta.

I tamta chwila.
Chwila z tobą. Obraz niesygnowany. Na odwrocie tylko cień.

Noc

Chcę spadać. Rozbić się. Już nie pragnąć na brzegu rzeki,
nie być głodna na weselu, nie krzyczeć w milczeniu,
nie być skrzydłem cienia,

północnym stokiem, sinym śniegiem, drogą do zerwanego mostu,
codzienną wędrówką bezdomnego do miejsca,
które nazywa się noc.

Mów do mnie. Oddychaj we mnie.
Zabierz mi imię, nie chcę nic swojego.
Będę kimś innym, jeśli zapragniesz innego,

nawet twoim wrogiem, jeśli potrzebujesz walki.
Przegram, gdy zechcesz zwycięstwa.
Otocz mnie ze wszystkich stron. Opanuj mnie. Upoluj mnie.

Chcę spadać. Rozbić się. Już nie pragnąć na brzegu rzeki,
nie być głodna na weselu, nie krzyczeć w milczeniu, nie być skrzydłem
cienia, północnym stokiem, sinym śniegiem, drogą do zerwanego
mostu, codzienną wędrówką bezdomnego do miejsca, które
nazywa się noc.

Lamentacja

Położyć się na ziemi i płakać

Strasznie tęsknić i płakać

Zapadać się we własne niespełnienie płacząc

Już nigdy nie mieć nikogo przy sobie i z tego powodu płakać

Porzucić to wszystko czym się było płacząc

Pamiętam cię świecie przyszedłeś wraz ze mną
Ale teraz płaczmy bo nic już nie będzie jak było
Moja matka moje dzieci mój ukochany
Blakną oczy miłości i zamykają się powieki
W swych srebrnych ciałach płynęliśmy sobie na ratunek
a ból i rozkosz płacz i śmiech żal i obietnica zraszały się w los

Teraz nie ma nas Zamykają się powieki
Pod nimi czarne niebo i mrowie ognistych punktów jak lawa nocą

Jestem wyspą która tonie
Jestem rdzeniem pamięci która płonie
Jestem opuszczoną miłością
Za mną jest życie

Niech mnie ktoś zapamięta

Anna Janko

Kazimierz Brakoniecki

Obroty nieba

(fragmenty)

*

Wiersze we śnie świadomym

Motyle
które nigdy nie były
gąsienicami

*

Jaskinia Platona
która tyle zła wyrządziła ludziom
wykształconym w sztuce cieni
kiedy rzeczywistość jest przestrzenią
bolesną i pali się żywym ogniem

*

Deszcz związał ci ręce
i zamknął oczy dobroczynnie

*

Uśmiechnąłeś się przez sen
i nikt tego nie zobaczył
a ty sam o tym zapomniałeś

*

Coraz częściej świat
widzisz z zewnątrz

coraz częściej świat
widzi cię z zewnątrz

wewnątrz jest obca śmierć
która szuka wyjścia na zewnątrz

*

Umarli odżywiają się w milczeniu

*

Śmierć –
język ojczysty jako martwy

*

Wiatr przechodzi brzegiem lasu
zgina brzozy sosny świerki
pasmami falami uderzeniami
rzuci się stanie okręci
rozdygocze popuści chwyci
jakby źle miał w głowie
szalony niewidomy światowiec

*

Chrząszcz stanął jak głupi
i takim go zostawiłeś na ścieżce
a on trawił twarde zachwycenie

*

Onieśmielają cię jesienne róże
a ty musisz być silny i delikatny
na zewnątrz i do wewnątrz szlachetny

*

Czapla z zachodu na wschód
jakby zgubiła coś drogiego
zapatrzona w zapatrzenie
Po co ona wraca po jaki nieziszczony los?

*

Topola polom sie topoli
to pola polom sie w topoli

*

Zaorane pole przy zagajniku
trzy klony świecące
dzień wynosi słońce pod niebiosa
coś się szykuje pod ziemią
jesteś kretem kosmosu

*

Listopadowe słońce
znika i pojawia się
stojąc w tym samym miejscu
przebarwionej przepaści

*

Kosmopoeta czarodzień
panteista poetysta
zakochany w róży trup

*

Na rozkopanym i porzuconym polu
odwracasz się
i rośniesz tam do dziś
światokwiat

*

Paraliżujący strach
że wszystko jest oszustwem
on ty bóg kobieta kwiat
nawet ten głód nieskończoności

Monady

Pisał, bo nie miał nic do powiedzenia.

To, co naprawdę myślał, pozostawiał innym.

Sztuczne światło duchowe.

Przygodny byt przygodowy.

Bądź szczęśliwy, nie musisz być sobą.

Histeryczne państwo historyczne.

Nienawiść potrafi góry trupów przenosić.

Ludzkość ma prawo do samozagłady.

Ciężki przemysł ekologiczny.

Stróżyciel nieba i ziemi.

Po śmierci wysoko zaszedł.

Nie przeczytał tego, co było mu pisane.

Nienawiść od pierwszego podejrzenia.

Karząca ręka rynku.

Pokątny trójkąt.

Eurotoman.

Złota główka do zabijania.

Niewolnik czasu wolnego.

Idee do jednorazowego użytku.

Kazimierz Brakoniecki

Po przełomie –
najważniejsze książki
dwudziestolecia
1989–2009



Fot. Elżbieta Lempp

Kontynuując ankietę, po odpowiedziach Michała Głowińskiego, Henryka Grynberga, Antoniego Libery, Krzysztofa Myszkowskiego, Leszka Szarugi, Janusza Szubera („Kwartalnik Artystyczny” 2009 nr 1 (61)), Mirosława Dzienia, Andrzeja Zawady (2009 nr 2 (62)), Anny Nasiłowskiej, Ewy Sonnenberg (2009 nr 3 (63)) przedstawiamy kolejne wypowiedzi.

Wojciech Ligęza

Tyle pięknych wierszy,
tak mało uwagi i czasu

Przed wielu laty w ABC czytania Ezra Pound sporządził typologię twórców literatury układającą się w kształt spadającej linii: od poszukiwania nowych technik artystycznych do zgody na gusty powszechne, od eksperymentu po fingowanie nowości, od ryzyka po pewność sukcesu, od inwencji do produkcji. Pound pisał o wynalazcach, którzy po raz pierwszy używali

nowych sposobów wyrazu i – przeminęli bez rozgłosu, o mistrzach, którzy udoskonalili istniejące techniki, potrafili zaprojektować dzieła obliczone na długie trwanie, naśladowcach – z małymi niedostatkami talentu upowszechniających wskazane zdobycze, o „uczciwych pisarzach drugorzędnych”, ważnych w literaturach narodowych rzeczownikach stylów i tematów, o dostawcach beletrystyki, zręcznych rzemieślnikach bez indywidualności, znających recepty na poczytne podobne do siebie książki (mógłby je stworzyć Lemowy „elektrybał”), wreszcie o pisarzach modnych, mody ustanawiających. Co znamienne, ostatnia kategoria w ABC... pozbawiona jest komentarza, lecz, jak łatwo się domyślać, tego typu pisarstwo Pound uważa za najpośledniejsze, a nawet szkodliwe, gdyż prowadzi literaturę w ślepą uliczkę.

W odpowiedzi na ankietę Poundowskie uporządkowanie okaże się pożyteczne. Oczywiście zapytać wypadnie o mistrzów, bo tylko ich osiągnięcia mają istotne znaczenie, tylko ich książki pozostają. I jednocześnie – bez długich deliberacji – uchylimy pokusę wywindowania do rangi najwyższej utworów sprawnych, uwodzących, lecz, niestety, sezonowych. Zatem w tej próbie nowalijki literackie nie będą mnie interesować. Chciałbym jednak zwrócić uwagę na paradoks mistrza: literacka maestria dowodzi wolności artystycznej, bo na pewnym etapie twórczym nie trzeba się już liczyć z notowaniami giełdy literackiej, ale też wypracowana szlachetność myśli oraz sprawność ręki piszącej często służy sumowaniu – odchodzeniu. Oczywiście czytelnik ma szansę skorzystania z mądrości i doświadczenia, a te obszary w kulturze współczesnej niepokojąco się kurczą.

Rozważając kwestię hierarchii książek z ostatniego dwudziestolecia, warto zapytać o cechy znamienne tego czasu w literaturze polskiej. Czy jest to odrębna całość, w której wszystko tworzy się na nowo, czy raczej mamy do czynienia ze spadkiem z poprzedniej epoki? Cudowny (i „przeklęty”) dar niepodległości sprawił, że zaistnieć mogło w obiegu czytelnicznym to, co było zakazane, przemilczane, niedopowiedziane. Można by mniemać, że bez zakłóceń, jakie wywoływała cenzura, w pełnym świetle objawi się autentyczna wartość literatury. Tymczasem w tych dwóch dekadach, rozpoczynających się od roku 1989, zaszło wiele zmian w zakresie pisania i czytania tekstów literackich. Pogoń za nowościami zepchnęła na plan dalszy dzieła uniwersalnej refleksji, nie przeznaczone do szybkiego konsumowania czy też łatwej adoracji, zaczęło się liczyć krzykliwe reklamowanie książek, dali o sobie znać pisarze wylansowani, objawili swoją moc „dostawcy beletrystyki”, rozproszy-

ły się ośrodki opiniotwórcze, zamilkły autorytety krytyki, także zmieniła się estetyka odbioru, gdyż młodzi ludzie czytają „co innego”, inaczej rozumieją pożytki płynące z literatury. Przyrost tekstów był doprawdy imponujący, bowiem pisarze modni kierują się zasadą: jeśli na kolejny sezon nie dostarczą bestsellera, to znaczy, że nie żyją.

Oczekiwanie na nieustanne atrakcje literackie wypierało z pamięci zbiorowej nadal czynnych pisarzy z poprzedniego okresu, twórców o znaczącym dorobku oraz istotnym wpływie na polskie umysły. Nie uprawiam żalów, chcę tylko powiedzieć, że przysporzenie stanu posiadania literatury polskiej wiązało się ze stratą, z procesem wielkiego zapomnienia. Zresztą dwudziestolecie 1989–2009 nie jest jednorodne. Otóż mgławicowa, albo też kalejdoskopowa recepcja utworów najnowszych w różnych okresach ujawniała rozmaite preferencje. Reflektor uwagi krytyków i czytelników przesunął się z literatury non-fiction (diarystyki, reportaży, literatury dokumentu osobistego) na atrakcyjną prozę nowych roczników, z ciekawej różnorodnej eseistyki – na poezję.

Dużo się czyta, mało zapamiętuje. Nasz odbiór często odbywa wędrówkę od przypadku do przypadku, od książki do książki, bo, jak mówiliśmy, sezony są zmienne, a demon popularności bywa kapryśny. Wielość ofert wpływa na spłaszczenie wartościowania. Staroświecko rzecz ujmując, hierarchie ponadczasowe rozplývają się w doraźnych aktualnych ocenach, krytyka najczęściej nie projektuje całości ideowych, lecz towarzyszy rozdrobnionym literackim faktom. Bywają też takie projekty krytyczne, które, premiując młodość, lekceważą osiągnięcia mistrzów. Rzekomo mistrzowie wstrzymują swobodny rozwój (po)nowoczesnej literatury, gdyż pragną wartości sprawdzalnych, nie godzą się na gry, grymasy, parodie. Ekscytujące jest potrząsanie nowości kwiatem, ale trwa krótko, bo płatki tej wdzięcznej roślinki szybko się zsypią. By pozostać na stałe w literaturze – nie ma rady – trzeba stać się klasykiem, nawet pogardzając nieśmiertelnością w kulturze.

Pamięć dwudziestoletniej przeszłości powinna się stowarzyszyć z wyobraźnią przyszłości, z myśleniem o tym, co pozostanie z czasów, kiedy zmieniał się kanon lektur oraz ulegały przewartościowaniu obyczaje czytelników, jakie „dzieła kontynuacji” okażą się najważniejsze. Kłopoty z zobowiązującą odpowiedzią nastęrcza każda ankietka. Ta również. Każę nam wybierać i niejako absolutyzować wyniki selekcji, do tego uzasadniać spójność takiego proceduru, ale podejrzanę jest zadufkowane przeświad-

czenie, że panujemy nad tym wszystkim, o czym ośmielamy się teraz rozprawić. Na samym wstępie ujawniają się luki w lekturze, bo brakło sił, bo brakło czasu. Na pocieszenie można powiedzieć, że „arcydzieło nieznane” lepiej spełnia sen o doskonałości, niż właśnie odłożona na półkę książka, świetna bez wątplenia, lecz połowicznie, nie do końca, w jakiejś mierze rozczarowująca. Nie przeczytane utwory o legendarnej sławie wabią tajemnicą i magią, a obietnica wielkich przeżyć pozostaje zawieszona. Może więc – paradoksalnie – warto przedłużać stan nieuctwa? Moim przeciwnikiem w rozpoznawaniu książek najważniejszych, nie dających się niczym zastąpić, jest również sugestywnie opisana przez Patricka Süskinda amnezja in litteris. Ślad fascynacji pozostaje zatarty, kryteria oceny, jakimi posłużyłem się w przeszłości – niejasne. Nawet ja sam (czytający, przejęty) jestem tylko cieniem.

Pragnąłbym swoje sądy zobiektywizować, lecz w czyim imieniu mówię, w czym znajduję oparcie? W instytucji (uniwersytecie, periodyku, konkursie, rankingu), w opiniach innych (tak, wierzę kilku krytykom), w środowisku, grupie przyjaciół, salonie, koterii? Można opierać się na werdyktach jury prestiżowych nagród. Przecież takie gremia specjalistów biegłe wyłuskują wartość – z wielości, albo myślą się znacząco... Można także rachować ilość entuzjastycznych głosów poświęconych jakiemuś dziełu. Ale obiektywizm rozpoznań dopisałbym do listy przesądów. I tak, przy całej niewygodzie takiej sytuacji, skazany jestem na samego siebie. Przeto lista książek najważniejszych będzie niepełna, niekompletna, na pewno prowizoryczna.

*

Porządek tych uwag musi pozostać chimeryczny, do jakiegoś stopnia dygresyjny. Zacznę od poezji mistrzów. Tutaj wśród książek najważniejszych chciałbym wymienić przede wszystkim znakomite tomy Czesława Miłosza *Na brzegu rzeki*, *To i Drugą przestrzeń* – z niezwykle, głębokim, dialogowym (wielogłosowym) Traktatem teologicznym, zbiory poezji Tadeusza Różewicza *Płaskorzeźba* i *Nożyk profesora*, w których do poprzednich diagnoz świata w kryzysie dochodzą nowe zdumienia, sumowanie doświadczeń łączy się z rozpoczynaniem na nowo, a forma poematowa uderza zaskakującymi rozwiązaniami artystycznymi, Wisławy Szymborskiej kolekcje wierszy *Koniec*

i początek oraz Chwilę, w których elegijny namysł łączy się z rozwijaną sztuką ironicznych uogólnień dotyczących egzystencji oraz historii.

W tej sekwencji miejsce eksponowane zajmują liryki Julii Hartwig (Zobaczono, Nie ma odpowiedzi) – świadectwa czułej obecności w świecie, zapisy autentycznych, refleksyjnych spotkań ze światem sztuki. Przejmującą wymowę mają ostatnie wiersze Zbigniewa Herberta (z tomów *Rovigo* i *Epilog burzy*). Jego elegie, brewiarze, pożegnania, listy poetyckie, wyznania i rozliczenia, do których wciąż się powraca, na pewno pozostaną w kanonie. Mocną pozycję na mojej prywatnej liście zachowują książki Ryszarda Krynickiego (*Kamień, szron*), Stanisława Barańczaka (*Podróż zimowa* i *Chirurgiczna precyzja*), Adama Zagajewskiego (*Pragnienie, Anteny*). W tych przypadkach mistrzostwo poetyckie przejawia się w słowie lapidarnym, skondensowanym, a także w postrzeganiu fragmentów świata otwierających się na nieprzenikloną „wielką całość”, podziw rezonującego czytelnika budzą powiązania poezji z muzyką, przejścia od wirtuozowskiej zabawy słowem do rozważań o rzeczach ostatecznych, i jeszcze: podróżowanie rozumiane jako wędrówka po miastach i krajobrazach i jako wojaż w głąb egzystencji nastawione jest na słuchanie głosów, wyczuwanie aury miejsca – w ciągłym zauroczeniu, czuwaniu, przerażeniu. Subtelna liryka, jeśli nawet ją uznamy za (szlachetne) wykroczenie przeciwko obyczajom w kulturze, staje się antidotum na barbaryzację doznań i odczuć.

Prawdziwym odkryciem ostatniego dwudziestolecia jest poezja Janusza Szubera, o czym na szczęście nie trzeba już nikogo przekonywać. Tej poezji, zawieszanej pomiędzy osobistym mitem prowincji a uniwersalnością filozoficznej refleksji, poświęconych zostało wiele przenikliwych krytycznych wypowiedzi. Wymienić tu pragnę trzy wybory autorskie: *O chłopcu mieszkającym powidła*, *Lekcja Tejrzejzasa* i *Pianie kogutów*, by ujawnić szeroką skalę możliwości: od autobiograficznych opowieści po „traktaty”, od rejestracji rzeczy do uogólniających rozmyślań, od centonów po kunsztowną grę z tradycyjnymi stylami poezji. A który z tomów poetyckich powinienem wskazać? Chyba jednak *Czerzeż*, bo dochodzi tu jeszcze cykl pięknych miniatur zatytułowany 49.

Zachód słońca w Milanówku Jarosława Marka Rymkiewicza – z przedziwnym ogrodem urządzonym wedle porządku muzycznego, w którym zamieszkują duchy wielkich artystów, upiory, koty i rośliny obdarzone duszą, a także abstrakcje: wieczne pytania, rozterki egzystencji, sny i powidoki, pozostanie jako ważna pozycja omawianego okresu. Z respektem my-

ślę o Słojach zadrzewnych Tymoteusza Karpowicza jako o eksperymencie, wieloelementowej konstrukcji artystycznej, nowych eksploracjach metafory, wejściu w rozwidlające się ścieżki spekulatywnej myśli. Opus magnum tego poety jest szczególnie trudnym wyzwaniem dla czytelnika.

Osobny obszar w tym zestawieniu książek istotnych tworzą teksty odzyskane. Mam na myśli powroty twórczości poetów emigracyjnych. Ich dorobek został zaprezentowany w całości, czyli tak, by wreszcie ujawnić się mogła ranga artystyczna dzieł niegdyś ocenzurowanych. Wymienić warto przede wszystkim *Poezje zebrane* (1992) Aleksandra Wata z obszernym wstępem Anny Micińskiej, powtórzone w pierwszym tomie *Pism zebranych* (1997). Również cennym rozszerzeniem kanonu polskiej poezji współczesnej jest ważny tom Bogdana Czaykowskiego *Jakieś ogromne szczęście* (2007) – w opracowaniu Bożeny Szałasty-Rogowskiej. Czaykowski to poeta filozofujący, rozmyślający nad czasem, istota ludzkiego wygnania, własnym niepewnym miejscem w świecie. Poeta epifanii posługujący się kunsztowną formą, niestety, wciąż zbyt mało znany, zdecydowanie niedoceniony. Poprzedni jego wybór wierszy *Wiatr z innej strony* (1990) przeszedł niemal bez echa. Cóż, polska krytyka lubi poruszać się stadnie, wytyczonym traktem.

Na koniec tej części rozważań, a raczej wyliczeń, chciałbym dodać rejestr tomów poetyckich, które mnie zachwyciły i mam nadzieję, że wcześniej czy później staną się one lekturami obowiązkowymi miłośników poezji: Józef Baran, *Dolina ludzi spokojnych*, Jerzy Ficowski, *Zawczas z poniewczasem*, Jerzy Górsański, *To drugie światło*, Bogusława Latawiec, *Odkrytki*, Marzanna Bogumiła Kielar, *Monodia*, Urszula Kozioł, *W płynnym stanie*, Krzysztof Lisowski, *Przechodzenie przez rzekę*, Bronisław Maj, *Światło*, Andrzej Mandalian, *Strzęp całunu*, Joanna Pollakówna, *Skąpa jasność*, Piotr Szewc, *Całkiem prywatnie*, Artur Szlosarek, *Pod obcym niebem*. Nie wyliczę się, nie spłacę czytelniczego długu. A gdzie wiersze Elektorowicza, Karaska, Kapuścińskiego, Kawińskiego, Kornhausera, Kuczkowskiego, Kuryłaka, Lipskiej, Mariańskiej, L.A. Moczulskiego, Nowosielskiego, Plutowicza, Stabry – i innych? A objawione talenty młodych artystów słowa? Z ostrożności w literackim procesie nie podejmuję na razie kwestii, kto przejmie świetne tradycje. Dość powiedzieć, że poezja polska – w różnorodnych stylach i skalach wrażliwości, najmocniej, zapewne najbardziej trwale, zaznaczyła swoją obecność w literaturze ostatniego dwudziestolecia, choć nie tak spektakularnie i „rynkowo” jak proza narracyjna. Tyle pięknych wierszy, tak mało uwagi i czasu.

*

Nie jestem „jednym z najobszerniejszych czytelników” prozy polskiej (określenie w cudzysłowie zaczerpnięte zostało z listu Stanisława Trembeckiego do Stanisława Augusta Poniatowskiego.) Daleko mi do prawdziwych znawców, których podziwiam. Nie mniej jednak staram się śledzić nowości, a do książek beletrystycznych z nieodległych lat chętnie powracam. Zwykle towarzyszy mi zauroczenie, ciekawość, i namysł nad wykonaniem warsztatowym, rzadziej – zniechęcenie, ziewanie. Obrachunek na potrzeby tej ankiety wygląda następująco: do najwybitniejszych dokonań powieściowych zaliczam książki Wiesława Myśliwskiego – *Widnokrąg* i *Traktat o łuskaniu fasoli*. Nie tylko mamy tu do czynienia ze sztuką opowiadania najwyższej miary, lecz także zauważamy szeroką perspektywę epicką – zwykle słabiej zarysowaną w nowej prozie polskiej. Myśliwski szereguje epizody według wskazań pamięci, zmienia style narracji oraz punkty, z których obserwuje się różnorodny świat, wychodzi od drobiazgów – może to być fotografia, może to być przedmiot – i uzyskuje frapujące opowieści, z pozornie rozproszonych „nowel” konstruuje spójne wizje rzeczywistości. Nie stroni od historycznych realiów, może tylko dyskretnie odsuwa je na dalszy plan, kreuje sugestywne postaci literackie, przy czym opowieść ma wiele z przypowieści, pisarz bowiem rozmyśla o sprawach tak elementarnych, jak życie i śmierć.

Nie sposób rozprawić o prozie polskiej dwóch dekad ostatnich, pomijając takie jakości i tematy, jak quasi-sповідź, groteskowe niby-wspomnienia, dzieje terenów pogranicznych, opisy miejsc wielokulturowych, nowe formuły podróŜowania, które słuŜą rewizji wyobraŜeń tego, co europejskie, konfrontacje kilku toŜsamości, ewokacje pięknych prowincji, powroty do mitycznego dzieciństwa. Wspomnijmy równieŜ o ironicznym fantazjowaniu oraz o wyrafinowanej grze z literaturą popularną. I tak dalej. Z wprowadzeniem przykładów trochę się waham. Na pewno w wyliczeniu nie powinno zabraknąć *Wszystkich języków świata* Zbigniewa Menzla, *Lidy Aleksandra Jurewicza*, *Hanemanna* Stefana Chwina, *Opowiadań na czas przeprowadzki* Pawła Huelle (Weiser Dawidek, dość licho wydany w Wydawnictwie Morskim w roku 1987, święcił triumfy po 1989), *Jadąc do Babadag* Andrzeja Stasiuka, *Snów i kamieni* Magdaleny Tulli, *Zmierzchów i poranków* Piotra Szewca, *Apokryfu* Agłai Jerzego Sosnowskiego. Z niesłabnącym zainteresowaniem zapoznają się z nowym pojmowaniem sytuacji emigranta w ambitnej prozie Ewy Stachniak oraz Bronisława Świdzkiego.

Na omawiane lata przypada wielki sukces Ryszarda Kapuścińskiego. Biblioteka jego teksów wzbogaciła się o rewelacyjne Lapidaria, podzielone na sześć serii, wydane niedawno w dwóch tomach, zapisy łączące w sobie esej, dziennik, traktat literaturoznawczy i kulturowy, autobiografię, publicystykę i rozmyślania intelektualisty. Natomiast w niezwykle ważnych Podróżach z Herodotem (2008) Kapuściński konfrontuje swoje „przekraczanie granic” w reporterskich wędrówkach z wyprawą w czasie – w stronę autora Dziejów, z czego rodzi się refleksja o historii, która uczy nas nie tylko o czynach szlachetnych. Na pograniczu wspomnień i prozy artystycznej lokuje się zbiór Bohdana Korzeniowskiego Książki i ludzie. Dla mnie ten niewielki tom wiele znaczy, a znany twórca teatru i pedagog (jego niezwykła osobowość zaprezentowana została w rozmowach z Małgorzatą Szejnert – Sława i infamia) jawi się jako znakomity pisarz.

Polski esej ma się bardzo dobrze. Rozwija się w różnych kierunkach i zachowuje najwyższy poziom – myślowy, artystyczny, moralny. Sylwetkom poszczególnych eseistów należałoby poświęcić więcej miejsca, niż to jest możliwe w tym rozrastającym się tekście. Na pierwszym miejscu umieszczam – jako wzory mądrości, erudycji (to nie to samo) i finezji posługiwania się słowem – książki Ryszarda Przybylskiego: Cięń jaskółki, Baśń zimową, Krzemieniec. Następnie tworzy się taka kolekcja: Zygmunt Kubiak – Przestrzeń dzieł wiecznych, Brewiarz Europejczyka, Uśmiech Kore, Jarosław Marek Rymkiewicz – eseje o romantyzmie (Kilka szczegółów, Do Snowia i dalej...), Czesław Miłosz – Życie na wyspach, Stanisław Barańczak – Poezja i duch Uogólnienia, Adam Zagajewski – Obrona żarliwości. Z esejów filozoficznych – książki Leszka Kołakowskiego i Barbary Skargi. I jeszcze eseje odzyskane dla polskiego czytelnika, bądź scalone w osobnym tomie: Orfeusz w piekle XX wieku Józefa Wittlina oraz Labirynt nad morzem Zbigniewa Herberta.

O historii, w tym „historii moralnej zapaści” nie wolno zapominać – odciska się ona w nas, rozbija dobre samopoczucie, niepokoi, wymaga osobistego stanowiska. Z tego powodu za niezwykle istotną uważam książkę Strach. Antysemityzm w Polsce tuż po wojnie Jana Tomasa Grossa. Pozostają na koniec świadectwa diarystyczne i epistolograficzne. Niemożliwa do zakwestionowania jest wartość Dzienników Zofii Nałkowskiej – z komentarzami Hanny Kirchner (szczególnie poruszyły mnie tomy ostatnie), oraz Dzienników powojennych Marii Dąbrowskiej – w opracowaniu Tadeusza Drewnowskiego. W bibliotece najbardziej podręcznej pozostaną zapewne Miesiące Kazimierza Brandysa, Dziennik pisany nocą Gustawa Herlinga-Grudzińskiego – z włą-

czonymi w tekst opowiadaniemi i esejami, Rok myśliwego Czesława Miłosza, Raptularz 1965–1967 Zbigniewa Raszewskiego. Dziennika Jarosława Iwaszkiewicza wciąż jeszcze nie czytałem. Na pokojach mówi się o jednym zdaniu (zgadnij, Czytelniku, o którym?). To może trochę odstręczać.

Listy. Niech będzie lista listów: listy-eseje Jerzego Andrzejewskiego i Czesława Miłosza ogłoszone w książce Noblisty Legendy nowoczesności, monumentalne tomy Korespondencji Aleksandra Wata (Pisma zebrane, tom IV, opracowała Alina Kowalczykowa), kolekcja korespondencji z Jerzym Giedroyciem (seria Archiwum „Kultury”), Jan Błoński, Sławomir Mrożek, Listy 1963–1996. W tym ostatnim zbiorze Jan Błoński objawia się jako przyjazny empatyczny rozmówca, a Sławomir Mrożek – jako przenikliwy krytyk literacki.

Czas wywikłać się ze zobowiązania wobec „Kwartalnika Artystycznego”, a tu zadanie częściowo tylko odrobione. Można by wymyślić „topiczne” zamknięcie: zmierzcha się, pies oczekuje na spacer, przyjaciele dzwonią do drzwi, trzeba pędzić do pisania następnych tekstów. Przeglądam z niepokojem i niepewnością regały w domowej bibliotece, przemierzam przestrzeń biblioteki przechowanej we własnej głowie. Coś się osadziło na sitku pamięci, coś domaga się rezonansu. Oczywiście – przegląd jest pobieżny, niewystarczający. Do powtórnego namysłu. Do korekty.

Wojciech Ligęza

Arkadiusz Morawiec

Skromnie?

Moi znajomi przyrodnicy o zainteresowaniach humanistycznych wprawiają mnie w kłopot, pytając, co ciekawego dzieje się w literaturze, co z rzeczy nowych warto czytać. Gdy pytają raz, drugi, trzeci – jest nieźle. Wymieniam z przekonaniem tytuły, raczej dotyczące prozy, aniżeli poezji i dramatu. Zainteresowanym zwykle bowiem chodzi o fabułę. Indagowany po raz dziesiąty, tracę jednak rezon i proponuję, aby przeczytali, jeśli dotąd tego nie uczynili, Martwe dusze, Jądro ciemności, Mistrza i Małgorzatę, Moskwę–Pietuszkę... Niekiedy proponuję Czarny potok. Polecam te nieliczne książki, po które sam wciąż mam ochotę sięgać.

Moja odpowiedź na sformułowaną w ankiecie kwestię wydaje się więc prosta. Zastrzegam się jednak, że nie przeczytałem wszystkiego. Być może przeoczę jakieś teksty godne uznania; pocieszam się, że wskażą je inni. I jeszcze jedno: przez „książki najważniejsze” rozumiem zarówno pozycje, które mnie szczególnie przypadły do gustu, jak i książki znaczące dla literatury polskiej, niezależnie od moich upodobań. W tej drugiej, obiektywizującej perspektywie ważność odnosiłaby się, z jednej strony, do książek wartościowych pod względem artystycznym oraz intelektualnym, z drugiej zaś – do utworów cennych, gdyż wnoszących nową jakość do systemu konwencji literackich, do historii literatury, choćby tylko najnowszej (Jerzy Ziomek wspominał w tym drugim przypadku o wartości generującej). Oczywiście, mam nadzieję, że mój wybór ma charakter możliwie obiektywny.

Zacznę od prozy. Spośród książek, których ponowna lektura sprawia mi przyjemność, wymienię Hanemanna Stefana Chwina – powieść fascynującą, inteligentną, realizującą postmodernistyczny postulat łączenia sztuki z atrakcyjnością. Jest w niej to, czego szukam w prozie: znakomity warsztat, intrygująca fabuła, istotna problematyka oraz interpretacyjne otwarcie. Skoro mowa o postmodernizmie, wypada wskazać Tworki Marka Bieńczyka, stylistyczno-intelektualny majstersztyk, tekst mierzący się w zupełnie nowy sposób, nie tylko na gruncie literatury polskiej, z tematem Zagłady. Spośród dzieł, które w sposób znaczący wzbogaciły, przeżywającą w ostatnich latach renesans, polską literaturę holokaustową przywołam też Czarne sezony Michała Głowińskiego, przejmujące dzieło znakomitego literaturoznawcy i, jak się okazuje, świetnego pisarza. Upominałbym się przy okazji – nie ze względu na wagę tematu, lecz na artystyczną jakość – o krótkie „dramatyczno-liryczne” prozy Idy Fink z tomu Ślady, autorki wciąż wyżej cenionej na Zachodzie czy w Izraelu niż w Polsce (notabene jest to literatura o nieba lepsza niż głośna, narcystyczna proza Hanny Krall). Nie mogę w tym wyliczeniu pominąć Zmierzchów i poranków Piotra Szewca, powieści, z rzadką jak na prozę czułością, opisującej (re-kreującej) świat bezpowrotnie miniony, a przy tym będącej niebywale sugestywną apologią bytu i bycia. Opoдал Zmierzchów usytuowałbym tom opowiadań Dziewczyna z ganku Kazimierza Orłosia, realista może mniej niż Szewc metafizycznego, choć nie mniej sensualnego i równie empatycznego. Najnowsza proza Orłosia przekonuje, że literatura wciąż, wbrew postmodernistycznym sloganom, pozwala chwytać rzeczywistość i mówić o niej, a także o człowieku, rzeczy istotne.

Swego czasu duże wrażenie zrobiły na mnie Zapiski z nocnych dyżurów Jacka Baczaka, skromne objętościowo dziełko penetrujące, możliwe taktownie, sfery omijane dotąd przez literaturę, a zarazem wypierane przez kulturę Zachodu – starość, chorobę, umieranie. Dziś jednak zapiski te wydają mi się nazbyt egotyczne. Ze względu nie tylko na wartość generującą (o której świadczy liczne grono naśladowców) wypada przywołać Wszędobylstwo porządku Adama Wiedemanna. Ten zbiór na pozór banalistycznych opowiadań to w rzeczy samej inteligentne, przewrotne, z ducha Gombrowiczowskiego Kosmosu poczęte rozważania dotyczące bytu, sensu – nie wiadomo, czy tkwiącego immanentnie w rzeczywistości, czy też konstruowanego przez ludzki umysł.

Także w dziedzinie poezji wypadałoby wskazać dokonania o wartości generującej. Na pewno ważnym poetą okazuje się w tej perspektywie Marcin Świetlicki jako autor *Zimnych krajów* czy *Schizmy*, tomików silnie inspirujących młodszą poezję. Wskazałbym również na „prędkie słowa” i „oszołamiające antycypacje” Andrzeja Sosnowskiego (choćby tom *Życie na Korei*). O randze tej poezji niech wypowie się czas. Jeśli zaś chodzi o mnie, usytuowanego w roku 2009 – nie mam wątpliwości w zaledwie kilku przypadkach, przy czym mój wybór raczej nie należy do oryginalnych. Z klasyków (potwierdzających swoją klasę) wskazałbym Zbigniewa Herberta i jego pożegnalny tom *Epilog burzy*, Czesława Miłosza jako autora pośmiertnie ogłoszonych *Wierszy ostatnich* (czytamy tutaj: „swoje słowa układał przeciw śmierci”) oraz Tadeusza Różewicza. Mógłbym wymienić tytuły kilku tomików radomszczanina. Ze względu na wiersze bez oraz *** (*Czas mnie nagli...*), jedno z najlepszych w całym jego dorobku, wskażę *Płaskorzeźbę*. Grono poetów kanonicznych chciałbym wzbogacić o objawienie minionego dwudziestolecia – Janusza Szubera (i jego bogaty wybór z lat 1968–1997 – *O chłopcu mieszkającym powiśla*) oraz Urszulę Koziół, autorkę doskonałego, męznego (mężnością bycia) tomiku *Przełotem*.

Przywołałem dzieła autorów dojrzałych (nie tylko wiekiem), mądrych, mówiących jasno o sprawach ważnych, a przy tym usiłujących dotknąć – poprzez słowo – rzeczywistości, a może i tego, co skrywa się (?) poza nią. Wprawdzie wymieniałem niewiele książek, dobre jednak i to w czasach wszędobylskiego, potężniejszego bełkotu, w świecie wywołujących zachwyty wojen pod flagą biało-czerwoną.

Andrzej Skrendo

Ankieta

Poezja:

Tadeusz Dąbrowski, *Te Deum*
Krystyna Miłobędzka, *Po krzyku*
Tadeusz Różewicz, *Płaskorzeźba*
Jarosław Marek Rymkiewicz, *Zachód słońca w Milanówku*
Andrzej Sosnowski, *Stancje*
Wisława Szymborska, *Koniec i początek*
Marcin Świetlicki, *Schizma*
Eugeniusz Tkaczyszyn-Dycki, *Przewodnik dla bezdomnych niezależnie od miejsca zamieszkania*
Adam Wiedemann, *Pensum*
Bohdan Zadura, *Cisza*

Proza:

Lidia Amejko, *Żywoty świętych osiedlowych*
Marek Bieńczyk, *Tworki*
Darek Foks, Zbigniew Libera, *Co robi łączniczka*
Natasza Goerke, *Fractale. Sklepy prześcieradłowe*
Wojciech Kuczok, *Opowieści słychane*
Wiesław Myśliwski, *Widnokraj*
Marian Pankowski, *Z Auszwicu do Belsen*
Janusz Rudnicki, *Mój Wehrmacht*
Andrzej Stasiuk, *Mury Hebronu*
Michał Witkowski, *Lubiewo*

Esej:

Zygmunt Bauman, *Etyka ponowoczesna*
Agata Bielik-Robson, *Duch powierzchni*
Marek Bieńczyk, *Melancholia. O tych co nigdy nie odnajdą straty*
Jolanta Brach-Czaina, *Szczeliny istnienia*
Leszek Kołakowski, *Horror metaphysicus*
Michał Paweł Markowski, *Nietzsche. Filozofia interpretacji*
Czesław Miłosz, *Rok myśliwego*

Jerzy Pilch, Pociąg do życia wiecznego

Ryszard Przybylski, Baśń zimowa. Esej o starości

Jarosław Marek Rymkiewicz, Leśmian. Encyklopedia

Jeszcze dwa komentarze i wyznanie. Komentarz pierwszy – w każdej kategorii genologicznej wymieniłem po dziesięć pozycji. Kolejność alfabetyczna. Dział trzeci jest niejednorodny – tak jak sama kategoria eseju. Teksty umieszczone w tym dziale łączy nie tyle gatunkowa kategoria eseju, ile estetyczna kategoria eseistyczności. Wymieniono tu ważne – jak mi się zdaje – dzieła z pogranicza filozofii, nauki o literaturze i literatury.

Niektóre wybory były bardziej kłopotliwe niż inne. Tak było w przypadku Pilcha, którego wyżej cenię jako felietonistę niż prozaika i nie chciałbym się teraz spierać o to, czy Pociąg do życia wiecznego bardziej przypomina powieść, esej czy zbiór felietonów – moja kwalifikacja jest umowna. Podobnie z Januszem Rudnickim. Najchętniej wymieniłbym Listy z Hamburga, ale książki pod tym tytułem Rudnicki nie wydał, umieszczając poszczególne Listy w różnych swoich książkach. Wybieram Mój Wehrmacht, bo oprócz Listów jest tu kilka znakomitych opowiadań.

Komentarz drugi – dotyczy on tego, czym jest „książka ważna”? Przyjmuję, że jest to książka zmieniająca nasze wyobrażenia dotyczące tego, czym są i czym mogą być literatura oraz rzeczywistość. Brzmi to ogólnikowo, ale nie może być inaczej. Pytanie o książki ważne jest bowiem tyleż pytaniem o literaturę, ile o wspólnotę, która czyta i określa kryteria ważności. Kłopot w tym, że takie kryteria trudniej dziś ustalić niż kiedykolwiek wcześniej. Pewne jest chyba tylko jedno – nie są to kryteria wyłącznie artystyczne.

Na koniec wyznanie – zapytuję siebie, czy wymieniłem książki ważne, czy też takie, o których mógłbym powiedzieć, że chciałbym, aby były ważne. Nie wiem, jak na to odpowiedzieć. Nie każda książka wybitna jest książką ważną tu i teraz. Nie każda książka ważna tu i teraz jest książką wybitną. Wymieniłem te pozycje, które spełniają (spełniły) oba kryteria naraz.

I jeszcze jedno: szukając odpowiedzi na pytanie zadane w ankiecie utwierdziłem się w opinii, że ostatnie dwadzieścia lat w polskiej literaturze było przede wszystkim czasem poezji i eseju, nie zaś prozy. Nie umiem oprzeć się wrażeniu, że najlepsza proza, która ukazywała się w Polsce w ostatnich dwudziestu latach, to przede wszystkim przekłady.

Andrzej Skrendo

Adriana Szymańska

Blizna

Profesorowi Tomaszowi Pasierskiemu

„Tam, gdzie sądzisz, że chodzi o zdobycie i posiadanie, chodzi tylko o to, aby się stawać, aby naprawdę być i umrzeć w pełni swojej istoty. Powiedz sobie, że nagrodą jest przede wszystkim śmierć, która nareszcie zwalnia statek z cumy i uwięzi. Szczęśliwy ten, kto jest obciążony skarbem.”

Antoine de Saint-Exupéry, Twierdza

Dziura w moim sercu powiększa się, tym samym
zmniejsza się ilość pragnień. Już nie mogę
skakać po górach, ścigać się z wiatrem w polu,
biegać z psami przez leśny bezmiar. W końcu
co mi zostanie do wzięcia w ramiona,
przywarłe do krzyża okna z widokiem na skrawek
nieba? Odlatująca jaskółka, rozsnuta jak bandaż
smuga za samolotem, chmura, oddalona
o setki oddechów od zmęczonego wzroku?
Niewiele mam możliwości, a jednak wciąż wierzę,

że nawet blizna, która otuli kiedyś moje
sponiewierane serce, wysklepi się ciemną gwiazdą
w struchlałej przestrzeni. Każdy z nas,
umierając, zabliźnia ślad po sobie w ciele świata
osobnym
nieutulonym
niczym.

Noc i dzień Nowego Roku

Niebo w wielobarwnych fajerwerkach.
Wystrzały tak głośnie, jakby odpalano bomby.
Zawsze bałam się ruchomych świateł na niebie
bardziej niż gromów. Kiedyś na mnie-niemowlę
zawalił się sufit od działań pobliskiego frontu.
Ocalałam nie po to, aby żyć. Ocalałam, aby życie
było dla mnie cudem. I teraz śnieg mżący za oknem
przyprawia mnie o dreszcz radości, a sikorki
skubiące ziarno w karmniku są jak klejnoty
na bezlistnej brzozie.

Coraz mniej mnie w tym świecie
nieskończonych tajemnic, coraz bardziej
moje kroki wydeptują posadzkę domu. A przecież
nawet fiołek alpejski na parapecie, zakwitający
szkarłatem po raz kolejny tej zimy, wzrusza mnie
jak ślepe szczenię. Moje zmysły wciąż sprzyjają
mojej woli i choć mróz wyjść mi dalej niż za próg
nie pozwala, wiem, że mogłabym frunąć
razem z wróblem wydziobującym okruszki z tarasu,
gdybym tylko wzięła głębszy oddech.

A więc – śnieżycy i wy, syte ptaki
i psy dotulone, i z nasionek poczęte drzewa –
zaświadczcie, gdy przyjdzie pora, wysoko, jak nawyżej,
(niechby aż w niebiosach!), że kochałam tu – widząc,
słyszając i lgnąc do was – nie na oślep.

Na ratunek

Maleńki trzcinniczek znad tucholskiego jeziora
wpadł, polując na owady, do oszklonej altany.
Latał jak oszalały, nie znajdując wyjścia:
to siadł na głowie Małgosi, to wtulił się
w rękę Andrzeja, drżąc z niepokoju w obcej,
zamkniętej przestrzeni. Oni zwrócili go gniazdu,
a zdjęcia mi przysłane, opowiadają
historię ocalenia.

I oto teraz

maleńki trzcinniczek czuwa z fotografii
nad moim snem we włosach Małgosi i w rękach
Andrzeja na zmianę. Jest jak zaczarowany kurant,
wyśpiewujący światu godziny trwania.
Ilekcroć na niego patrzę, myślę o innych ptakach,
innych istnieniach skazanych na zagładę:
nagi instynkt to przecież za mało, żeby
wyjść cało z każdej opresji. Ten trzcinniczek
naprawdę zimuje gdzieś za morzami,
modrogłowa sikorka pożywia się ziarnem
w karmniku za oknem. Ale inna para,
innym razem, nie będzie mieć tyle szczęścia.
Inne życie, w innym świecie czy kiedykolwiek
ma szansę się zjawić?

Śpiewaj więc

kto może, ażeby ci, którzy ocalają, nadal ocalać
mieli sposobność. A ocaleni niechaj cieszą się

z nami.

Adriana Szymańska

Józef Kurylak

Komnaty

Wiem – Boga na pewno nie ma na księżycu
po co miałby tam być dla kogo – dla pustki? dla prochu?
znam ciemności których lęka się nawet matematyka
zwłaszcza nierozumne drogocenne koła liczby i linie proste
czemu w tym lochu nie zjawia się pierwsza miłość z latarnią
czemu kwitnąca czereśnia zakrywa swą twarz czarnym welonem
choć w oceanach Saturna na głębokości dwustu kilometrów
co kilka minut uderzają pioruny i słychać śmiech błyskawic
halucynacje Krzysztofa Kolumba wciąż trwają
przybyło im tylko form dźwięków płaczu i kolorowych świateł
do ich portu wpłynęła także bezdomna złotowłosa dziewczynka
która nazywa się Apokalipsa... Ale północna komnata
jest czarną mapą południowa białą wirującą kulą
w pustych szeleszczą sukniami umarłe księżniczki
o których marzyłem gdy cierpiałem z miłości
za murami komnat przy niebieskim stole oceanu
zasiadły państwa: czarny żwir i żelazne rdzewiejące wieże

zgubiłem się wśród cmentarzy... lecz w XXI wieku
o p ł a c a się umrzeć gdyż w komnatach na Tamtym Świecie
mieszka teraz wielu sławnych wielkich ludzi
niektórych od dawna pragnę poznać osobiście
waga jakości świata przechyliła się ku śmierci

* * *

Dziewczyny mego miasta piękne kiedyś
teraz za sobą ciągną zardzewiały
długi i ciężki swych lat łańcuch
ciągną go w cichej nocy ulicami
jak rosyjscy burłacy łodzie
ile im jeszcze ogniów pozostało?

W ich oczach nie widzę płaczu lub pokory
trwoga mnie ogarnęła na widok Halinki
gdy przechodziłem obok niej wieczorem
to była biała ciemność zła: maska potwora

Ciągnęła ciężki czarny łańcuch za sobą
jak żelazny warkocz lub żelazny ogon
jej oczy złorzeczyły rodzicom i Bogu
dzieciom przechodniom księżycowi grobom

Józef Kurylak

Kazimierz Nowosielski

Obrazy

Z jakiego czuwania
przybywa czasem co było minęło?
Śmiechy dziecięce przy zakolu rzeki
tam gdzie trochę głębiej – i nurkują
chłopcy Od pola idące
pokrzykiwanie ojca na konie: hojta! ksebie!
Nad drogą kurz pod niebo Rozgrzana ziemia
parzy twoje stopy – – A zaraz potem
nie wiadomo czemu zapach
kawy w Maladze i dwie piękne kobiety
w kawiarni pod winogradem
(Jedna z nich spojrzeniem swoim
obiecowała ci dal niezwiędzoną)
Z jakiego czuwania sen o chłopcu w sadzie?
Biegiesz w jego stronę
– a tam nikt nie czeka

Dopowiedź

„Samo się wszystko skończy”
Jarosław Iwaszkiewicz

Nic się samo nie skończy –
Gdzieś trzeba będzie dokończyć
Dopłakać wszystko w śnie gorzkim
Dosnuć zaczęte wątki Zdjąć ciężar
innym zadany Zawrócić z drogi
wgnanych Przytulić – nieukozone
Podnieść – zaprzepaszczone
Wychować co się zabiło Wystawić
co nie powinno przeminąć Uwierzyć
w możliwe – w dopełniającą
sprawiedliwość – w nieogarnienie miłości
by umrzeć w swej nieśmiertelności
na zawsze

Kazimierz Nowosielski



Jean-Marie Gustave Le Clézio

Igraszki Anny

Wsiada do starego forda i rusza na spotkanie z Anną. Włącza silnik i wyjeżdża z garażu, zauważa matkę, stojącą na podwórku. Oślepiąca południowym słońcem stara kobieta mruży oczy i układa dłoń nad okularami, jakby chciała rozpoznać, kto prowadzi auto. A przecież poza nim w willi nie ma nikogo. Odczuwa dziwną pustkę w sercu, coś dalekiego, niezrozumiałego. Odwraca wzrok. Auto posuwa się po drobnych kamykach przez ogród, koła zjeżdżają na jezdnię. Być może to światło sprawia, że wszystko wydaje się dziwne, to samo światło, które odbijało się w siwych włosach matki i pobłyskiwało na białym murze willi, na kamykach, jak jakiś uporczywy wzrok. Jedzie ulicą w stronę rynku, opuszcza szyby i czuje gorące powietrze na twarzy. Suchy i ciepły podmuch letniego wiatru wpada przez rękaw koszuli, wydyma ją na plecach. Opony piszczą na asfalcie, jakby były mokre, a on myśli, że to słońce roztopiło nawierzchnię jezdni. Lubi ten pisk i upał, a przede wszystkim to wielkie, oślepiające, błękitne niebo nad górami. Wjeżdża na wzgórze, obserwuje krajobraz, który tak uwielbia. Zna go dobrze, zna każdy jego szczegół, w każdej chwili dnia i nocy. Zna każde drzewo, każdą wyrwę w skale, dachy domów rozłożone daleko w dole. Ulice podobne do pęknięć, ogrody, wielkie, szare esplanady.

Myśli o tym wszystkim, kiedy samochód wjeżdża szeroką aleją pod górę, zakręt po zakręcie, aż na sam szczyt. Niebo jest rozświetlone, a betonowe budynki przyczepione do stoków, bielsze niż kiedykolwiek, wydają się wygrzewać na słońcu. Anna woli morze, plażę, sosny i białe żagle statków podczas regat. Wystrzega się gór. Uważa, że to krajobraz zbyt twardy, zbyt suchy. On kocha góry. Od dzieciństwa kochał skały, szare wąwozy, suche zarośla, które drapią w nogi, zapach piżma i roślin, wydobywający się ze szczelin, a szczególnie ciszę wiatru. Pamięta czasy, kiedy w jesienne niedziele towarzyszył ojcu podczas polowań, w lasach, na wyżynach czy też na nagich zboczach. Nie przypomina już sobie, jak wyglądał jego ojciec, ani czy go kochał, pamięta tylko tyle: niekończące się spacerunki w głąb parowów, w bladym słońcu poranka, pod niebieskim niebem, w ciszy skał. Nagły wzlot kuropatwy, czy też pościg za zającem, i jeden strzał, który docierał do głębi doliny niczym piorun.

Właśnie o tym myśli, kiedy jego auto z potężnym silnikiem wjeżdża w długi zakręt, opasany budynkami. Słońce odbija się o każdą szybę, zapalając przez ułamek sekundy oślepiającą iskrę. Na dole, morze zdaje się być nieruchome. Zamarłe fale utkały siateczkę z promieni słonecznych i przypominają drobne zmarszczki.

Wtedy odczuwa dziwny zawrót głowy. Zanurzył się w najgłębszych wspomnieniach, które boleśnie drążą jego duszę, a równocześnie przynoszą mu ulgę i uspokajają go, jak za każdym razem, gdy udaje mu się uciec myślami do czasów, kiedy to jeszcze nie znał Anny. Serce bije mu szybko i mocno, a dłonie pocą się na kierownicy tak, że musi je wycierać o spodnie. Lekko zwalnia i zjeżdża na prawą stronę szosy.

Przed nim szeroka aleja. Nie ma dużego ruchu, jak zwykle między dwunastą a drugą. Od czasu do czasu ciężarówka, tiry, które przyjeżdżają z Włoch z ładunkiem drzewa, czy też cysterny z benzyną. Na końcu alei jeszcze jeden zakręt, skąd widać na tle bezchmurnego nieba wyraźny i ciężki łańcuch gór. Później wjeżdża się w strefę cienia, tuż przed drogą, która prowadzi do Obserwatorium. Antoine zna trasę tak dobrze, że mógłby niemal prowadzić z zamkniętymi oczami, tak powiedział kiedyś do Anny. Jednak dziś jest nieco inaczej. Jakby był tu po raz pierwszy. Każdy szczegół, każde drzewo, każdy słup, każdy mur, każdy dom, wynurzają się z bolesną jasnością, zapadając na zawsze w jego pamięć. Może nigdy nie przyglądał się im tak, jak dziś, z tą rozgorączkowaną uwagą? Z głębi

tych rzeczy wyłania się lęk. Przed oczami przelatują mu ślizgające się linie, żywopłoty, słupy, poboczne drogi pokryte białymi papierami i kawałkami szkła. To droga posuwa się naprzód, a nie samochód. To ziemia rozszerza się wokół szczelnej, metalowej kabiny pojazdu, rozrzuca przedmioty, obrazy, wspomnienia. Chciałby zamknąć oczy, odczuwa coś w rodzaju znużenia, lecz jego wzrok nadal jest skupiony na drodze, a całe ciało automatycznie dostosowuje się do wymogów jazdy: lekkie ruchy rąk po kierownicy, nacisk prawej stopy na pedał gazu, krótkie spojrzenie w lusterko czy na deskę rozdzielczą.

Kątem oka widzi rozgałęzienie drogi w kierunku Obserwatorium, ale ciało już nie reaguje. A właściwie, reaguje – sztywnieje w bolesnym skurczu. Prędkość, droga, pobocza, wszystko ucieka do tyłu. Nie chce sobie przypomnieć, nie chce, jakby to był jakiś zły sen, gdy zapada w jego objęcia, koszmar powraca, powodując jeszcze większe cierpienie.

Tak jednak jest, wbrew jego woli. Migotanie słońca na przedniej szybie poprzez listowie drzew przypomina deszcz iskierek. Na zewnątrz powietrze musi być lekkie i przyjemne, dla tych, którzy mogą się zatrzymać, dla tych, którzy mogą się położyć na dywanie z sosnowych igiełek i oddychać, wpatrując się w niebieskie niebo. Wszędzie unosi się zapach Anny. Czuje go w kabinie samochodu, choć szyby są zamknięte, pomimo zapachu benzyny, jaki dochodzi z dziurawego dywanika. Czuje delikatny i mocny zapach, zapach włosów i zapach jej ciała. Zatrzymali się w ogródku Obserwatorium, żeby coś zjeść. Nie pamięta, co jedli, może sałatkę, którą Anna przyszykowała. Sałatka z ogórkami i kukurydzą, taka, jaką lubiła. Pili różowe wino, to pamięta. Anna zapaliła papierosa, amerykańskiego papierosa, ciągle zmieniała markę. Prawie ze sobą nie rozmawiali, mówili szeptem, jakby się sobie zwierzali, od tak, jakieś urywki zdań, półsłówka, które wiatr rozpędzał w słońcu wraz z dymem papierosa. Latem tylko świeższe ze sobą rozmawiają.

Teraz droga ciągnie się po najwyższym wzniesieniu góry. Po lewej stronie widzi zamglone i ciemne doliny, jak z samolotu. O tej porze już nikt tędy nie jeździ. Nie odczuwa ani głodu, ani zmęczenia. Wie, dokąd jedzie, dokąd musi pojechać. Wszystko pamięta, nie wymaga to od niego żadnego wysiłku. To tak miało być, dokładnie tak miało się wszystko potoczyć.

Miasto stało się szarą kałużą, zroszoną kroplami światła, rozpostartą w głębi doliny, między górami a morzem. Być może próbowali wtedy odnaleźć dom

Anny, zagubiony tam, gdzie widać supeł dróg. Czy też budynek towarzystwa ubezpieczeniowego, którego nazwę podświetlano nocą niebieskim neonem. Może ponownie położyli się w małym lesie, na dywanie z twardych igiełek, i to tam po raz pierwszy poznał smak jej ust. Myśli o tym lekkim smaku, o smaku jasnego tytoniu zmieszanego z powietrzem, jakie wydychała, i nagle serce zaczyna mu bić mocniej, a czoło i policzki pokrywają się potem. Lepiej by było, gdyby o tym nie myślał, gdyby nie pozwolił, by to powróciło, wie, że zaraz źle się poczuje. Zatrzymuje auto na poboczu, przy zakręcie, niedaleko stacji benzynowej Agip. Nigdy jej nie widział tak wyraźnie: wielki, cementowy dach, oparty na trzech szarych słupach, na których wiszą kołyszące się od porywu wiatru tablice. Na ziemi pomiędzy dystrybutorami leży ogromny wilczur. Kiedy auto się zatrzymało, nastawił uszy, ale się nie poruszył.

Z trudem wychodzi z auta i chwije się na wietrze. Wysiadł bardziej po to, aby usłyszeć szczekającego psa, niż odetchnąć świeżym powietrzem. Chce wreszcie usłyszeć coś, kogoś, zdusić ciszę, która w nim nastąpiła. Nad drogą widzi skały i zarośla porastające wysokie wzgórze, gdzie hula wiatr. Nie rozumie, dlaczego akurat tu się zatrzymał. To tu kolesie z miasta przywożą wieczorami swoje dziewczyny, po tym, jak sobie wypiją i potańczą w dyskoteci. Dawniej, kiedy chodził do liceum, wszyscy mówili o wzgórzu, opowiadali sobie różne rzeczy, jakie się tam wyrabiało z dziewczynami. Pewnego razu kumpel, który nazywał się Caroni i miał starego Citroena 2CV, zaproponował mu, żeby poszedł z nim do dyskoteki, a później pojechaliby z dwiema dziewczynami na wzgórze, żeby się zabawić. On odmówił ze wściekłością, a wszystko rozeszło się po całym liceum, nawet niektórzy się z niego wyśmiewali.

Myśl o tym, to kolejny zawrót głowy, bo to bardzo dalekie od Anny, inne czasy. A jednak, to właśnie dlatego wspina się po stromym poboczu i zbliża się do wzgórza, przemierzając kamienisty teren i zarośla. Nie wie dobrze, czego szuka. Pochylony do przodu, ucieka przez opustoszałe wzgórze. Wiatr wieje wielkimi porywami, zimny wiatr, wyciska łyż z oczu. Światło jest piękne, bardzo mocne. Na ogromnym błękitnym niebie rysują się dziwne białe paski zostawione przez samoloty.

Idzie jakąś wąską drogą, która snuje się między zaroślami i prowadzi donikąd. Z powodu wiatru, światła i ogromnego błękitnego nieba, panuje tu bardzo gęsta cisza. Lekko pochylony do przodu, idzie przed siebie. Czuje kolczaste krzaki,

które kłują go przez spodnie, a cierpki zapach makii odurza go. To tu, myśli, to tu, to tu.... co tu? Nie wie. Dzieciństwo, może młodość, kiedy zdał sobie sprawę z tego, czego nie miał odwagi zrobić. Biec przez zarośla z dziewczyną, turlać się we dwoje po wonnej, spalonej ziemi, pomiędzy krzewami, które rozdzierają ubrania i z powodu których tryskają na skórze perełki krwi. Pieścić jej gorące, wymykające się ciało, zatrzymać słowa dotykiem ust, połykać jej śmiech, niczym głębokie łyki wina.

Wyżyna jest cicha i opustoszała. Jest tylko wiatr, niebieskie niebo i olśniewające światło. Czuje się tak, jakby chciał uciec przed własnym cieniem, ale to niemożliwe.

Usiadł w zagłębieniu, na gołej i czerwonej ziemi, w miejscu podobnym do polany. Ponad nim świszcze wiatr, podmuchy poruszają gałązki krzewów, ale w zagłębieniu on tego nie czuje. Czuje tylko, jak słońce piecze twarz i ręce. Bołą go nogi i nagle zauważa, że ma podarte spodnie, być może przez ciernie, i zdartą skórę na udach. I to też go piecze. Szedł długo przez wyżynę, nie zdając sobie z tego sprawy. Nagle myśli o dniach spędzonych w garingach, kiedy to posuwał się bezszelestnie za ojcem, czatując na skok zająca lub wzlot kuropatwy. Ojciec nigdy nie zabierał ze sobą psa, nawet, gdy polował sam. Mówił, że psy hałasują, że czuć je na odległość i że to odstrasza zwierzynę. To wszystko opowiedziała mu oczywiście matka, bo on nie pamięta, żeby ojciec mówił cokolwiek.

Szedł za nim, starając się nie robić hałasu i stawiać stopy dokładnie tam, gdzie postawił je ojciec. Bał się, czasami tak bardzo się bał, że trząsał się i szczykały mu zęby. Bał się, jakby to jego miał ojciec zabić dubeltówką. Mimo to, lubił chodzić daleko w góry, wspinać się po kamienistych stokach, czy też stąpać bezszelestnie po dnie wąwozu, człowiek czuł się tam tak, jakby miał głowę schowaną między ramionami.

Było fajnie. No i ojciec zmarł. Więc on już nigdy potem nie poszedł w góry, nigdy więcej. Dziś, to jego pierwszy raz, ale tak naprawdę to nie są góry, tutaj krajobraz wiąże się z seksem. Przychodzą tutaj nocą. Zatrzymują samochody na dole, na drodze, przy stacji Agip, a duży wilczur z pewnością ujada szarpiąc wściekle łańcuchem. Biegną przez zarośla. W ich śmiechu słychać podniecenie, może trochę strachu, udają, że dziewczyny się im zgubiły w zaroślach. Upadają turlając się w krzakach. Igły rozrywają im ubrania, a włosy dziewczyn są pełne

grudek ziemi i gałązek. Latem noc rozbrzmiewa głosami cykad. Przypomina to oszałamiające tarcie piły.

Kolejny zawrót głowy. Wstaje i zataczając się, idzie przez makia. Śpiew owadów wznosi się, faluje to bliźniutko przed nim, to daleko za nim. Od gorącego słońca pot spływa mu po twarzy, po całym ciele. Koszula przykleja mu się do pleców i pod pachami. Zdejmuje marynarkę, trzyma ją wymiętą w prawej dłoni, a ona przyczepia się i rozrywa na kolcach krzewów. Wieje wiatr, zimny, prawie lodowaty, wywołując dreszcze. Od dłuższego już czasu tuła się po wyżynie, patrząc na wszystkie polany, gdzie zarośla i czerwona ziemia zachowały ślad ciała z poprzedniej nocy.

Ponownie zawrót głowy, jakby się znalazł w pułapce, ponieważ wie, że to tylko tu, na wzgórzu, nie ma cienia Anny. Ona nie może tu przyjść, do tego miejsca nienawiści i przemocy, do tego gorzkiego i pozostawionego w samotności miejsca, podobnego do wrzosowiska, po którym chodzi jakiś starzec ze swoją dubeltówką.

Ona jest gdzie indziej. Czeką. Gdzie indziej jest jej światło, jej niebo, słońce, drzewa, skały. Myśli o morzu i nagle zawrót głowy ustaje, a przemoc, wściekłość i nienawiść znikają. Stoi nieruchomy, zwrócony twarzą w stronę, gdzie zaczyna zachodzić słońce. Tam, gdzie jest olbrzymie miasto, z hałaśliwymi ulicami i migającymi światłami, a morze tak błękitne, że prawie czarne, twarde jak metal, ciche i nieskończone.

Niemal biegnąc, przecina całą powierzchnię wzgórza, która aż szumi od owadów, i dociera do drogi. Samochód stoi nieruchomy w słońcu, parzące promienie rozświetlają czarny kadłub. Gdy wsiada do środka, czuje duszący upał. Otwiera szybę i zapala silnik. Włącza pierwszy bieg i rusza. Teraz czeka go długa droga, ale wie, dokąd ma jechać. Teraz już nie będzie mógł o tym zapomnieć. Miasto pozostaje daleko za nim, opuszczone, niby to przeklęte wzgórze, gdzie świszcze wiatr. To miejsce dobre na nienawiść, na rozkosz i na lęk jednocześnie. Już nie ma tam dla niego domu. Własne pokoje już go nie chcą, ściany zamykają go w uścisku, tapety zastawiają na niego sidła, grożą włóczniami, atakują pękami igieł, a opalizujące światełka migające po kątach wyganiają na zewnątrz. Co wieczór zmieniał hotel, jak ktoś, kogo ścigają gliny, ale to nic nie pomogło. Co wieczór. Codziennie. W domu jego matki jest

jeszcze gorzej. Od wielu dni nie mógł usiąść tam do stołu. Ona jest taka stara, z tymi swoimi siwymi włosami i mdło niebieskimi oczami patrzącymi zza okularów. Światło padające na jej siwe włosy i na szkło okularów gwałtownie przyspiesza bicie jego serca, powoduje bolesne dreszcze wzdłuż kręgosłupa. Czyżby się bał? Nie, to nie to, to raczej strach go opanował i teraz uchodzi na zewnątrz, wywołując silne dreszcze.

Jedzie powoli drogą, w pełnym słońcu. Po prawej stronie jest morze, widziane jak z lotu ptaka, z tak wysoka, że fale wydają się nieruchome, niczym kręgi otaczające płamę słońca. To właśnie Anna lubi nade wszystko, kiedy nic nie wkrada się między nią a horyzont i kiedy widzi się długą krzywą linię, o którą opiera się niebo. Potrafi tak siedzieć godzinami i wpatrywać się w morze, nieruchoma niczym rybak. Kiedyś jej tak powiedział, a ona zaczęła się śmiać. Opowiedziała mu, jak dawniej chodziła na ryby z chłopakami, sama robiła haczyki ze spinek do włosów, które podkradała matce. Jednak, poza kępami wodorostów, nigdy nic nie złapała.

Wszedł teraz w strefę spokoju, wszedł w obszar, gdzie Anna jest obecna. Jego serce się uspokoiło i myśli już tylko o niej. Auto posuwa się spokojnie tą samą drogą, którą dokładnie rok temu jechała młoda kobieta. Po wyjeździe z Obserwatorium, Anna pojechała w stronę Włoch, żeby zobaczyć morze. To był wyjątkowy dzień. Niebo było olbrzymie i puste, a morze ciemnoniebieskie i pełne iskerek. Słońce oświetlało góry. Auto Anny wjeżdża spokojnie i wolno tam, gdzie otwiera się światło. Świetlne błyski ślizgają się, tworząc gwiazdki na ciemnozielonej karoserii. Może w tej chwili słucha radia, muzyki Bee Gees'ów lub jakiejś brazylijskiej piosenki, ze słowami *mulher rendeira!* Cały czas szumi wiatr, wiejąc na przednią szybę, jego gwizd dochodzi do każdej dziury w samochodzie. Niekiedy jakaś ciężarówka z trudnością podjeżdża pod górę, a auto ją wyprzedza. Światło jest teraz cieplejsze, dochodzi od zachodniej strony gór. Kiedy zakręty pozwalają je uchwycić, góry przybierają postać nieruchomych cieni wiszących nad żelaznoszarym morzem.

Wkrótce nadejdzie zmrok. Dzień szybko prześlizgnął się na drugą stronę horyzontu nie napotykając ani jednej chmurki, niczego, co mogłoby zahamować czas. Dzień prześlizgnął się ku przeszłości, pociągając ze sobą żyjących w stronę umarłych. Dzisiaj jest dokładnie ten sam dzień, co rok temu. Ciemnozielone auto sunie po rozgrzanej drodze, zawieszony pomiędzy morzem a niebem.

Światło tworzy olbrzymi otwór czy też rozciąga swoją świetlistą kopułę, niby dwa skrzydła anioła.

Już nic gwałtownego, nic okrutnego nie może się zdarzyć. Ona tak zdecydowała. Ścisła bardzo mocno rękę ukochanego mężczyzny. A on czuje w dłoni bicie jej serca, czuje smak jej ust, prześladowający go zapach jej włosów, zapach trawy, zapach ciała. Słone łzy płyną powoli, nie sprawiając bólu, zwilżając kąciki ust.

Światło staje się łagodniejsze, trochę mniej wyraźne, jak to zazwyczaj przed zmierzchem. Wiatr świszczy na przedniej szybie samochodu, w kołach, tworząc swoją daleką muzykę. Droga prowadzi do wielkiego zakrętu, skąd dostrzec można w oddali wybrzeże Włoch, podobne do wysokogórskiej wyspy widzianej spod skrzydeł samolotu.

Ciemnozielony samochód Anny jedzie szybko w stronę zakrętu, nie widzi go, ponieważ w tej samej chwili następuje wybuch światła, odbijającego się od tira. Zamyka oczy i długo ich nie otwiera, ręce rozpaczliwie zaciskają się na kierownicy, a auto z hukiem rozpruwającej się blachy przebija cementową balustradę i wpada w wąwóz. Kierowca ciężarówki mówi później, powtarzając bez końca, zdziwiony: „Spadła jak kamień i wybuchła na dole, jak ognista kula! Ognista kula!”

Teraz przemoc już minęła. Nie ma już przeznaczenia, które toczy wewnątrz ciała, które nawiedza co dzień i co noc. Śmierć nie może już błyszczeć w zbyt siwych włosach jego matki, ani na nieruchomych twarzach przechodniów. Nic już nie istnieje, nic nie może przetrwać. To muzyka, która jest obecna w wietrze, świetle, niebie, która szepcze do ucha, woła: „chodź, ty też chodź...”. Zostawia znaki na szosach, strzałkach, cyfrach, rysunkach, mających wskazać drogę do skarbu.

Na środku zakrętu nie można się pomylić. To już dokładnie rok. Nawet nie naprawili jeszcze cementowej balustrady. Wstawili siatkę, jak w kurniku, przytrzymywaną żelaznymi słupami. Czarne auto uderza w jeden z nich z prędkością stu kilometrów na godzinę, przerywa siatkę, jakby to była cieniutka firanka. Przez chwilę wisi w powietrzu, płonie w pełnym blasku słońca, na wprost szeroko otwartego nieba. Potem spada, spada w głąb wąwozu, spada jak kamień i dotykając ziemi, wybuchu niczym ognista kula!

Jean-Marie Gustave Le Clézio
przełożyły: Anna Clef i Marta Grabowska

Odra miesięcznik wydawany przez Bibliotekę Narodową i Ośrodek Kultury i Sztuki we Wrocławiu

– ukazuje się od 1961 roku. W latach 70. pismo zaskarbiło sobie uznanie odkrywaniem „białych plam” najnowszej historii (przez m.in. w *Rozmowach z katem* K. Moczarskiego, w *Zdażyć przed Panem Bogiem* H. Krall), tocząc często boje z cenzurą; obecnie kontynuują zainteresowanie historią XX wieku

– jest cenionym forum dyskusji dotyczących aktualnych tematów i problemów polskich i międzynarodowych; w dyskusjach tych w formie esejów, wywiadów, artykułów prezentują swe poglądy najwybitniejsi polscy i zagraniczni badacze, pisarze, artyści.

W katalogach „Odry” znajdują się wypowiedzi programowe, artykuły, felietony autorów tej rangi co Cz. Miłosz, Z. Herbert, G. Herling-Grudziński, M. Białoszewski, S. Lem, T. Karpowicz, R. Kapuściński, J. Grotowski, a ostatnio publikują tu często m.in. T. Różewicz, W. Szymborska, W. Odojewski, J. Koziński, J.M. Rymkiewicz, E. Skalski, W. Gielżyński, J. Sieradzki, K. Bachmann, J. Gutorow.

– wprowadza w arkana nowej myśli filozoficznej (m.in.: S. Žižek, R. Shusterman, R. Rorty, E. Morin, R. Scruton, P. Sloterdijk, Ch. Mouffe, J. Rancière)

– prezentuje, omawia i interpretuje w działach krytycznych najnowszą literacką twórczość krajową i zagraniczną

– promuje utwory młodych pisarzy i artystów (od pewnego czasu w dodatku „8 Arkusz Odry”); co miesiąc piszącym rad udziela K. Maliszewski w „Pocztówkach literackich”

– posiada dział informacji kulturalnej, dostarczający wiedzy o wydarzeniach artystycznych, festiwalach, konkursach literackich itp. w różnych ośrodkach kraju i za granicą.



Tel./fax: (071) 34 355 16
(071) 34 477 37

<http://odra.net.pl>

e-mail: odra@odra.net.pl

Prenumerata na 2009 rok wynosi:

– I kwartał – 21 zł,

– I półrocze – 42 zł

– II półrocze – 35 zł

– cały 2009 rok – 77 zł.

Prenumerata redakcyjna

z wysyłką za granicę

na 2009 rok

wynosi: 200 zł

(pocztą zwykłą)

i 275 zł

(pocztą lotniczą).



R.S. Thomas

Degas: Lekcja tańca

Udaje właściciela ptaszarni,
patrzy na ich stopy,
nie wyżej; nasłuchuje,
czy precyzyjnie trzepoczą.

A one, bezlotki w piórach
z tafty, krążą wokół niego
i z wdzięcznością dziobią słowa,
jakby to były okruchy.

R(onald) S(tuart) Thomas (1913–2000) – angielskojęzyczny poeta walijski; od 1936 kapłan narodowego kościoła walijskiego, ponad czterdzieści lat pracował w parafiach środkowej Walii; ojczystego języka nauczył się jako człowiek dorosły; autor dwudziestu kilku zbiorów wierszy, w Polsce znany głównie z tomu Biały tygrys (2001) w przekładzie Andrzeja Szuby.

Cézanne: Grający w karty

I żaden z nich nie powiedział:

Twój wist.

Brak koloru atutowego
wstrzyma akcję.

kolana prawie się stykają,
dłonie prawie się stykają,
są daleko
w czasie w świecie
równań.

Fajka bez
dymu, pusta
butelka, światło na
ścianie są zegarem,
którym się kierują,
Tylko ich umysły
krążą leniwie
jak muchy
ciągle wokół tego samego
niedorzecznego problemu, który nuda
kazała im postawić.

Gauguin: Bretońska wioska w śniegu

Oto wioska,
do której trafił zbłąkany
podróżnik, szukający swej pierwszej wiosny,
i poczuł, zasypiając
w świeżym śniegu, jak zimne
jest jej kwiecie.

Drzewa

są z żelaza, ale nic się
na nich nie wykuwa.
Wieża to palec wskazujący
na niebo – lecz na kogo?

Jeśli

ktoś się tu modli, to
o rękę, która by
zwinęła tę białą kołdrę
i odsłoniła łóżko,
gdzie ziemia też śpi,
ale wcześniej się zbudzi.

Galeria

Spokój obrazów!
suń chyłkiem,
by go nie zakłócić.

One nie śpią.
Są stróżami naszego
gustu. To nie

my oglądaliśmy, lecz
jesteśmy oglądani
przez twarze, co od wieków

zachowują kamienny spokój.
Kiedy tłumy przewalają się
przez galerię, ich oczy,

w powleczonych werniksem
oczodołach, płoną wiecznym
krokusowym płomieniem sztuki.

Walijski

Dlaczego po angielsku?
Przecież jestem Walijczykiem,
Prawdziwym Cymro,
Z torfem w żyłach.
Urodziłem się późno,
Byłem chcianym dzieckiem,
Dzięki matce wyszedłem na ludzi,
Biedy nie zaznałem,
I tylko jedna strata:
Nie znam własnego języka –
Tych wszystkich dobrych słów,
Do których nie mam dostępu,
Przyjmuję jałmużnę
Od jasnowłosych przybyszów.
Nie lubię ich gadania,
Tych rozszczepionych samogłosek,
Imion, co są duchami
Z zielonej ery.
Chcę mojej własnej
Mowy, by uwolnić się
Od warunków tej ery.
Chcę określenia
Na bolący brzuch,
Kiedy oglądam
Ten kraj opustoszałych
Farm i kamiennych
Manuskryptów niszczących
Na wietrze i w deszczu.
Niech będzie to nawet miasto,
Otwarte drzwi,
A na progu zdzira,
Żeby tylko znała walijski
I rodziła dzieci,
Oskarżenie łona,
Co mnie wydało.

R.S. Thomas
przełożył Andrzej Szuba

V A R I A

Krzysztof Myszowski

Addenda (15)

Czy można, a nawet trzeba przebaczać i współczuć tym, którzy kłamią i dają fałszywe świadectwo?

U Łukasza, rozdział 11: „Gdy duch nieczysty opuści człowieka, błąka się po miejscach bezwodnych, szukając spoczynku. A gdy go nie znajduje, mówi: Wróć do swojego domu, skąd wyszedłem. Przychodzi i zastaje go wymiecionym i przyozdobionym. Wtedy idzie i bierze siedem innych duchów złośliwszych niż on sam i wchodzi i mieszkają tam. I stan późniejszy owego człowieka staje się gorszy niż poprzedni”.

Czy nie jest tak, że ten, który osądza innych, sam siebie osądza i o sobie mówi, nie o innych?

Przemiana serca, powrót do początku. To może być długa droga.

Drzewo figowe, które nie daje owoców. Los wielu.

Prawa wiary i znaki. Tęcza Przymierza. Łaska.

„Słowa mędrców są jak oścień” – mówi Kohelet (12, 11).

Z jednej strony zły duch, z drugiej dobry. „Tak czekają twej myśli – szatan i anioły.”

Oścień, czyli prawda.

Droga do Damaszku. Misja z upoważnienia i polecenia najwyższych kapłanów. I nagle światło z nieba i głos.

Od ciemności do światła – taka jest droga.

Widzenie z nieba lub pokuta, nawrócenie i dobre uczynki.

Oby prędzej niż później.

Racje sceptyków: mówią, że jest i tak i tak, że na dwoje babka wróżyła.

U Mickiewicza: „Widząc (...), iż lepsze rozważenie tych systematów każdego do sceptycyzmu przyprowadzi, postanowił szukać gdzie indziej węgelných głązów”.

Ale są różne rodzaje sceptycyzmu: jest sceptycyzm Descartesa i jest sceptycyzm sofistów, od którego niech Pan Bóg broni.

Grzechy i błędy, które, jak się okazało, prowadziły do punktu zwrotnego, przemiany. Bez przemiany nie ma nic, jest tylko kołowrotek, chodzenie tam i z powrotem, jałowe i wyniszczające powtórki.

„Bóg mi świadkiem, że w tym, co do was mówię, nie ma równocześnie tak i nie” (2 Kor 1,18).

Metafizyka prawdziwa Holendra Arnolda Geulincxa (1624–1669). Czy możliwe jest rozpatrywanie rzeczy, jakimi są same w sobie, bez nakładania na nie w procesie poznawania naszych zmysłów i umysłu? Metafizyka, czyli mądrość – wiedza pierwsza (scientia prima), dotyczy ducha – substancji myślącej oraz ciała – substancji rozciągłej. Wszystko przed przystąpieniem do metafizyki jest fałszem, mówi Geulincx. Metafizyka prowadzi do wątpienia, które obok doświadczenia i zdziwienia jest podstawą filozofowania. „Wątpić nie jest niczym innym, niż wiedzieć, czy [coś] jest prawdziwe, czy fałszywe.” U Geulincxa wątpienie nie jest wątpieniem dla samego wątpienia, ale jest to stan przejściowy w dążeniu do wiedzy pewnej. Pewnikiem w rozważaniach metafizycznych jest dla niego zasada: „O czym nie wiesz, w jaki sposób staje się, tego nie czynisz”. Ciało jest narzędziem Boga, sposobnością (occasio) dla działań czy poruszeń umysłu; proces ten zachodzi także w drugą stronę: umysł jest sposobnością dla poruszeń ciała. Tak to wyjaśnia: „Mogę tylko chcieć, a ilekroć chcę, często Bóg udziela tego poruszenia, którego chcę, nie dlatego, że chcę, lecz dlatego, że sam chce, żeby owo poruszenie stawało się, kiedy ja

chę. Jak gdy chłopczyk chce wprawić w ruch swoją kołyskę, w której został położony, to często jest ona wprawiana w ruch, nie dlatego, że sam tego chce, lecz dlatego, że matka lub mamka, które siedzą obok i które to mogą sprawić, chcą to także sprawić wtedy, gdy on chce". I dalej: „Owszem, moja wola nie porusza Poruszyciela, aby poruszał moje członki; lecz Ten, kto nadał ruch materii i wyznaczył jej prawa, Ten sam moją wolę ukształtował i tak te rzeczy tak bardzo różne (ruch materii i osąd mojej woli) między sobą powiązał, że kiedy wola moja chce, ma miejsce taki ruch, który ona chce, i przeciwnie, kiedy ruch ma miejsce, wola go chce, bez żadnego między jednym a drugim związku przyczynowego albo wpływu. Tak jak, gdy dwa zegary odpowiadają należycie sobie i obiegowi dziennemu Słońca, kiedy jeden bije i godziny nam pokazuje, drugi to samo wybija i takie same nam godziny ogłasza; i to bez żadnego związku przyczynowego, że jeden to w drugim sprawia, lecz jedynie z powodu wzajemnej odpowiedniości, gdyż oba dzięki tej samej sztuce i podobnemu rzemiosłu zostały zbudowane". Te obrazy i metafory robiły duże wrażenie na Beckettzie, który pilnie studiował Geulincxa.

„Trzy lub cztery są odbiegania od metafizyki, mianowicie geometria (która jest odbieganiem w kierunku figur), arytmetyka (w kierunku liczb), logika (w kierunku wniosków) i może także etyka (która jest odbieganiem w kierunku obyczajów)" – mówi Geulincx.

„Owa bowiem jedność, którą z ciałem jestem zjednoczony i pod jakimś względem przez nie trwale doznaję działań i nawzajem na nie działam, nie może być czym innym niż wola, a właściwie życzeniem tego, który za pomocą ciała i ruchu tak na mnie działa i podobnie na polecenie mojej woli tak działa na moje ciało. Moja zaś wola nie ma żadnych części, przybyłem bowiem do owej kondycji (to znaczy urodziłem się, jak mówi się potocznie) bez żadnej decyzji mojej woli, nieświadomy tej kondycji; tak jest niepodobne, abym przybył jako ochotnik. Odchodzę także z owej kondycji (to znaczy umieram, jak mówi się potocznie) znowu nieświadomie, ale, i co jest haniebne, niechętny. Działam w tej kondycji (to znaczy żyję, jak mówi się potocznie), nie działając niczego na zewnątrz siebie, ponieważ albo podlegam działaniu tylko przez ciało, albo działam na nie (na tym bowiem polega kondycja ludzka); podleganie działaniu nie należy do mnie, działanie nie należy do mnie, chociaż niekiedy stają się na polecenie mojej woli. Nigdy bowiem ściśle nie staje się [coś], ponieważ ja chcę, lecz ponieważ Poruszyciel chce, kiedy ja chcę, a także,

kiedy ja niekiedy chcę, On nie chce, jak to jest rzeczą mi wiadomą w paraliżu i zmęczeniu członków” – mówi Geulincx i dodaje: „Gdzie do niczego nie jesteś zdolny, tam także niczego nie chcesz”.

Czy odnosi się to także do Mohla i innych postaci Thorna? A jeżeli tak, to jak?

Geulincx mówi: „Zależy więc moja ludzka kondycja nie od jakiejś natury lub konieczności, lecz od woli; nie mojej, jak bardzo jasno zobaczyłem, lecz kogoś innego, a mianowicie Boga”. Czy nie jest to sedno sprawy?

Od Ewy Bathelier HOMME QUI MARCHE (2008, 24×17,5 cm): siedem obrazów układających się w cykl w następujących po sobie odsłonach.

Hamm, na ciemnym, mrocznym tle, siedzący w baconowskim fotelu. A jak wyglądałby Hamm siedzący w fotelu ze znakiem gapy pod obiciem i jakie za nim byłoby tło?

Cztery rogi grobu.

Zapisy Mickiewicza: „Nieprędko można rozbrat zrobić z duchami nieczystymi”. „Pamiętaj, że to, co myślisz w stanie rozsądku, kwasu, nudy, jest myślą fałszu, jest rozmową z duchami niskimi.” „Duch, jakim dotąd działałeś i sposób nie są jeszcze wielkości zamiaru odpowiednie.” „Służyć należy tylko w duchu i prawdzie, (...) bo szczęście jest tylko w duchu i prawdzie.”

Brama, którą wychodzi się na wschód.

Wiara to nadzieja, a nadzieja to wiara. Sprężenie zwrotne.

Ziarno na siew, kłosa i snop.

Jak to wszystko złożyć, według jakiego wzoru?

Wyrwane z muru zawory bramy.

A może właśnie w rozbiciu jest sens, w istnieniu pojedynczych linii, skrawków i fragmentów i w ich zestawieniu?

Natchnienie i głos, bez tego nie ma nic.

Konary, liście i wiatr. Pełnia księżyca.

Tysiące ogników i mrok.

„Ci przyodziani w białe szaty kim są i skąd przybyli?”

Dziewięć błogosławieństw.

Więzy ciała i więzy śmierci.

Unicestwienie i rozpad.

Tożsamość duszy.

Wierność, więź i obcowanie.

Próżnia i za-świat, szeol. Boży świat.

„Hiob na to odpowiedział i rzekł: Któż zdoła utrwalić moje słowa, potrafi je w księżde umieścić? Żelaznym rylcem, diamentem, na skale je wyryc na wieki? Lecz ja wiem: Wybawca mój żyje, na ziemi wystąpi jako ostatni. Potem moje szczątki skórą odzieje, i ciałem swym Boga zobaczę. To właśnie ja Go zobaczę.”

Grób Rotha – w południowo-zachodniej części cmentarza, na rogu poprzecznej alei, bliżej środkowego placu. Czarny i jasny granit. Po lewej stronie dwa duże kamienie.

Światła płonące w ciemności.

Krzysztof Myszkowski

Marek Skwarnicki

Hejnał mariacki (2)

Za komunizmu ukazywały się w Krakowie trzy ogólnopolskie tygodniki: „Przekrój”, „Życie Literackie” i „Tygodnik Powszechny”. „Przekrój” przeniósł się do Warszawy i próbuje pod całkowicie nową redakcją nadawać mariacki hejnał z Pałacu Kultury i Nauki, dawniej im. Józefa Stalina, „Życie Literackie” stratowała razem z jego twórcą i redaktorem Machejkiem „kobyła historii” (patrz Majakowski). Ocalał „Tygodnik Powszechny”, ulegając procesowi transformacji, restrukturyzacji i pauperyzacji.

Bo „Tygodnik Powszechny” już po cichu, po roku 1990, zbankrutował finansowo i wsparło go kapitałowe mocarstwo ITI oraz czytelnicy, do których dotarł dramatyczny apel o finansowe wsparcie redaktora naczelnego księdza Adama Bonieckiego. On to po śmierci Jerzego Turowicza zasiadł w jego fotelu po usunięciu ze ścian, sufitu i biurka Jerzego mikrofonów SB. Usunąć je rozkazał, o ile dobrze pamiętam, Minister Spraw Wewnętrznych dr Krzysztof Kozłowski, któremu gdybym miał władzę, naczelnictwo bym powierzył. Zrobiłbym tak, bo pismo świeckich katolików nie powinno być redagowane przez księdza. Kozłowski przez drugą redakcję i przyjaciół zwany Kozłem, został chyba rok temu defenestrowany przez ks. Bonieckiego, co jest na Wiślniej 12 czynnością humanitarną, bo za oknami redakcji jest rozległy płaski dach kurialny i rebeliant nie może spaść na ziemię. Wraz z Kozłowskim z dnia na dzień zwolnione zostały dwie długoletnie sekretarki. Kraków się zdumiał i ucichł, bo tu nie ma personalno-politycznych powiązań i zwolnienie np. Katarzyny Morstin-Górskiej nie wskazuje na stosunek pisma do PO czy PIS.

Formalnie byłem redaktorem „Tygodnika Powszechnego” od 1958 do Trzeciej Rzeczypospolitej 1990 roku. Sam zwolniłem się, bo nie jestem młodzieżowcem, a w tym momencie nastąpiła w piśmie lewicowa rewolta i zostało ono opanowane przez krakowskich „pampersów” – teologicznych. Mają oni już dzisiaj pod pięćdziesiątkę. Ci panowie i dzisiaj się na mnie boczą, a raczej o mnie zapomnieli, za co jestem wdzięczny. Trzeba być chrześcijaninem. Pismo jest coraz lepsze treściowo i obojętne duchowo.

Czasem tylko, gdy idę ulicą Wiślną, nagle raz na rok, zachodzę (po trzydziestu latach obrony Jasnej Góry i papieżstwa w dawnym „Tygodniku

Powszechnym”) i po drewnianych schodach wchodzę do redakcji. Dlaczego raz na rok? Bo kiedyś po wejściu do biura „Tygodnika Powszechnego” przywitała mnie miła panienka, pytając: – A pan w jakiej sprawie? Mój Boże. W jakiej sprawie? Naprawdę nie wiem w jakiej sprawie. Kolejny zresztą raz, gdy znów mnie starcza nostalgia ogarnęła i zajrzałem do redakcji (debiut mój w 1952 roku), inna sekretarka wiedziała, że coś mam wspólnego z pismem, ale nie znała nazwiska, by Księdzu Generałowi przedstawić. W Krakowie dystynkcji używa się dośmiertnie i pośmiertnie, tak więc i mnie zwą nieraz redaktorem do tej pory. Pamiętam, że w Warszawie mówiło się o takich „dyrektor spalonego teatru”.

Pora jednak przestać pisać – jak rzecze Lech Wałęsa – dyrdymały i potraktować obecny „Tygodnik Powszechny” poważnie, jak na to zasługuje.

Po roku 1990 raptownie spadła liczba czytających „Tygodnik Powszechny”. Za komuny w okresie Solidarności zaczęła ona osiągać mniej więcej 300 000. Teraz dosyć szybko spadła do 50, a nawet 30 tysięcy. Dzisiaj trudno jest obliczać czytelników „Tygodnika Powszechnego”, bo pismo ma poza wersją papierową również elektroniczną.

Przyczyną katastrofalnej sytuacji czytelniczej było zniesienie cenzury i odrodzenie się kolorowych pism kościelnych sprzedawanych w setkach tysięcy egzemplarzy takich jak „Niedziela” i „Gość Niedzielny”.

Do tego trzeba dodać TV Trwam, Religia TV, radia diecezjalne, Radio Maryja i nowe zjawisko, jakim jest publicystyka katolicka w pismach ogólnohumanistycznych, zwanych dawniej laickimi. Są one laickie w nowy sposób, tzn. zajmują się tematami „chodliwymi” takimi jak: homoseksualizm duchownych, polityczne reperkusje działalności papieża i Kurii Rzymskiej, laicyzacja kraju i fenomen księdza Rydzyka. Tak więc, co dawniej było tępione nawet przez cenzurę z niechęci do drażnienia Kościoła, teraz może być drukowane wśród powszechnej obojętności. Walka lub brak agresji w sprawach życia kościelnego więc i religijnego zupełnie nie interesuje partii politycznych poza SLD, którego głos ideologiczny wydaje z siebie już tylko posłanka Senyszyn, zazwyczaj krzycząc bez sensu w TV. Każdy etap w PRL miał zawsze podobne panie. Za Bieruta w Radiu Polskim dyżurną od opowiadania podobnych ateistycznych andronów była pani Falkowska. Gdyby w Polsce zapanowała nawet kompletna laicyzacja, to SLD nie zyska wielu popleczników tą drogą. Szerzy się indyferentyzm światopoglądowy, a nie drapieżny ateizm.

Nowy „Tygodnik Powszechny” nie ma dawnego, bojowego ducha apostołskiego. Środowisko „Znaku” i „Tygodnika Powszechnego” wyrosło z przedwojennego „Odrodzenia” miało program ewangelizacyjny z zapleczem tomistyczno-maritainowskim, a potem tischnerowskim i w oparciu o II Sobór Watykański i nauczanie Jana Pawła II. Taki był „Tygodnik Powszechny” Turowicza, a „Tygodnik” Bonieckiego jest łagodny jak baranek i teologicznie trudny do określenia. Janem Pawłem II mało się zajmuje, apostołskiego zapału w nim mało. Widać to na przykładzie polityki kulturalnej pisma. Ma ono wysoki poziom intelektualny tak, że chyba nie dorastają do niego obecni inteligenci zazwyczaj posiadający: ekonomiczne, menedżerskie, finansowe, socjologiczne wykształcenie wyższe i marne, humanistyczne z liceów. „Tygodnik” odziedziczył polsko-inteligenckie poczucie misji kulturowej, ale dalibóg jakiej, nie wiem. W każdym razie liberalne nastawienie spowodowało rezygnację pisma z mecenatu zjawisk, akcji i twórców, tak świeckich jak duchownych, wyrosłych z gleby chrześcijańskiej albo wprost z wiary, a nie w „wartości chrześcijańskie” tylko, ale i Pana Boga. „Wartości chrześcijańskie” to unik dyplomatyczny, by się katolicko, otwarcie nie deklarować.

Istnieje w Polsce świetne malarstwo religijne, by wspomnieć chociażby Stanisława Rodzińskiego, kwitnie sztuka witrażowa (dobra i zła, ale kto dba o nią?). Powstaje też od lat bardzo poważna i piękna muzyka o treści liturgicznej i pozaliturgicznej. Powstają coraz inne, ciekawe przekłady Pisma Świętego, odbywają się festiwale i konkursy zespołów chóralnych i amatorskich teatrów. To wszystko się odradza po kilkudziesięciu latach zakazów, kar, ingerencji cenzury i MO. Nie są to zjawiska marginalne i nie zawsze „grafomańskie”. W nowym „Tygodniku Powszechnym” o nich prawie nic.

Nowy „Tygodnik Powszechny” to nazwa używana od niedawna. Zaczęto jej używać chyba dopiero po odejściu wieloletniego (od 1957) zastępcy redaktora naczelnego Krzysztofa Kozłowskiego i pań sekretarek. Odeszli też sami (jak ja) inni, już nowi redaktorzy: Adam Szostkiewicz i Jerzy Pilch do „Polityki”, do „Gazety Wyborczej” Roman Graczyk, skąd go oddalono i wraca ostatnio do „Tygodnika Powszechnego”. Nie obserwowałem dokładnie tej szamotaniny personalnej, która polegała na pewnym maskowaniu przemian pisma, które swoją tytułową charakterystyczną główką i felietonami pani Szumańskiej, a zwłaszcza Józefy Hennelowej, udaje Greka, że nic się na Wiślniej nie zmienia.

Czasy inne, Polska jest inna, czytelnicy „Tygodnika Powszechnego” chyba inni – ale jacy? Czyje to jest pismo? Co wyraża i o co w sferze życia mass mediów chrześcijańskich im chodzi?

Oni kim są? Stary, drugi „Tygodnik” stał Kisielem, Turowiczem, Żychiewiczem, pewien czas Kijowskim i Słonimskim, potem Miłozsem, także mną i moim Spodkiem, „Obliczem Tygodnia” Turowicza a potem Kozła, Mieczysławem Pszonem, Władysławem Bartoszewskim, Hanną Bortnowską, Anną Morawską, Janem Józefem Szczepańskim, Tadeuszem Chrzanoskim, Jackiem Susulem (następcą jest Tomasz Fijałkowski), większość ich już zmarła, ja stoję z Kozłem w kolejce, ale takiej ekipy Boniecki nie zdołał już stworzyć. Działem religijnym kieruje dzisiaj Dariusz Jaworski. Who is Dariusz Jaworski? – pyta pół inteligentkiego Krakowa. Mówią wtajemniczeni, że ten zastępca księdza Adama przyszedł z „Gazety Wyborczej” z Poznania.

Problemy z tożsamością „Tygodnika Powszechnego” zauważył Jan Paweł II chyba już w 1990 roku. Kiedy zwolniłem się z redakcji, wykreśliłem z Zespołu „Tygodnika Powszechnego” (do dzisiaj jestem w Zespole „Znaku”) napisałem do Ojca Świętego list informujący go o mojej decyzji wynikającej z konfliktu sumienia z nową linią „Tygodnika Powszechnego”. Pismo w tym czasie występowało krytycznie w stosunku do decyzji Episkopatu o wprowadzaniu nauki religii do szkół. Podniesiono wtedy rwetes, że jest to tendencja do tworzenia państwa wyznaniowego i uczenie konfliktu światopoglądowego wśród dzieci i młodzieży, pismo właściwie dzieliło taką opinię. Innym problemem był druk teologa – herezjarchy Drewermanna głównie w zespole popieranego przez red. Wojciecha Pęciaka. Nic nie pomogła moja polemika ze zwolennikami zachodnich teologii progresywnych i liberalnych, z którymi miałem do czynienia, pracując w zachodnich organizacjach laikatu już od 1968 roku. Dla mnie to były przejrzałe owoce radykalizmu posoborowego, dla kolegów na Wiślniej objawienie. Do takich zresztą ekstrawagancji jak w Niemczech, Belgii i Holandii z Francją w Krakowie nie doszło. Jednak bano się Kurii Metropolitalnej. Na placu boju o nowy „Tygodnik Powszechny” poległ niestety ksiądz Andrzej Bardecki, asystent kościelny pisma od lat. Człowiek wielkiego charakteru, przyjaciel Karola Wojtyły i Papieża. Ojciec Święty odpowiedział mi obszernym listem dzieląc niepokój jednego z redaktorów, który już czuł wcześniej, czytając swój umiłowany do tamtej pory „Tygodnik”. Ten list Papieża wydrukowałem po paru latach w książce wydanej

przez Świat Książki: Jan Paweł II, pozdrawiam i błogosławię, prywatne listy papieża. Książka zawiera ponad sto listów pisanych do mnie i do mojej żony w ciągu całego pontyfikatu. Tylko dwa lub trzy listy dotyczą spraw „Tygodnika”. Adam Boniecki po ich lekturze właściwie oszalał. Sam napisał przeciwko mnie, ale nie polemizując oczywiście z Janem Pawłem II, dwa wykrętne artykuły drukowane w „Tygodniku Powszechnym”, trzeci był pióra Józefy Hennelowej. Jerzy Pilch karciał mnie w „Polityce” a po nim Adam Szostkiewicz i chyba ktoś w „Gazecie Wyborczej”. Tylko Gowin w „Newsweeku” Papieża poparł pisząc, że tzw. „katolicyzm otwarty” się przeżył i nie ma sensu. Linia ataku całej ekipy, która spowodowała moje ideowe odejście z „Tygodnika Powszechnego” była jedna: Skwarnicki donosił do Papieża szkalując „Tygodnik”, Papież nadal kocha „Tygodnik” itd. Ja się w ogóle nie broniłem, by nie używać imienia Pana Boga i Jana Pawła II nadaremno. Co napisał, a potem mówił Jerzemu Turowiczowi, gdy ten go odwiedził, Jan Paweł II pokrywało się z tym, co było w liście do mnie. Ja w bezpośrednich rozmowach mówiłem tylko, że do Krakowa dotarła fala tzw. nowych teologii. Separowane od Zachodu za komuny i obecnie zalewały umysły zapatrzone w Zachód bezkrytycznie. Wtedy mi przyszło do głowy, że może i ks. Adam Boniecki należy do tych progresywnych księży, których wyłoniła dysydencka rewolta na uniwersytetach Paryża i Berlina, na ich teologicznych katedrach. Objawianie jej w pełni byłoby w Polsce lub Rzymie samobójstwem. Ksiądz Adam bardzo odważnie wspierał polską wolnościową rewoltę, Solidarność rosnącą paralelnie na naszych uniwersytetach. Zachodni bunt był anarchizujący Kościół, polski był walką o niepodległość i prawa człowieka. Gdzieś te dwie rewolty spotykały się ze sobą jak np. w KOR-ze i w niektórych oddziałach ideowych Solidarności. Papież moralnie im sprzyjał, ale co innego było w walce Adama Michnika lewicowego demokrata, a co innego w walce dawnego „Tygodnika” o prawa katolików i Kościoła.

Napisałem, co myślę dzisiaj o tych wszystkich awanturach, które chyba minęły z wynikiem 0:0 dla wszystkich, także redaktorów współpracowników i czytelników znużonych walką z komuną we własnym życiu, którzy już nie żyją. Niech światłość wiekuista im świeci...

Marek Skwarnicki

Leszek Szaruga

Jazda (12)

33.

Obserwacja tego, co się dzieje w przestrzeni „czwartej władzy” skłania do refleksji raczej smutnych. To prawda, że po odzyskaniu niepodległości i likwidacji cenzury dziennikarstwo w Polsce zaczęło rozkwitać: nie ma już tematów tabu, nie ma też ograniczeń w prezentowaniu własnych opinii, ale jednocześnie wolność dziennikarska coraz częściej zaczyna być demonstracją samowoli i arogancji. Doskonałym tego przykładem jest – w istocie niezłe – dziennikarstwo prezentowane na antenie TVN24. Jestem od tego serialu politycznego uzależniony, niemal codziennie oglądam cały blok programowy rozpoczynający się o 18.30, a kończący o 23.00. Od czasu do czasu pozwalam sobie na „skok w bok”, by zajrzeć na ekrany Superstacji. I coraz bardziej zaczyna mnie irytować swego rodzaju maniera, jakiej nabywają dziennikarze.

Może najbardziej reprezentacyjna jest tu pani Justyna Pochanke, której wywiady potrafią doprowadzić człowieka do szewskiej pasji. Oglądałem ostatnio jej „rozmowę” z Leszkiem Balcerowiczem, o tyle interesującą, iż w dobie kryzysu ekonomicznego Balcerowicz jest jednym z tych autorytetów, których sądy i diagnozy uważam za szczególnie ważne. Oczekiwałem zatem, że dziennikarka pozwoli mu na swobodną i wyczerpującą wypowiedź. Ale nic z tego. Sposób prowadzenia wywiadu dowodził, iż ambicją prowadzącej jest nie tyle zadawanie dociekliwych pytań, ile uniemożliwienie rozwinięcia rozpoczętego wywodu jej interlokutora. Być może założeniem tej dziennikarskiej praktyki jest przekonanie, że każda dłuższa i w miarę koherentna wypowiedź słuchaczy zanudzi, a do tego, w imię podnoszenia oglądalności, dopuścić nie wolno. Tak więc w chwili, gdy rozmówca sygnalizuje, że ma rzeczywiście coś poważniejszego do powiedzenia, należy mu przerwać czyli, de facto, nie dopuścić go do głosu.

Nie wątpię, że pani Pochanke do rozmów się dobrze przygotowuje, ale nie znaczy to, że powinna się popisywać nabytą w trakcie przygotowań wiedzą własną. Ta wiedza ma być bazą pozwalającą jej zadawać istotne pytania. I byłoby dobrze, gdyby nie tylko mnie i innym słuchaczom pozwolono na wysłuchanie odpowiedzi. Byłoby dobrze, by sama dziennikarka skorzystała z okazji i czegoś się od swego rozmówcy dowiedziała, a nie wjeżdżała w tok

jego wywodu, by dowieść, że – och! ach! – ona też coś wie na ten temat. Wie tyle, ile sama i jej pomocnicy zdołali zebrać przygotowując się do rozmowy.

Ale rzecz ma szersze i bardziej interesujące tło. Z mediów eliminowane są sukcesywnie wszelkie teksty i wypowiedzi ambitniejsze czy wymagające od odbiorcy skupienia. Wszystkie takie materiały spychane są na możliwie najdalszy margines. Nie myśli są ważne, lecz fakty, z których kolejne wymazują poprzednie. Życie chwilą, momentalne, bezrefleksyjne. Parada newsów, która nie ma końca, ale która też nie układa się w żadną koherentną całość, przypomina raczej oszalały i kręcący się z coraz większą szybkością kalejdoskop. Widowisko reżyserowane jest przez coraz pewniejszych siebie, coraz bardziej aroganckich i roszczących sobie coraz większe prawa do władzy żurnalistów tworzących nam rzeczywistość przesłaniającą życie serią serwowanych jeden po drugim obrazków i scenek. Przy tym sytuacja dziennikarza jest o tyle wygodna, iż, uczestnicząc we władzy, zwolniony jest kompletnie z odpowiedzialności politycznej, zaś skądinąd słuszne prawo pozwalające mu chronić źródła informacji sprawia, iż owo uczestnictwo we władzy czyli podejmowane w mediach działania polityczne zwolnione są z wymogu przejrzystości, jaki obowiązuje samych polityków. To sytuacja, która przekonuje, że „czwarta władza” nie podlega w gruncie rzeczy żadnej kontroli, co prowadzi często do daleko posuniętej dowolności działań i samowoli. I tak sobie myślę, że warto przypomnieć dziś – w tym właśnie kontekście – instruktażową po prostu powieść Heinricha Bölla *Utracona cześć Katarzyny Bloom*.

Kreowana w mediach rzeczywistość wciąga i o owo wciąganie właśnie chodzi. Ekran telewizyjny zastępuje okno na świat: miał rację Stanisław Jerzy Lec, gdy pisał, że „okno na świat można zasłonić gazetą”. Gazeta jednak – czy to „Wyborcza” czy nawet „Nasz Dziennik” („nasz”, czyli czyj?) – jest mniej agresywna od telewizora, pozwala się zatrzymać, dokonać wyboru, zastanowić, przejrzeć na oczy. Ekran telewizyjny już takich możliwości nie daje. W mgnieniu oka podsuwa kolejne obrazki, atakuje i zniewala wciągając w swą dynamikę. Wiem, że mogę sięgnąć po pilota i zmienić stację, że nie mam obowiązku uczestniczenia w tym spektaklu, ale jednak poddaję się mechanizmowi uzależnienia pozornemu w istocie dramatyzmowi sugerowanemu z ekranu.

34.

Czytam właśnie wydaną – za sprawą gigantycznego trudu translatorskiego Jerzego Czecha – powieść Wasilija Grossmana *Życie i los*. Przyznam, że mam

kłopot z próbą przedostania się przez powolny, zatrzymujący się na najmniejszych drobiazgach, a jednocześnie ciężki jak fale oceanu rytm tej prozy. Wysiłek jednak się opłaca, bo przecież od dawna – właściwie nieustannie od kilku stuleci – próbujemy rozumieć Rosję. To, co w Conrada W oczach Zachodu opisywane jest niejako z zewnątrz, tu staje się świadectwem osobistego bólu. Bo niewątpliwie ta narracja jest pisana w pierwszej osobie tak, jak ją rozumiał Brodski w odniesieniu do poezji: ja autorskie jest tożsame z ja narratora. I choć jest rzeczą skandaliczną omawianie książki przez jeden tylko cytat, to przecież nie potrafię się przed takim zabiegiem cofnąć: „Czy Lenin mógł przypuszczać, że w godzinie rewolucji, jakiej dokonał, to nie Rosja pójdzie za socjalistyczną Europą, ale utajone niewolnictwo rosyjskie wyjdzie poza granice Rosji i stanie się pochodnią oświetlającą nowe drogi ludzkości...? Rosja nie wchłaniała już wolnego ducha Zachodu. To Zachód patrzył jak urzeczony na rozwój Rosji idącej drogą niewoli. (...) Europejscy apostołowie rewolucji narodowych zobaczyli światło ze Wschodu. Włosi, a później Niemcy zaczęli na swój sposób rozwijać ideę narodowego socjalizmu”.

Pał diabli ową „tragedię Lenina” – choć gdy czyta się jego wcześniejsze, poprzedzające przewrót bolszewicki publikacje, nie sposób oprzeć się wrażeniu, że ma się do czynienia z umysłem żywym i na swój sposób fascynującym. W gruncie rzeczy wszystko jedno, co sobie zamyślał, ważne, co naprawdę uruchomił. Oczywiście, że taka awantura, jaką rozpętał, była dla Zachodu, szczególnie dla elit, fascynująca: ex oriente lux! (Stanisław Jerzy Lec słusznie i czujnie dodawał przy tej okazji: ex occidente luxus). Rzecz w tym, że Rosja fascynowała Zachód na długo przed bolszewicką epidemią – wystarczy poczytać te wszystkie porażające wynurzenia na temat tajemniczej „duszy rosyjskiej”. Wielka mi tajemnica! Grossman ma rację, gdy mówi o rosyjskim rabstwie, ale jest to rabstwo specyficzne – cierpiące niewolę, lecz czerpiące zarazem dumę z potęgi „matki Rosji”, której czuje się częścią. Ta duma wyrównuje niedostatki, nadaje sens życiu.

W istocie – myślę sobie – spór idzie nie o bolszewizm (wystarczy poczytać o tym, jakie nadzieje wiązał w swych dziennikach Tomasz Mann z tym „młodym człowiekiem”, imieniem Adolf czy wynurzenia Heideggera na temat owego Hitlera, też pełne zauroczenia), lecz o fascynację Zachodu ideą „inżynierii społecznej”, o której pisał swego czasu Popper, a która wszak zakorzeniona jest jeszcze w Państwie (wolę to tłumaczenie tytułu od „Republiki”) Platona, aż po historiozofię Hegla. Tak naprawdę chodzi rzeczywiście o ową dychotomię z tytułu powieści Grossmana: „los” to

podporządkowanie życia jakiejś koncepcji teleologicznej, zakładającej ów fukuyamowski „koniec historii”, osiągnięcie „raju na ziemi”, ostatecznego ładu, absolutnego porządku, komunizmu – jak go zwał, tak go zwał: koniec końców wychodzi na totalitaryzm, w najlepszym razie autorytaryzm; „życie” to swobodny, nie podporządkowany jakimkolwiek „ostatecznym celom” proces, zapewne żywiołowy, naznaczony przypadkowością, może nawet „bezsensowny” w tym rozumieniu, w jakim „sensem” ma być dążenie do jakiegoś absolutu.

Otóż ów Zachód, o którym pisze Grossman, to właśnie ta część elit, która podąża platońsko-heglowskim traktem wiodącym do państwa rządzonego przez „filozofów” (czyż nie za filozofa uważał się towarzysz Władimir Ilijcz?). Ten, kto zdołał się wyrwać z tej pułapki intelektualnej, tak jak uczyniła to Wisława Szymborska, wie, że zwykli ludzie z wyspy Utopia zwiewają w kierunku morza, by znaleźć ocalenie w topieli: „W życiu nie do pojęcia”.

35.

Przy okazji dyskusji wokółliterackiej pojawił się temat ważny: problem Całości. Projekt Całości, usłyszałem, jest podejrzany. Różni filozofowie poddali ten projekt krytyce wiążąc pojęcie Całości z totalitaryzmem. Biedni filozofowie.

Oczywiście – nic przeciw filozofom nie mam, pod jednym wszakże warunkiem: że są oni mianowicie zdolni do filozofowania. Pozostawmy na razie kwestię Całości na boku, choć, rzecz jasna, do niej powrócimy. Zajmijmy się innymi, co najmniej równie ważnymi zagadnieniami. Oto, dowiaduję się od dokonujących dekonstrukcji wielkich narracji mądrali, że nie istnieje Centrum. Koniec z tym. Centrum jest wszędzie czyli go nie ma. No to pytam: jak to możliwe? A koleś pokazuje mi globus i mówi: – Popatrz, gdziekolwiek dotkniesz, tam może być centrum. Odpowiadam na to, że rzeczywiście, może tak być. A on mi na to, że skoro tak, to centrum nie ma, bo skoro wszędzie jest centrum, to nie jest ono wyróżnione. No nie jest, powiadam na to, ale to nie znaczy, że go nie ma. I mówię: – Przyjrzyj się temu globusowi – centrum nie ma na powierzchni, ono jest w środku. Tak na marginesie tej rozmowy przypomniało mi się powiedzonko stanowiące bodaj wyraz przemysłów Tadeusza Peipera, a powiadające, że „zmieniła się skóra świata” i mające dowodzić, że winniśmy w sposób zasadniczy zmienić swój sposób o tym świecie myślenia. A ja zawsze – bo zdroworozsądkowy jestem – powiadałem,

że może skóra świata rzeczywiście się zmieniała, że w dodatku zmienia się bezustannie, ale jego istota jakoś pozostaje niezmienna.

No dobra, powiada na to ten mądrała, ale przecież nie zaprzeczysz temu, że „wszystko już było”. Słucham go z pokorą i potwierdzam, że rzeczywiście, że wszystko już było, i że o tym nawet już w Piśmie Świętym czytałem, nie mówiąc już o Ben Akibie, bohaterze dramatu Gutzkowa, który był to zdanie w trakcie dziania się scenicznego powtarzał do upojenia. I co z tego? Nic specjalnie odkrywczego to nie jest. Ale, powiadam temu mądrali, zastanów się nad takim oto dziwnym zjawiskiem: ciebie mianowicie jeszcze nie było. I więcej, powiadam mu, czegoś takiego jak ty, już nigdy nie będzie. Jesteś jedynym i niepowtarzalnym zjawiskiem w dziejach kosmosu. Nie uważasz, że warto to dostrzec? I nie sądzisz, że to niekoniecznie zgodne z tym, co mi wmawiasz? Problem w tym, że gdy się używa czasu przeszłego, wpada się w pułapkę oczywistości. W czasie przeszłym rzeczywiście „wszystko” już było.

W czasie teraźniejszym natomiast rzecz się nieco komplikuje. Teraźniejszość jest co prawda zakorzeniona w przeszłości, ale też wychylona w przyszłość, w owo „będzie”, o którym, gdy się zastanowić, nic pewnego powiedzieć się nie da poza jednym: że coś mianowicie będzie, choćby nawet tym czymś miało być Nic.

I w ten oto, nieco przewrotny sposób dochodzimy do problemu Całości. W większości przypadków ci, którzy mówią o tym, że jest to – ze względu na horyzont totalitaryzmu – kategoria podejrzana, widzą Całość w jej aspekcie statycznym, jako swego rodzaju ostateczne wypełnienie: spełnienie czasu, osiągnięcie absolutu czy nawet „koniec historii”. Wydaje się jednak, że nawet jeśli przyjąć owo Nic, to i tak jego status nie będzie celem jakiegoś teleologicznego procesu: ono samo będzie procesem. Dzieje nie mają celu w tym pojęciu, jakie narzuca myślenie w kategoriach naszego bytowania, egzystencji; są raczej łańcuchem nieprzewidywalnych przypadków, o których możemy coś powiedzieć dopiero wtedy, gdy się spełniają. Tak pojmowana Całość jest zjawiskiem dynamicznym, jest wyzwaniem, któremu sprostać niepodobna, ale starać się trzeba, bo takie staranie nadaje sens naszemu bytowaniu. Czynimy to zresztą nieustannie, zdając sobie z tego sprawę lub bezwiednie, po prostu żyjąc.

Piotr Szewc

Z powodu i bez powodu (17)

Bez tytułu i daty (XII)

„Nie martwi go przemijające/Widzi wieczne” – Krzysztof Lisowski o Heraklicie w Rzece Heraklita.

Przyśnił mi się Adolf Rudnicki, którego nie znałem osobiście. Do jego klitki, o powierzchni nie większej niż dziesięć metrów kwadratowych, szło się długimi schodami w dół. W jakim celu tam poszedłem? Nie radziłem sobie z zamkiem w drzwiach, pomogły mi sąsiadki Rudnickiego. W niskim pomieszczeniu nie można było się wyprostować. Klitka nie miała okna, oświetlała ją goła żarówka. Kilka najpotrzebniejszych sprzętów, żadnych książek, za progiem złożony materac. Sen był krótki i obudziłem się z lękiem. Kto napisze o Adolfe Rudnickim tak, jak on w Rogatym warszawiaku napisał o Antonim Słonimskim?

Zerkałem na „Fakt”, który ktoś czytał i przeglądał obok mnie w autobusie. Przypomniała mi się sąsiadka Babci, pani Harczukowa, która zbierała wycinki z gazet poświęcone morderstwom, gwałtom, aferom. Mimo że sensacje były stare, ona nimi ciągle żyła. Pokazywała wycinki, komentowała opisane w nich sprawy i zdarzenia.

U niektórych znajomych obserwuję oznaki przemiany polegającej na wypieraniu testosteronu przez estrogen.

Przypadkiem usłyszałem: – Nie tulaj się do mnie, bo nie lubię. – Poezja, która nie wie, że jest poezją.

Makaron złocisty. Został po Mamie, przywiozłem go do Warszawy. Otwieram opakowanie, mam świadomość, że był w rękach Mamy. Przez chwilę ogarniają mnie emocje, które z trudem przyszłoby mi nazwać. Emocje kołaczą we mnie, wygasają.

We śnie 17 września 2009 przypadkiem odzyskałem rzekomo zaginiony indeks studencki. Ofiarowała mi go – oddała – obecna pracownica lub młodsza

ode mnie absolwentka KUL-u, przypadkiem spotkana w holu nieokreślonej warszawskiej instytucji. Do indeksu wklejone były i włożone luzem pamiątkowe zdjęcia, m.in. podwórko w gospodarstwie Dziadków w Czołkach, z kurami i psią budą, ukwiecona kapliczka przy drodze („krzyż”, śniąc, pomyślałem, jak o kapliczce powiedziałaaby Babcia), zdjęcie z Rejowca Fabrycznego, w którym nigdy nie byłem... Indeks z tymi fotografiami uważałem za zaginiony i z sentymentalnych względów nieodżałowany. Sen mi go zwrócił.

Z podwórka Krzyśka Smolińskiego na Polnej patrzyliśmy, Krzysiek i ja, na gołębie pana Szafki, które ledwo przesuwały się na tle nieba lub na krótkie chwile zatrzymywały się w locie nad sadem przed Hrubieszowską. Jowialny pan Szafka hodował gołębie i króliki, mieszkał na Spadku po drugiej stronie młyna... O swoich gołębiach mówił, określając właściwość ich lotu, że są wolnoporuszające się. Śmieszyło nas to powiedzenie, choć było trafne. Który to mógł być rok? 1974? 1975?

Babcia, Alfreda Twardziszewska, urodziła się 20 listopada 1921 roku w podzamojskiej Kornelówce, była czwarta pośród siedmiorga rodzeństwa. Jej rodzice, a moi pradziadkowie, Maria i Tomasz Jaworscy, mieli dosyć duże jak na ówczesne warunki gospodarstwo. Żyli dostatnio, choć pracowicie. Babcia, mimo że przez wiele lat mieszkała już w Czołkach, nieustannie wspominała Kornelówkę swojego dzieciństwa i młodości. Wspominała Ostrowskich, Ostapińskich, Gruszków, Rzeszutków, Witków, Zawitów... Kornelówka sąsiaduje z Czołkami, dzieli je „góra”.

Rok 1971, 1972... W późny żniwny wieczór schodzę lub zjeżdżam rowerem z „góry” od strony Czołek. Przede mną – po zmroku, więc na wyciągnięcie ręki – sad pana Kawy. Na lewo sad, stodoła, obora i dom Bilów. Gdzieś terkocze traktor, gdzieś ryczy krowa, gdzieś szczeka pies. Rzadko drogę omiatają światła auta jadącego do Sitna lub Łapiguza. Pachną rżyska, w ciepłym powietrzu unoszą się nocne owady. Daleko, za łąkami, za Czarnym Potokiem i za Majdanem majaczy Zamość. Nie wiem, czy miałem przeczucie, że to jest szczęście.

Piotr Szewc

RECENZJE

Leszek Szaruga

Siedmioramienne rzeki losów

1.

Poprzedni wybór wierszy Ryszarda Krynickiego – Magnetyczny punkt – ukazał się w roku 1996 i zamknięty został zagadkowym wierszem stuk-puk, spisany kursywą i opatrzonym mottem „(przez sen,/30 VI/ 1 VII 1992)”. Tom ostatni – Kamień, szron – ma, wyjąwszy blok tłumaczeń, puentę niemal taką samą, z tym, iż sam wiersz zapisany jest nieco inaczej, zaś motto brzmi: „(przez sen,/od M.B.?)”, data zaś przeniesiona została w stopy utworu: te zabiegi zmuszają do reinterpretacji tego wiersza, co zresztą w liryce Krynickiego nie jest zjawiskiem nowym i zmusza do pytania o znaczenie w tej poezji kontekstu czasu, w którym powstają kolejne wersje.

Ten kontekst widoczny był i wcześniej, tu pochwycony został najdobitniej w cyklu Nowe xenie (i elegie) nawiązującym do zabaw (tak!) jakie uprawiali w Weimarze później skłóćeni ze sobą Goethe z Schillerem, ale zapewne też i do tomu Iwazskiewicza Xenie i elegie ogłoszonego w 1970 roku, a w istocie do satyrycznych epigramów Marcjalisa. Przy czym gry podejmowane przez Krynickiego – obok tekstów złośliwych, jak Bezpłatne czy Zapis w księdze pamiątkowej wystawy „Buntu” – przynoszą refleksję dość wyrafinowaną, jak w nadal nie wiem:

Mój ukochany Issa napisał ponoć aż trzy tysiące haiku.
Przeczytałem o tym czternaście lat temu
I nadal nie wiem, co mam o tym myśleć.

To pytanie nie dziwi u poety, który, jak Krynicki, pisuje rzadko i ostrożnie, ważąc słowa i dopracowując każdy utwór czasami przez lata. Ale wszystkie te zapisy wydają się mieć – przy ich poetyckiej ascetyczności – jedną wspólną cechę: są refleksją nad człowieczą kondycją „na zagubionej planecie/krażącej coraz szybciej/wokół białego,/potem czarnego karła, po obrzeżach/tej jednej z około/stu dwudziestu pięciu/miliardów//pierzchających galaktyk” (Ile

światów). I to jest dodatkowy kontekst, już daleki od doraźności, który w wierszach autora *Organizmu zbiorowego* dochodzi do głosu w jego poprzedniej książce: w tym kierunku zresztą kierują zdjęcia kosmosu ilustrujące okładkę. Jest w tym zbiorze wiedza, którą wyraża milczenie, sygnalizowana mottem z Apokalipsy otwierającym cykl Szron: „Zapieczętuż to, co mówiło siedem gromów i nie pisz tego”.

2.

Obecnie wydany zbiór *Wierszy* wybranych opatrzony jest notą powiadającą, iż „nie jest to wybór autorski”. Być może, choć nie do końca chce się wierzyć, by Krynicki nad tym nie panował. Ale w końcu nie jest to aż takie ważne. Ważny wydaje się wymiar kosmiczny tej poezji, coraz bardziej wyrazisty i przejmujący. Nasze „tu i teraz” zderzone z czasoprzestrzenią miliardów lat świetlnych, mgnienie i niepojęta historia rozpoczęta Wielkim Wybuchem: tu sytuuje się nasze jedyne, niepowtarzalne życie, pochwycone w zamykającym tom, nowym wierszu *Tak, jestem*. Utwór ten jest jednym z najlepiej skonstruowanych i najbardziej wieloznacznych w dorobku Krynickiego. Powracający do Krakowa bohater wyznaje:

Nadal wracam
pod Ścianę Płaczu

Nadal błędzę
w ciasnym labiryncie
Drogi Krzyżowej. (...)

Nadal błędzę
u początku.

Gdzie zatem? Tam, w Jerozolimie czy tu, w Krakowie? I tam, i tu: w Jerozolimie, w Krakowie, właściwie: wszędzie. I tu, i tam, (wszędzie) pojawia się pytanie:

Czy jest pan Żydem? –
pyta mnie stary chasyd,
pewnie młodszy ode mnie.

I znów: w tytule wiersza odnajdziemy odpowiedź twierdzącą, ale zostaje ona w wierszu dopełniona:

Tak, jestem poetą –
chciałbym choć raz odpowiedzieć

Poeta jest (zapewne, ale i: pewnie, na pewno) starszy od „starego chasyda”. Jest starszy niż wszelka starość: jest poetą, żyje poza czasem, błądzi. Słowo „błądzi” nie znaczy jednak tylko (choć to zapewne też), że podąża drogą niewłaściwą, że wybiera źle. Błądzić znaczy tu także: poszukiwać. Znaczy też: niespiesznie przemierzać.

3.

Pytanie o tożsamość poety jest zawsze pytaniem skomplikowanym. Z jednej bowiem strony Josif Brodski, analizując wiersz Audena, powiada, że „ja liryczne” jest zawsze „ja autorskim”, z drugiej Gadamer, przy okazji analizy poezji Celana pisze, że gdy prawdziwy poeta mówi „ja”, „nie da się powiedzieć, o kogo chodzi” i dodaje: „Jeśli to wiersz, to właśnie dlatego, że poeta nie ma na myśli tylko samgo siebie”. Rzecz sama w sobie zastanawiająca, lecz jeszcze bardziej się komplikuje, gdy sięgniemy po przypis do wiersza Zabawa językowa:

Mój bohater liryczny w nienagannie odprasowanym
garniturze skóry

– czytam w pierwszych wersach i sięgam po przypis: „Bohater liryczny – czytaj: podmiot”.

Ja wiem, że to niesłuszne, takie maglowanie i wałkowanie wierszy, ale z drugiej strony nie mogę sobie odmówić przyjemności, jaką taka zabawa językowa mi sprawia. Bo w gruncie rzeczy to naprawdę jest „zabawa językowa”, ta poezja Ryszarda Krynickiego. Poważna zabawa, ale przecież nie pozbawiona zmysłu humoru (a na temat humoru całej tej poezji można by było napisać całkiem poważną rozprawę, a nawet traktat), który przejawia się choćby i w tym, cytowanym wyżej wierszu Tak, jestem:

Tak, jestem poetą –
chciałbym choć raz odpowiedzieć
ale tylko się uśmiecham do niego
i mówię:

Szalom, achi!

Ten uśmiech jest tyleż wyrazem życzliwości (a jest poezja Krynickiego ludzom życzliwa), co zadumy i ironicznego dystansu wobec siebie, wobec własnej poezji, wobec świata.

4.

Przy okazji omówień tej poezji sporo się pisze, i słusznie, o jej filozoficznym i moralnym wymiarze, co szczególnie dobitnie widać w wierszach z lat 70. i 80., a stosunkowo mało o jej pokrewieństwach z poezją niemiecką, od mistycznych pism Mistrza Eckharta poczynając, poprzez Jakube Boehme (z jego koncepcją dochodzenia do utraconej, lecz przeświecającej w językach współczesnych, przynajmniej europejskich, lingua adamica), po ekspresjonistów (Goll, Benn – do Benną nawiązuje choćby wiersz Fragmenty z roku 1989 – może Stramm), Rilkego, Brechta i Celana. Zapewne można wskazać Hilde Domin czy Rose Ausländer. To ważne pokrewieństwa (a jest też przecież Krynicki tłumaczem niemieckiej liryki, w której interesuje go przede wszystkim linia, która w polskiej poezji pojawia się mniej wyraziście: mianowicie linia mistyczna). I nie sądzę, by, znajdując owe pokrewieństwa (świetnie wyśledziła je w swej rozprawie o Rilke poetów polskich Katarzyna Kuczyńska-Koschany), można było mówić o jakichś „wpływach”, podobnie zresztą, jak nie o „wpływy” chodzi w nawiązaniach do Peipera czy poezji polskiej „szkoły lingwistycznej”. Ważne jest tu co innego: owa lekcja skupienia, namysłu, medytacyjnej refleksji i podglądania przez szczeliny istnienia przeblysków światła transcendencji, jak w tej chwili, gdy spotykamy poetę błądzącego „labiryntem Drogi Krzyżowej”:

Niekiedy
w prześwicie nad głową
widzę księżyc,

nadal w pełni.

Te dwie strofy – bo przecież wyodrębniony wers też jest strofą – w kontekście całego utworu domagają się czytelniczego (cichego, być może niewyraźnego) dopełnienia.

Cóż – czytam wiersze Krynickiego od lat. Swego czasu zirytowała mnie uwaga Barańczaka, w której ów przyjaciel i smakosz liryki autora Aktu urodzenia (debiutowałem jako krytyk recenzją z tego tomu) wyrażał obawę, iż ta poezja staje się zbyt dosłowna, zbyt jednoznaczna. Nie była nią taka wówczas, nie jest – w kontekście całości tym bardziej – i obecnie: jest jednak, co ważne, nieusuwalnym świadectwem „określonej epoki”. Dziś, czterdzieści lat po publikacji debiutanckiego tomu, nie chcę pisać kolejnego polonistycznego wypracowania. Ale powiedzieć muszę, powtarzając słowa

Miłosza komentujące twórczość Różewicza: „Chwała stronie świata która wydaje poetę!”

Leszek Szaruga

Ryszard Krynicki, Wiersze wybrane, Wydawnictwo a5, Kraków 2009

Bogusław Kierc

Druka komunia

Nie znam liryki, która by dzisiaj tak wysoko eksponowała godność bycia poetą. Wyjątkowość takiego bycia czy – stanu. I nie uważam tego za jakieś osiągnięcie senioralne, bądź efekt – właściwy dostojnemu wtapianiu się w esencje bytu. Wyczulenie na ten przedziwny charyzmat dane było Adamowi Zagajewskiemu niemal u źródeł jego poetyckiej inicjacji, kiedy zapragnął (czy – silniejsze od niego – ja zapragnęło) być – jak sam to określił – „lekarzem zdrowych”.

Ów stan, o którym pisał Miłosz w *Ars poetica*, stan zadziwienia, „że powstaje z nas rzecz o której nie wiedzieliśmy, że w nas jest,/więc mrugamy oczami, jakby wyskoczył z nas tygrys/i stał w świetle, ogonem bijąc się po bokach” – ów stan nawiedzał młodego poetę częściej niż się to zdawać mogło czytelnikom jego wczesnych wierszy. Tyle że przejawy tych nawiedzeń bywały wtopione w zdania dające pierwszeństwo innym ewokacjom.

To, co wyraża linijka dawnego poematu: „mieszkasz w Krakowie jesteś poetą”, wydaje się mieć dla Zagajewskiego od początku sens konsekracji. Namaszczenia i zobowiązania. Dzisiaj odczytuję potwierdzenie tego ówczesnego stanu w *Królach*: „To były dni, kiedy chodziłem nieco głodny,/nieco oszołomiony, i pragnienie przemawiało/do mnie gwałtownie. Nieco samotny,/trochę szczęśliwy, trochę aktor samego siebie”.

Idąc dalej za tą aktorską metaforą, można powiedzieć, że nader istotne pozostały dla niego miejsca, miasta (jako sceny), gdzie gra (przeżywa?) samego siebie (czy – ściślej: gra w samego siebie). Kraków, Berlin, Gliwice, Paryż, Siena, Bordeaux, Chicago, Lwów, Rawenna, Kordoba, Münster, Raron...

Ukryłem w nawiasie aluzję do sceny, obawiając się skojarzeń z przestrzenią udawania, podczas gdy idzie mi o podobne rozumienie tego miejsca, jak w traktacie (?) Rilkego *O melodii rzeczy*; miejsca, z którego „może być zwia-

stowane nowe życie i może być przekazane nawet i tym, co ani z własnego pragnienia, ni z własnych sił wywodzą swe gesty. (...) Im kto bardziej samotny – tym potężniejsza, uroczysta i bardziej wzruszająca jest jego «wspólność». (...) jeden słyszy więcej, drugi mniej z szerokiego strumienia melodii życia (...). Ten – co usłyszałby całą melodię – byłby najsamotniejszy i najgłębiej zjednany ze Wspólnotą. Bo słyszałby to, czego nikt nie słyszy, a przecież tylko dlatego, że w całej doskonałości objąłby to, co inni pochwytyują – niejasno i fragmentarycznie” (przekład Krystiana Lupy).

Samotna gra w siebie jest wewnętrzną (i geograficzną) podróżą, wędrówką, pielgrzymką – przecież zawsze do tego miejsca, w którym (raz jeszcze wracam do traktatu Rilkego) „śpiew lampy, albo zgiełk burzy; oddech wieczoru albo jęk morza – co cię otacza – zawsze czuwa nad tobą rozległa melodia utkana z tysiąca głosów, w której tylko tu i ówdzie jest miejsce na głos solowy. Wiedzieć, kiedy się włączyć – to tajemnica twej samotności; bo sztuką prawdziwego obcowania jest – dać się strącić z górnołotnych słów i upaść we wspólną melodię”.

Zagajewski nazywa to „cudzym pięknem”. W nim odbywa się gra w siebie, będąca analogonem gry żywiołów i pierwiastków życia.

Nie straciło ważności i szczególnego rodzaju aktualności to, co powiedział niespełna trzydziestoletni autor Nowego świata: „to nic/jesteś nagi i w każdym twoim śnie powraca/ten starzec którym naprawdę jesteś”.

I pod koniec ostatniej książki też powraca. Starzec jako entelechia gry w siebie? A jeśli tak?

W Lekcji fortepianu przywołane zostaje jedno z najważniejszych doświadczeń inicjacyjnych: ośmioletni adept dowiaduje się już po pierwszych próbach, „że nie wykazuje zdolności do muzyki”, wraca do domu „trochę smutny, trochę zadowolony”. Tak właśnie objawiać się będzie ten stan: „Nieco samotny,/ trochę szczęśliwy. Niezupełność”. Trochę. Nieco.

Wiersz kończy takie wyznanie: „i myślałem z goryczą, z przyjemnością,/że został mi tylko język, tylko słowa, obrazy,/tylko świat”. Tylko. Ale w tym „tylko” zawarte jest zobowiązanie.

Zobowiązanie do wierności językowi, słowom, obrazom, światu. Wierności, która w takiej chwili olśnienia zdaje się obiecywać odzwierciedlającą wzajemność: będziesz w języku, w słowach, w obrazach, będziesz światem... Tylko. I trochę.

W niezupełności roztapia się ja; bez ostrych konturów przepływa w to, co w nim się roztapia, we „wspólną melodię”.

Wyraża się w pierwszej i w trzeciej osobie liczby pojedynczej – jak w Autoportrecie – „to ja słuchający płaczu dziecka, śmiechu studentów,/gwizdu szpaka, to ja ignorancji, ja niepewności, ja pragnienia,/oczekiwania i dzikiej radości, ja, który nic nie rozumiem, (...) nieszczęśliwy, arogancki, to ja zatopiony w marzeniach/jak dwunastolatek, śmiertelnie znużony jak starzec”.

Opozycja zatopionego w marzeniach dwunastolatek i śmiertelnie znużonego starca – przemienia się w mojej lekturze w natychmiastowy wizerunek tego samego chłopca, którego we śnie nawiedzał starzec. Będący nim naprawdę. Puer-senex.

Co to znaczy? Prawie to, że chłopcu objawiło się całe życie: „dla ciebie, Zaklinaczu, było/całe życie gwałtownym obrazem, gdyś go wypowiadał,/wiersz się zamykał jak los”. To znowu Rilke. Do Hölderlina (tłumaczył Mieczysław Jastrun).

Przywołuję Rilkego, bo jego duchowa wzajemność w poezji Adama Zagajewskiego wydaje mi się odczuwalna podobnie, jak intensywna wzajemność Hölderlina. I nie o jakieś powinowactwa z wyboru mi idzie, ale o tę „wspólność” samotnych, o której czytaliśmy w traktacie O melodii rzeczy. Zagajewski należy bowiem do tych najbardziej samotnych, którym daje się usłyszeć cała „melodia życia”. I w tej swojej jedynej samotności jest – czy się to komu podoba czy nie – sukcesorem obu, czuwających nad nim (tak wierzę) poetów. Rozumiem tę sukcesję jako poddanie serca i umysłu oddziaływaniu linii losów wytryskujących z innego czasu, z innych przestrzeni, choć akurat w tych samych miejscach udzielających się sobie. Takim swoistym, płynnym, mijającym miejscem jest w tomie Zagajewskiego Garonna. Piękna Garonna, nieczuła Garonna, o której czterokrotnie (ale w istocie – częściej) mówi (śpiewa?), pamiętając o cudownym Andenken Hölderlina, z którego dwie linie umieścił jako motto nad swoim wierszem: „Geh aber nun und grüsse/Die schöne Garonne”. (To na końcu Andenken wypowiedziane zostały owe znamienne słowa: „Und die Lieb' auch heftet fleissig die Augen,/Was bleibet aber, stiften die Dichter”.) Garonna jako płynące zwierciadło, potwierdzające tożsamość duszy tego – takiego samego-innego – poety, niepewnego, „czy to wspomnienie,/czy obietnica nowego życia”. Ale poety ustanawiającego to, co będzie trwało wobec miłością przenikniętych oczu. Aż do olśnienia jasnością, o której zachwycone (? – zachwycone!) ja może powiedzieć tylko: „i nagle wiem wszystko, wiem, że ona nie jest mną”. Ani jasność, ani poezja, ani świat...

Autoportret został napisany (jak czytamy nad wierszem) w maju 2008, po zobaczeniu Autoportretu Erica Fischla. Ta lapidarna informacja może mieć jednak duże znaczenie dla tych, którzy znają obrazy Fischla, ich zmysłową mięsistość, konkretność tak nasyconą, że aż wypromieniowującą z siebie jakby nadmiar światła, nawet wtedy, kiedy są to ledwie jego smugi przesiane przez żaluzje do pokoju, w którego ciszy odbywa się gwałtowne misterium niedopowiedzeń, pragnień zakazanych, widzeń oszalamiających tym, że są tylko tym, czym są wobec miłością przenikniętych oczu.

A gdyby czytać Zagajewskiego mając w pamięci obrazy Fischla? Myślę sobie o tym także wertując Czuwanie C.K. Williama (przełożone przez Maję Wodecką przy współpracy Adama Zagajewskiego) i Tomaża Šalamuna, któremu poświęcił wiersz pod znamienym tytułem Gdybym był Tomażem Šalamunem. O co mi chodzi? O podważenie pewnego paradygmatu „nabożnego” czytania poezji kandydata do Nagrody Nobla. Dlatego tak mocno trzymam się tego szlaku, który poeta ledwie ledwie wyjawia w wierszach o dzieciństwie.

Widzę go tam, gdzie sam siebie przedstawia, ale zarazem widzę go tak, jakbym mógł zobaczyć na obrazach (blisko trzy lata odeń młodszego) Fischla. Dzięki temu zobaczeniu słowa niegdysiejszego początkującego katolika, „który próbuje oddzielić dobro od zła,/ale nie wie, czym one się różnią”, nasycają się sensami pierwszych zdumień i zdziwień, które je wywołały: pierwszą z nimi komunią. „Później nadejdzie kolorowa fotografia/i złagodzi kontrasty, może pozwoli/na zwykłe życie, wspaniałe święta,/a nawet na drugą komunię.”

Bogusław Kierc

Adam Zagajewski, Niewidzialna ręka, Wydawnictwo Znak, Kraków 2009

Mieczysław Orski

Donos na życie

„Bezlitosny donos agenta Służby Bezpieczeństwa na samego siebie” – tak wydawca zachęca czytelnika na okładce tej książki do jej lektury, zgodnie ze standardami panującymi w obecnym czasie w naszym społeczeństwie „spektaklu medialnego”, wciąż nie mogącym czy nie umiejącym rozliczyć się już nie z duchami, ale widmami peerelowskiej przeszłości. Agent, donos,

służby – to powinno skusić do czytania. W istocie książka Kruszyńskiego, pokrótce mówiąc, opowiada o życiu ambitnego, wrażliwego, pełnego nadziei na sukces, więc i bezkompromisowego w postępowaniu osobnika, który – licząc za młodu na otrzymanie paszportu umożliwiającego mu poznanie świata za żelazną kurtyną – pozwala się omotać oficerom wymienionej wyżej służby, co nie przeszkadza mu później grać jej na nosie i w gruncie rzeczy zasługiwać się równie dzielnie, czy nawet bardziej, w charakterze cenionego, zdobywającego prestiż w swoim środowisku przywódcy studenckiej opozycji w czasie powstawania Solidarności; aczkolwiek, co należy od razu podkreślić, działania i intencje tego spiskowca „obrotowego” nie wynikają z pobudek patriotycznych, tylko z chęci zapewnienia sobie przezeń oczekiwanych profitów i zamiaru ułożenia sobie wygodnego życia poprzez wykorzystywanie odpowiedniej koniunktury politycznej, układów i nonsensów systemowych PRL-u. Co mu się zresztą udaje przez długi czas, aż do pierwszych lat III RP, gdyż z wprawą linoskoczka balansuje na cienkiej granicy między żądaniami reżimu a wyzwaniem opozycji, uzyskując z jednej strony określone koncesje polityczne, w tym zgodę na wyjazdy zagraniczne, a z drugiej podbijając swą odwagą i inwencją środowisko studenckich komitetów solidarnościowych (nikt z taką zawziętością nie próbuje zbadać przyczyn śmierci znalezionej w Odrze prześladowanego przez SB Andrzeja, jak się okazuje wkrótce, zamordowanego, choć do końca nie poznamy sprawców tej zbrodni), a nawet zdobywając serca atrakcyjnych bojowniczek podziemia, które mu się oddają jedna po drugiej. Z wielkim poświęceniem, wiele ryzykując, angażuje się w akcje studenckiej konspiracji we Wrocławiu, dostając solidne bity podczas licznych łapanek, „kotłów” i nieraz cierpiąc po 48 godzin w celach; mimo dostarczanych w tym czasie pilnie raportów ze swoich akcji nie unika odsiadek, bo jego protektorzy ze służb nie chcą go zdekonspirować w jego środowisku.

Po powrocie z pierwszej eskapady zagranicznej wyjeżdża po pewnym czasie, już jako przyszły asystent romanistyki, na stypendium uniwersyteckie do Szwajcarii, popierany z jednej strony przez kręgi opozycji uczelnianej, a z drugiej przez swoich nadzorców z SB – choć tym się już nijak nie odwdzięczy, gdyż natychmiast po wyjeździe urywa wszelkie swoje kontakty z aparatem esbeckim, zaciera za sobą wszelkie ślady, zręcznie umyka gończym, wchodząc – po ogłoszeniu w Polsce stanu wojennego – z powodzeniem w rolę głównego emisariusza polskiej rewolucji solidarnościowej w Lozannie i zdobywając mir wśród szwajcarskich związkowców, a także wszelkich tutejszych

lewaków, maoistów, trockistów i innych „zawodowych rewolucjonistów”. Obejmuje funkcję głównego dyspozytora darów pieniężnych przekazywanych ze Szwajcarii do Polski, co przynosi mu kolejne profity (część z uzyskiwanych na swoje konto kwot traktuje jako honorarium i inwestuje z powodzeniem na giełdzie), uzyskuje też dalsze sukcesy erotyczne, podbijając serca tym razem szwajcarskich kontestatorek Gabi i Gwendoline, wspólnie przechodzących wraz z nim po pierwszym spotkaniu dyskusyjnym do pozycji leżącej en trois, co odnotowuje ulegając trybowi i nawykowi swojej sprawozdawczej strategii narracyjnej: „Z góry mamy inny wyraz twarzy, oczy patrzą gdzieś poza sufit, nos traci ostrość, a podbródek zaokrąglą się (...) Gdyby zdjęcia do paszportu robić na leżąco, nikt nie przepuściłby nas za granicę...”. Od czasu tych szwajcarskich wypasów jeszcze trudniej zgodzić się z podaną przez wydawcę kwalifikacją powieści jako „donosu agenta” na siebie; notabene takie niejednoznaczne, pokręcone biografie oddanych zwolenników i bojowników polskich zmagających się z solidarnościowymi, jak wiemy z wielu relacji i sporów „lustracyjnych” nie były w PRL-u wyjątkiem, choć nie w tym tu rzecz.

Nie w tym rzecz – bo jeśli ma to być rzeczywiście donos (a wiele mediów ekspresji i stylu zaangażowanych przez Kruszyńskiego w tej powieści, jak widać choćby w kształcie przytoczonego przed chwilą cytatu, odwołuje się do poetyki „raportu”), to jest to pomówienie siebie nie tyle zdeklarowanego Tajnego Współpracownika, co osobnika realizującego z konsekwencją, samozaparcie skutecznie zaplanowany, zaprogramowany scenariusz swojego życia. Kogoś pozbawionego w zasadzie ludzkich odruchów, motywacji i emocji, nie mającego przyjaciół i nie starającego się w ogóle o nich, traktującego przedstawicielki drugiej płci jako obiekty zaspokajania pożądania, służące przy tym mu pomocą w realizacji jego programu życia, czy to w Polsce, czy w Szwajcarii (zresztą, co zastanawiające, żadna z wielu jego Mart, Ann czy Gwendolin nie upomina się u niego o bodaj szczyptę głębszych uczuć, nie mówiąc o miłości), oddalającego swą rodzinę na daleki, prawie nieobecny w narracji plan. W znamienym epizodzie bohater powieści przybywa do Polski ze Szwajcarii z prezentami na święta, ale po dwóch nocach spędzonych w hotelach i przyglądnięciu się z ulicy matce przygotowującej za oknem stół świąteczny, witając się tylko z psem przez płot, wraca do swojego zagranicznego azyłu, łóżek G. i G. oraz giełdowych zajęć. Ten świadomy i cyniczny kalkulator, księgowy bilansu „za i przeciw” swoich decyzji inteligentnie i z talentem prawdziwie aktorskim wchodzi w sprzyjające jego inicjatywie role.

Język i styl najnowszej powieści pisarza (żyjącego dziś na przemian w Polsce i Szwecji, do której przeniósł się on po stanie wojennym, zaangażowany w akcje solidarnościowe we Wrocławiu) z pewnością nie przysporzy jej czytelników wśród amatorów czytania modnych dziś lustracyjnych „donosów” i politycznych czy kryminalnych fabuł. W poprzednim tomie opowiadań Kruszyńskiego, *Powrocie Aleksandra*, mieliśmy do czynienia z podobną intencjonalną manipulacją przekazem narracyjnym podmiotu, który w jednym z tekstów żyjąc głównie w wirtualnym świecie i spędzając gros życia przed ekranem komputera, traktując rzeczywistość jako odpowiednik portalu, w „realu” wciela w czyn swoje działania programowane w internetowym „czacie”. Projekt językowy powieści i opowiadań Kruszyńskiego od pierwszych jego *Schwedenkräuter* generalnie był funkcjonalną reprezentacją ich oryginalnego konceptu. Narrator *Powrotu Aleksandra* czy *Ostatniego raportu* stara się wejść w skórę swoich postaci, w ogóle utożsamiać się – na ile to możliwe w tego rodzaju prozie, jednak o realistycznym podłożu – z bohaterami swych konfabulacji. W ironię narratora opowiadań *Powrotu Aleksandra*, niejako włamującego się w „plik” mentalności (by zachować tryb „internetowego” stylu tych opowiadań) swoich bohaterów, wkalkulowana jest już od pierwszych akapitów wyraźna, choć oczywiście nieświadoma autoironia ich samych. Postaci mają wyznaczone swoje role w życiu – a rzeczywistość ludzka jest agregatem, zbiorowym magazynem takich ról – tyle że wywiązując się sumiennie ze swoich misji, obowiązków, projektów ludzie nie potrafią stawić czoła wyzwaniom stawianym przez samo powszednie życie, ich kontakty międzyludzkie zawodzą, ich związki się rozpadają, zwłaszcza jeśli mają to być związki impregnowane sankcją i obyczajem, takie jak małżeństwo. Bohater *Ostatniego raportu* od początku do końca izolując się od innych, pozostaje w świecie swoich idei, zamysłów, idiosynkrazji; jego rola „agenta” jest zaś nie przyczyną takiego a nie innego postępowania w życiu, a konsekwencją jego predyspozycji psychicznych i „programu” mentalnego.

Mieczysław Orski

Noty o ksi¹żkach

*

Z języka greckiego Ewangelie i Dzieje Apostolskie zostały po raz pierwszy przełożone na język polski dopiero w 1947 roku. Potem powstało jeszcze kilka przekładów tzw. egzegetycznych, a oprócz nich przekłady literackie pojedynczych ksiąg, z których najważniejsze są przekłady Brandstaettera i Miłosza.

Roman Brandstaetter (1906–1987), autor Hymnu do Biblii i Kręgu biblijnego uważał Biblię za swój dom. Nie tylko przekładał Księgi Starego i Nowego Testamentu, ale pisał do nich bardzo ciekawe i pożyteczne wstępy; tą drogą poszedł później Czesław Miłosz. Wydawnictwo M w ramach wydawanych „Dzieł zebranych” Brandstaettera przypomina teraz jego przekłady z języka greckiego Ksiąg Nowego Przymierza.

Ewangelia według świętego Mateusza została napisana w języku hebrajskim przez Żyda, chrześcijanina, celnika, nawróconego grzesznika (spośród czterech Ewangelistów wiemy o nim najmniej), dla posiadających wykształcenie rabinistyczne judeochrześcijan, a jej celem jest wykazanie, że stanowi ona pomost między Starym a Nowym Testamentem. Nowe Prawo zakorzenione jest w Starym Testamencie i jest jego, jak mówi Chrystus w Kazaniu na Górze, wypełnieniem. W przedmowach Brandstaettera nie tyle istotne są uwagi teologiczne, co fragmenty dotyczące stylu, języka i przekładu. I tak, w greckim tekście Ewangelii według Mateusza wyraźnie widać ślady rytmicznego kształtowania wersetów według praw rządzących poetyką starotestamentową. Tłumacz na grecki zachował i utrwalił muzyczne walory języka Mateusza, jak na przykład charakterystyczne dla starotestamentowej poetyki refreny, inkluzje, paralelizmy, a przede wszystkim rytmiczny tok zdania wraz z jego znamienym akcentowaniem. Tradycją pierwotnego Kościoła było porządkowanie słów Jezusa według rytmicznej i stroficznej metody, jaką niewątpliwie posługiwał się On w swoich ustnych wypowiedziach. I jak twierdzą badacze, to właśnie u Mateusza, a być może i u Łukasza, znajdujemy najwierniej zachowane słowa Jezusa, a im zdania są krótsze, bardziej wyczelowane i r y t m i c z n e, tym bliższe są słów samego Chrystusa.

Święty Marek jest twórcą rodzaju literackiego zwanego ewangelią, czyli opowiadania o ziemskim życiu i dziełach Jezusa z Nazarethu. Swoją relację oparł na tym, co usłyszał od świętego Piotra. Przewodnim motywem tej Ewangelii jest pytanie, kim był Jezus z Nazarethu i odpowiedź na nie. Wzorce zaczerpnął

z ksiąg narracyjnych Starego Testamentu, między innymi z cyklów opowieści z życia Sędziów oraz Proroków – Samuela, Eliasza i Elizeusza. Są to opowiadania o tematyce historycznej, o akcji zwartej i szybkiej, pełnej dramatycznego napięcia, utwory o luźnej konstrukcji, której wiązadłem jest postać głównego bohatera wyrażającego swoim działaniem myśl Bożą, sens i przeznaczenie księgi. Analogiczną metodą opowiadania posługiwał się święty Piotr w swojej działalności ewangelizacyjnej. Jest to cykl krótkich opowieści, szybko po sobie następujących, powiązanych ze sobą postacią Syna Człowieczego, ukazanego w działaniu i w ruchu, w drodze, wciąż spieszącego się i usiłującego sumą działań, niekiedy pełnych tajemniczych niedomówień, utrwalić w pamięci ludzkości swój żywy i niepowtarzalny obraz. Opowieści Marka są małymi scenami dramatycznymi o niesłabnącym napięciu akcji, pozbawionej długich mów i wywodów, o ostro zarysowanym krótkim i zwartym dialogu i często o równie krótkich i zwartych pointach (tu: dramatyczne walory narracji Marka). Marek najwyraźniej chciał zainteresować słuchacza fabułą – która, według Arystotelesa, jest duszą tragedii – historią Jezusa, Jego Osobą i dziełami. Niczego nie antycypował, wszystko rozgrywało się przed oczami słuchacza i wszystko miało wyjaśnić się za pomocą działania Chrystusa i Jego otoczenia: ujawnienie mesjańskiego posłannictwa Chrystusa dokonuje się stopniowo poprzez Jego dzieła, poprzez fabułę, spięcia i konflikty. Właściwy wymiar postaci Chrystusa wyłania się powoli wraz z rozwijającą się akcją i narastającymi konfliktami, według praw rządzących architekturą utworu dramatycznego. Dopiero w końcowych wersetach Ewangelii słuchacze dostępują radosnej katharsis, oczyszczenia z trwogi przez współczucie dla zmartwychwstałego Mesjasza, który zwyciężył śmierć. Wszystko dzieje się zgodnie z klasycznymi zasadami sztuki dramatopisarskiej. Grecki język Marka (koine), który roi się od arameizmów, jest bardzo prosty, nieomal surowy, całkowicie pozbawiony patosu, nawet w najbardziej podniosłych momentach. To od Piotra przejął Marek prosty i jasny wywód, ścisłe formułowanie myśli, przejrzystą budowę zdania. Dlatego uprościł swój styl i język, a nawet nie zrezygnował ze zgrzytów i chropowatości językowych dla maksymalnego zachowania wierności. Stale posługuje się parataksą, tzn. współrzędnymi zdaniami połączonymi za pomocą spójnika kai (i). Jest to budowa zdania znamienna dla aramejskiej i hebrajskiej prozy kolokwialnej (Miszna), gdy opowiadacz, starając się o dokładność i jasność wypowiedzi, a nie chcąc uwikłać się w sieć zdań podrzędnych, poświęca złożoną składnię dla wiernego oddania treści. Ewangelia Marka zachowała rytm i żywość żywej mowy, te bezcenne wartości tradycji ustnej. Czytając tę Ewangelię, s ł y - s z y m y ją wygłaszaną rytmicznie, według zasad intonacyjnie kształtowanej

eufonii i tak jak dla pierwszych chrześcijan słowo Chrystusa i słowo o Chrystusie staje się dla nas g ł o s e m.

Święty Łukasz, lekarz, był Grekiem (nie znał hebrajskiego ani aramejskiego), uczniem i towarzyszem świętego Pawła i jest autorem Ewangelii i Dziejów Apostolskich. Jego przypowieści o synu marnotrawnym, jawno grzesznicy, miłośniernym Samarytaninie i opowiadanie o nawróceniu świętego Pawła należą do arcydzieł literatury światowej. Jego styl jest stylizacją, nakładaniem na język grecki patyny starotestamentowego stylu (zagęszczał go w wypowiedziach Jezusa, a rozrzedzał w opisach); jego semityzmy są owocem mądrze przemyślanej stylizacji, a nie, jak u świętego Marka, czy świętego Jana, czymś naturalnym, wrodzonym.

Pismo Święte Starego Testamentu było pierwotnie nie księgą, ale g ł o s e m. Po hebrajsku „czytać” znaczy „wywoływać”. Także i Ewangelie, zanim zostały spisane, były od początku żywym słowem – widać w nich styl i technikę ustnego przekazu (tu: słowa wiążące, r y t m i k a, powtórzenia, refreny, rytmiczne kształtowanie wersetów i niezwykle dokładne ich frazowanie). Dlatego Brandstaetter przekłada Nowy Testament sposobem kolometrycznym (kolometria – podział wersu na rytmicznie wydzielone człony). Dla Hebrajczyków, którzy nie znali pojęcia harmonii, liczył się rytm kształtowany nie mechanicznie, to znaczy nie za pomocą liczby sylab, ale dynamicznie, za pomocą intonacji wyrazów. Akcent rytmiczny służył do eksponowania słów, wyrażających właściwy sens wersetu. Liryczne części Starego Testamentu były przeznaczone do śpiewu, natomiast części narracyjne recytowane były sposobem kantylacyjnym (rodzaj recytacji pośredni między monotonnym rytmicznym zaśpiewem a melodyjnym modulowaniem słowa). Jest wiele trudności w przekładzie; np. niektóre wersety Ewangelii według świętego Jana z powodu swojej nadzwyczajnej zwartości, mającej swoje źródło w sposobie myślenia natchnionego autora, są niekiedy niezrozumiałe dla czytelnika nie obznajomionego z teologią Janową i całym jej szerszym kontekstem. I wtedy trzeba rozbudowywać je przy pomocy dodatkowych słów, żeby wyłuskać z nich sens zrozumiały dla współczesnego czytelnika. Inny problem to beczasowość hebrajskiego czasownika: hebrajski czasownik ma tylko dwa czasy: przeszły i przyszły, a ściślej mówiąc – czas dokonany i niedokonany, albowiem n i e w y r a ż a j ą one czasu, ale t r w a n i e albo d o k o n a n i e d z i a ł a n i a.

Święty Jan, czyli Johanan ben Zebadia, był Żydem i umiłowanym uczniem Chrystusa. Jego Ewangelia, Apokalipsa i Listy to zupełnie wyjątkowe biblijne pismo. Szeroka, rozlewna fraza jego prozy o głębokiej, muzycznej tonacji i wysokiej temperaturze uczuć, umiejętność przechodzenia od spokojnej, przedmiotowej

narracji do teofanicznych wybuchów, pełnych dramatycznych spięć. Jest to właściwie proza poetycka, pełna różnego gatunku paralelizmów, przyływów coraz to nowych obrazów, których treścią jest ten sam temat, powracający w różnych wariacjach, uzupełniający wciąż od nowa zasadniczy rdzeń zagadnienia (coś na kształt ronda instrumentalnego), nawrotów do tej samej myśli w różnych formacjach składniowych, ze skłonnością do tautologii, o szerokiej frazie rytmu, dostrojonego do wewnętrznej substancji słowa. Charakterystyczne są zdania budowane według zasady następujących po sobie kontrastów, w których drugi człon jest niejako repliką, potwierdzającą pierwszy człon, czyli jest czymś w rodzaju dominanty w fudze. Święty Jan niezwykle precyzyjnie, pedantycznie i drobiazgowo widzi to, co rozgrywa się przed nim.

Ciekawe są kompozycje jego Listów: chaotyczne, bez wewnętrznych wiązań spinających poszczególne wątki tematyczne w całość o jednolitej budowie; luźne fragmenty wiążące się ze sobą na zasadzie czystej asocjacji; rytm wersetów jest przyspieszony i nerwowy, jakby w wielkim napięciu ducha chciał wyrzucić z siebie nurtujące go niepokoje. Te luźne fragmenty, na gorąco rzucane na papier, są zbiorem notatek przeznaczonych jako materiał do właściwego listu lub kazania. Przywodzą na myśl Myśli Pascala. Jest to dzieło in statu nascendi: ich fragmentaryczność jest szczeliną, przez którą możemy śledzić nie tylko proces przyoblekania się myśli w słowo, ale również kształtowanie się jej w różnych układach, konstelacjach, porządkach. Święty Jan często wraca w tych „notatkach” do swoich myśli, rozpatruje je w różnych aspektach i naświetla za każdym razem w sposób odmienny, tak jak kompozytor wielokrotnie, w różnej tonacji i w różnych rejestrach wracający do tematu muzycznego. Nie używa wielu słów, ale u niego to samo słowo, w zależności od tonacji, rejestrów i kontekstów znaczy za każdym razem coś innego, posiada inną barwę uczuciową, inne brzmienie emocjonalne – ubóstwo słowa jest tutaj jego bogactwem! Za pomocą nielicznych i prostych słów wypowiada najgłębszą, nieskończoną Tajemnicę, odsłania jej rąbek.

Apokalipsa świętego Jana to wizja losów pogrążonej w zamięcie ludzkości, wielki obraz zmagania dobra ze złem. Wieloznaczność jest tu, tak jak nią była dla Hebrajczyków, jednoznacznością, a za pozorną sprzecznością kryje się rozległa mądrość.

Dzieje Apostolskie to zbiór krótkich opowieści, dzieło fragmentaryczne, relacja nagle, „niespodziewanie” urwana. Charakterystyczne są zmiany akcji i scenerii i przechodzenie do kolejnego opowiadania o czynach (praxeis) Apostołów, przeskoki i przeniesienia akcji i stała metoda rozwijania narracji

(motyw ewangelizacji), szkicowanie, luki, „białe plamy”, co tworzy pasjonującą, wciągającą w swój świetlisty wir opowieść.

Te obszernie wypisy ze wstępów Romana Brandstaettera zachęcają do ich wnikliwej, całościowej lektury, także do czytań Ksiąg Nowego Przymierza, a jednocześnie są znakomitą prezentacją najlepszych metod i technik pisarskich, od których, o ile wróci się do nich jak najszybciej, zależy koniec regresu, a potem rzeczywisty rozwój współczesnej literatury.

K.M.

Roman Brandstaetter, Księgi Nowego Przymierza. Przekłady biblijne z języka greckiego, „Dzieła zebrane”, Wydawnictwo M, Kraków 2009

✱

Prezent-marzenie na Gwiazdkę: luksusowa dwujęzyczna edycja ostatniego tomiku Wisławy Szymborskiej Tutaj/Here [patrz: Głosy o „Tutaj” Wisławy Szymborskiej w „K.A.” 2009 nr 1 (61)], w wiernych przekładach na angielski autorstwa Clare Cavanagh i z płytą CD z zapisem koncertu z 27 stycznia 2009 roku w Operze Krakowskiej, na którym wiersze czytała Poetka, a jeden z najlepszych trębaczy jazzowych Tomasz Stańko grał improwizacje na ich temat. Niebieska z białymi literami, bardzo ascetyczna i elegancka okładka robi świetne wrażenie. Piękna, czysta i właściwie bezkresna przestrzeń zamknięta w dwóch, umieszczonych w osobnych pudełkach książeczkach.

Jakby zaskoczony realizacją własnego pomysłu wydawca napisał na skrzydełku okładki płyty: „Zdumiewające, ile mądrości, obserwacji i odkryć, ile światów pomieścić można w niewielkim pudełku!” i jest to zdanie jakby wyjęte z wiersza Noblistki.

K.M.

Wisława Szymborska, Tutaj/Here, przekład Clare Cavanagh, Zapis koncertu/Live Concert Recording CD, Wydawnictwo Znak, Kraków 2009

✱

Na karcie tytułowej napis: Patryk, Bajki, Ministerstwo Obrony Narodowej 1953. Dedykacja dla Tadeusza Chrzanowskiego. Rękopiśmienny tomik Bajek Zbigniewa Herberta to wydanie unikalne i jakby w zamyśle bibliofilskie. Za-

wiera dwadzieścia dwa wczesne utwory (plus kilka utworów wcześniejszych, m.in. Fotoplastikon; w tomiku Hermes, pies i gwiazda jest zupełnie inny tekst opatrzony tym tytułem), które Herbert nazwał bajkami, a które w gruncie rzeczy są prozą poetycką. To ważny dokument kształtowania się poetyki, osobowości i wyobraźni młodego poety. Skrzydlate paradoksy, humor, ironia, pure nonsense, „słowa pomieszane ze snami”. Dwadzieścia utworów z tego tomiku Herbert włączył do Hermes, psa i gwiazdy.

Piękne, jak zwykle u Ryszarda Krynickiego, wydanie: na okładce oraz stronie tytułowej rysunki z notatnika Herberta, a na skrzydełkach faksymilia rękopisów z tychże notatników. Najpierw faksymile, a potem tekst drukowany; jako suplement dodano faksymile tego rękopiśmiennego tomiku, który poeta podarował Tadeuszowi Chrzanowskiemu w październiku 1953 roku.

M.W.

Zbigniew Herbert, Bajki, opracował Ryszard Krynicki, Biblioteka Poetycka Wydawnictwa a5 pod redakcją Ryszarda Krynickiego, tom 64, Wydawnictwo a5, Kraków 2009

✱

Najnowszy tom poetycki Jana Polkowskiego ukazuje się po długim milczeniu poety i trafne jest stwierdzenie Tadeusza Nyczka, że to „największa niespodzianka dekady (...)”. Zbiór znakomity! Tom spięty wyrazistą klamrą dwóch wierszy: Rzeka go rozpoczyna i Allemanda, corrente, sarabande, giga, ciaccona kończy. „Kim jestem, czy kim się staję (...)/ Tym, który tonie i który śpi? Tym, który umiera i budzi się? Tym, który widzi i tym, który rozpacza?” Te pytania, obsesyjne niemal, zrodziły się kiedyś, w odległej przestrzeni i w czasie odległym, w momencie wtajemniczenia w świat, w życie, w wszechświat, w jego ciemność i słodycz, jak zwykle w momencie dramatycznym – reminiscencja, tonięcie snującego monolog przywołującego zdarzenia z dzieciństwa, bo jakie inne może być egzystencjalne wtajemniczenie. Reszta, całe to borykanie się, wędrowanie, jest wpisane w niezwykłą czasoprzestrzeń, w której spotykają się postaci, współlistnieją fakty z historii, przenikają przestrzenie poetyckie: przede wszystkim poety Jana Polkowskiego, ale także poetów rosyjskich Fiodora Tiutczewa, Iwana Bunina, Giennadija Ajgiego, których przekłada. Świat śmierci, jego tajemnicę odsłania muzyka Jana Sebastiana Bacha, do której często wraca podmiot liryczny, muzyczne tło, dźwiękowa scenografia dla tych ściszonych pełnych dramatyizmu monologów. Kod, w który wsłuchują się bohaterowie

spektaklu, ale pomimo usiłowań pozostają w fundamentalnym sensie głusi na to, bo przecież inaczej nie można. Snujący się niespokojny rytm, z dramatycznymi kontrapunktami, harmonią przenikającą całą cudowność świata i zgrzyty brzmiące jak dysonans. Światło i mrok. Cisza i milczenie. Piekło i niebo. Wiosna i noc, z tytułu wiersza Bunina. Usychają, usychają trawy – zaśpiew, powtarzalność, niepokojący rytm, urywany, falujący zmierzający ku kresowi. Jak ku stepowi z rosyjskich pustych przestrzeni. I w tej pustce rzewny śpiew, może lament. „Jest godzina, która z prochu tworzy twój orszak” motto z Paula Celana. Ciemna jutrznia, czarne słońce – melancholia, zaduma pełna smutku i zapatrzenia. „Ostatnie słowo należy do wiatru, zapomnienia, zaciśniętych powiek,/zatarty ślad zbyt długo szedł przez miasta, muszle pojedynczego głosu.” Punkt dojścia w tym wędrowaniu: „Wokół duszny oddech stłamszonego życia./I zaborcza, coraz bardziej bolesna, wszechogarniająca jak chaos/cisza.” Jakby muzyka była skończona. Muzyka śmierci i muzyka życia. W egzystencjalnym splątaniu. Jest w tym pełnym elegijnej zadumy tomie poetyckim smutek, a pewnie i rozpacz, które istnieją obok zmysłowego doznania pełni świata. Cantus (łac.) to śpiew a także krakanie, pianie, muzyka, dźwięk, odgłos, czarodziejskie zaklęcie, wróżba. I te różne głosy rozbrzmiewają w tomie Jana Polkowskiego, tworząc dramatyczną polifoniczną kompozycję.

G.K.

Jan Polkowski, Cantus, Wydawnictwo a5, Kraków 2009

*

Szatańskie czy Boskie... to jeszcze jedna książka krytyczno-literacka w dorobku jezuitę, profesora teologii o. Jacka Bolewskiego, zrodzona z potrzeby, jak sam przyznaje, dzielenia się swymi poruszeniami i rozwijania historii odczytań tych lektur, które przeszedłszy próbę czasu, budują universum współczesnego świata kultury i sztuki. Metodzie czytelniczej Bolewskiego przyświeca założenie, że literatura prawdziwa, ta wielka i wieczna, przekazuje prawdę niezależną – Boską, niezależną od czasu i miejsca, w które jest zanurzona. Według Bolewskiego, z pokorą wsłuchującego się w mowę arcydzieł, dochodzenie do niej wymaga poszukiwania pierwotnych kontekstów, motywacji i założeń twórców. Staje się dlatego intelektualną rozrywką, uprawianą na marginesie pracy naukowej, by następnie przygotować do przeżycia duchowego. Stąd badawcza rzetelność, tak

charakterystyczna i dla wcześniejszych prac autora *Objawienia Szekspira*, *Sztuki u Boga*, *Głębi Goethego*. Tym razem jednak, dzięki doborowi lektur, wkracza on na tereny pogranicza – kultur, światopoglądów, religii, i nie wartościując, próbuje zrekonstruować różne drogi dochodzenia do Prawdy i Miłości. Dostrzeżenie jedności w różnorodności uspokaja i rodzi poczucie bezpieczeństwa, a jednocześnie wyczuła na idee fałszywe – szatańskie, obnażając ich pęknięcia i brak możliwości połączenia z tym, co pierwotne i naturalne. Jest to szczególnie istotne tym bardziej, że punktem wyjścia dociekań jest niezwykle złożone zjawisko przenikania kultur Zachodu i Wschodu. Interpretując powieści *Pamuka Boska Czerwień* i *Rushdiego Szatańskie wersety*, Bolewski ujawnia wiele uproszczeń oraz obala stereotypy narosłe wokół tak chrześcijaństwa, jak i islamu. Cierpliwym nauczycielem wyjaśniającym teologiczne zawłości jest także wtedy, gdy objaśnia różnice między katolickim rajem, prawosławnym czyścem a pogańskimi wyobrażeniami „duchów powrotników” w *Mickiewiczowskich Dziadach*. Podtytuł *Od islamu do chrześcijaństwa* wskazuje na kompozycyjną koncepcję całości – refleksja rozpoczyna się od analizy wspomnianych już dzieł penetrujących obce dla Europejczyka regiony, prowadzi przez budujące tożsamość Polaków *Dziady* i dochodzi do wykładu na temat istoty chrześcijaństwa zainspirowanego „poematem mistycznym” *Europy – Idiotą Dostojewskiego*. Symetrycznie rozważania nad islamem a chrześcijaństwem dzieli utwór z pogranicza tych dwóch światów – *Don Kichot Cervantesa*. *Szatańskie czy Boskie...* jest zatem zapisem „duchowej lektury” teologa przekonującego, że: „poza różnorodnością obrazów należy dostrzec aspekty jednej prawdy, do której trudno przybliżyć się inaczej jak od różnych stron...”

J.K.

Jacek Bolewski SJ, *Szatańskie czy Boskie...* Teologia w arcydziełach. *Od islamu do chrześcijaństwa*, Wydawnictwo RHETOS, Warszawa 2009

*

Jest to pierwsze pełne studium wykonywanych przez najwybitniejszych artystów dekoracji krużganków (*Loggi*) w pałacu apostolskim (1517–1519), w opracowaniu Nicole Dacos. Przepiękne malowidła znajdują się w części użytkowej pałacu i niedostępne są dla zwiedzających, tym większa więc atrakcja tego monumentalnego, liczącego 352 strony, zawierającego 223 kolorowe zdjęcia i starannie wydane albumu (papier kredowy, płótnopodobna okład-

ka, obwoluta). Głównym twórcą tych dekoracji jest jeden z najznakomitszych artystów dojrzałego renesansu – Rafael (właśc. Raffaello Santi, 1483–1520).

Renesansowe arcydzieło składa się m.in. z pięćdziesięciu dwóch fresków ukazujących sceny biblijne, z malowideł z motywami antycznymi i z dekoracji groteskowych. Unikatowe fotografie detali dają możliwość prawie bezpośredniego obcowania z tym arcydziełem. Fascynująca jest opowieść o powstaniu tych fresków, o współpracownikach Rafaela i inspiracji, jaką stały się dla wielu twórców w Europie, aż po czasy współczesne.

Ten niezwyklej piękności album został wydany w ramach międzynarodowego programu, we współpracy z Muzeami Watykańskimi, w serii Monumenta Vaticana Selecta.

M.W.

Nicole Dacos, Rafael w Watykanie, Wydawnictwo Biały Kruk, Kraków 2009

Dla czytelników „Kwartalnika Artystycznego” zniżka 19%! Zamiast ceny detalicznej 219 zł, cena promocyjna 177 zł. Wystarczy zadzwonić do wydawnictwa, powołać się na „Kwartalnik Artystyczny” i zamówić. Tel. (12) 260-32-90, (12) 254-56-26. Można też wysłać fax lub e-mail (marketing@białykruk.pl). Koszt wysyłki ponosi wydawnictwo; www.białykruk.pl.

✱

Z Poznaniem Artur Nacht-Samborski związany był od 1938 roku i w tym mieście znajduje się ponad dwieście obrazów podarowanych przez jego rodzinę. Pamięć motywu to zespół prac wyodrębnionych przez Anielę Nacht-Łempicką, pochodzących z różnych okresów i obejmujących wszystkie obecne w tej twórczości motywy, przygotowany w Galerii Miejskiej „Arsenał” w Poznaniu w 35. rocznicę śmierci malarza (wystawa ta w styczniu 2010 roku dotrze także do Torunia). To dobrze, że trwa oglądanie, odczytywanie i interpretowanie tego fascynującego malarstwa, które daje nam niewypłacone dary i zasługuje na najwyższą uwagę.

Katalog zawiera sześćdziesiąt pięć kolorowych reprodukcji, kilka ciekawych nieznanymi fotografii Nachta oraz teksty Hanny Sachs, Romana Wachsa, Aleksandra Miklaszewskiego, Wojciecha Makowieckiego, Lecha Siudy i Zofii Starikiewicz. Widzimy osobny, intensywny świat. Kolor i ekspresja (niemiecki ekspresjonizm i polski koloryzm), ukończone i nieukończone kompozycje, na ostrej granicy abstrakcji i figuracji, a Nacht mistrzowsko porusza się na tej granicy. Kompozycje form malowanych szerokimi pociągnięciami pędzla, plam barwnych podkreślonych ciemnym konturem. Uproszczone, zgeome-

tryzowane formy, deformacje i dziwna intensywność wyrazu. Karykatura, groteska, przerysowania i wyolbrzymienia lub skrajne uproszczenia. Cienie Holocaustu. Twarze jak maski, jasny owal, kropki oczu, kreska ust, marionetki, jak rysunki dziecka, autoportrety. Martwe natury (fikusy, storczyk), akty, głowy, portrety (Chinka, torreador, komedianci, klaun), postacie we wnętrzu – kobiety i mężczyźni, ptaki (głuszec, bażant), kilka pejzaży, różne rytmy kreskowe. Najczęściej martwa natura z fikusem.

W tych powtórzeniach widać, jak Nacht schodzi w głąb i jak sobie z tym radzi, tworząc nowe ujęcia, kombinacje przestrzenne i kolorystyczne w niemal identycznym ustawieniu i kadrowaniu tak martwych natur jak i postaci. Wspaniałe, fascynujące widowisko, doświadczenie artystyczne i egzystencjalne. Obserwujemy powroty do tych samych motywów jakby wciąż przerabianych i postaciowanych na nowo w ciągle tym samym widzeniu wątków, głów, bukietów czy aktów. Różne kolorystyczne warianty (dzban, liście lub kwiaty), rozmaicie działające światło: jakby szukał jakiegoś definitywnego rozwiązania, pełni, ideału, prawdy. Dostrzegamy zmiany w skali najdrobniejszej, o jeden ton lub w nieznacznych, ledwo zaznaczonych zmianach w fakturze. Jakbyśmy byli w labiryncie czasu, w jego mrocznych meandrach i zakamarkach, do których sami byśmy nigdy nie doszli. Nacht nie datował swoich prac i nie sposób jest ustalić ich definitywnej chronologii. Jest w tym malarstwie czas i metaczas, świat i zaświat i trudna do określenia pełnia.

K.M.

Artur Nacht-Samborski, Pamięć motywu, Galeria Miejska „Arsenał”, Poznań 2009

✱

Aby Chrystus się nami posługiwał to zbiór tekstów księdza, biskupa, arcybiskupa i kardynała Karola Wojtyły opublikowanych w „Tygodniku Powszechnym” i miesięczniku „Znak” w latach 1949–1978. Tom zbudowany jest z sześciu części. Otwierają artykuły, studia i wspomnienia z lat 1949–1974. Następnie jest Elementarz etyczny, po nim – homilie, m.in. z bazyliki Mariackiej wygłoszona po śmierci Jana Pawła I i z Kalwarii Zebrzydowskiej, kazania, m.in. z Bazyliki św. Piotra w Rzymie, z katedry wawelskiej, na inaugurację roku akademickiego na KUL-u, na 600-lecie Uniwersytetu Jagiellońskiego i rozważania Drogi Krzyżowej z Watykanu, a dalej – listy pasterskie, ode-

zwy i komunikaty. Kolejne części obejmują: listy, słowa pasterskie i teksty do „Tygodnika Powszechnego” oraz teksty z miesięcznika „Znak”, m.in. szkice o świętym Janie od Krzyża, o personalizmie tomistycznym, o życiu wewnętrznym ludzi młodych, o chrześcijaństwie i kulturze. Tom zamyka spis wszystkich tekstów, jakie ksiądz i późniejszy Metropolita Krakowski napisał dla „Tygodnika Powszechnego” i „Znaku”.

M.W.

Karol Wojtyła, Aby Chrystus się nami posługiwał, wybór i układ Józefa Hannelowa, Wydawnictwo Znak, Kraków 2009

*

Ciąg dalszy dziejów wielkiego pontyfikatu. Przełom 1996/1997 – rok 19. to rok 50. rocznicy święceń kapłańskich Jana Pawła II, czas wdzięczności i dziękczynienia. Wypełniają go m.in. pielgrzymki apostolskie do Bośni i Hercegowiny (tu: m.in. Sarajewo), do Czech, do Libanu – krainy biblijnej, do Polski, gdzie następuje kanonizacja Jadwigi Królowej i Jana z Dukli, do Włoch, do Francji (tu: m.in. XII Światowy Dzień Młodzieży) i do Brazylii (jest to 80. zagraniczna pielgrzymka Jana Pawła II).

W 20. roku pontyfikatu Doktorami Kościoła zostają Teresa z Lisieux i Teresa Benedykta od Krzyża – Edyta Stein. Odbywają się synody poświęcone Ameryce i Azji oraz pielgrzymki do Włoch, na Kubę, do Nigerii, Austrii i Chorwacji. Uwagę zwracają pełne skupienia i blasku fotografie z liturgii Wielkiego Piątku.

Od października 1998 rozpoczyna się Rok 21 – trwają obchody dwudziestolecia pontyfikatu. Odbywają się kolejne beatyfikacje, między innymi ojca Pio, synody poświęcone Europie i Oceanii, sympozjum na temat inkwizycji, przygotowania do Jubileuszu Roku 2000 oraz pielgrzymki apostolskie do Meksyku, USA, Rumunii, Włoch, Polski i Słowenii. Duże wrażenie robią zdjęcia z Koloseum, z nabożeństwa Drogi Krzyżowej.

M.W.

Rok 19. Fotokronika. Półwiecze kapłaństwa; Rok 20. Fotokronika. Dwa synody; Rok 21. Fotokronika. Droga błogosławieństw, słowo Jan Paweł II, fotografie Arturo Mari, redakcja serii, wybór i grafika Leszek Sosnowski, Wydawnictwo Biały Kruk, Kraków 2009

Nowe książki

Herausgeber Kulturverein Zarys e.v.

Piotr Roguski, Adieu, Cologne. Wiersze/Gedichte. Rozmowa z duchami/En Gespräch mit Geistern, przekład Erhard Brodner, Biblioteka „Zarysu”, tom 4, Messel 2009

Instytut Mikołowski

Edward Balcerzan, Wiersze nieszustkie, Biblioteka Arkadii – Pisma Katastroficznego, tom 40, Mikołów 2009

Księgarnia Wydawnicza Skrzat Stanisław Porębski

Katarzyna Turaj-Kalińska, Bracia Strach i inne opowiadania, Kraków 2009

Oficyna Wydawnicza ATUT

Wrocławskie Wydawnictwo Oświatowe

Jacek Łukasiewicz, Wybór wierszy, Wrocław 2009

Towarzystwo Przyjaciół Sopotu

Krzysztof Lisowski, Wiersze i między wierszami, Biblioteka „Toposu”, tom 46, Sopot 2009

Wydawnictwo Minatura

Andrzej Szuba, 77 strzępów, Kraków 2009

Andrzej Szuba, Strzępy wybrane, Kraków 2009

Wydawnictwo Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej i Centrum

Animacji w Poznaniu

Słowa? Tchnienia? O poezji Ryszarda Krynickiego, Poznań 2009

Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik”

Eugenia Ginzburg, Stroma ściana, przełożył, przypisami i objaśnieniami opatrzył Andrzej Mandalian, Warszawa 2009

Leonard Niedźwiecki, *Listy wybrane z lat 1832–1839*, opracował Stanisław Makowski, Warszawa 2009

Paul Veyne, *Początki chrześcijańskiego świata (312–394)*, przełożył Ireneusz Kania, Warszawa 2009

Wydawnictwo Forma. Stowarzyszenie OFFicyna

Artur Daniel Liskowacki, *Eine kleine, postowie Przemysław Czapliński*, Szczecin/Bezrzecze 2009

Wydawnictwo Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Mariusz Olbromski, *Lato w Krzemieńcu. Legendy znad Ikwy*, Warszawa 2009

Wydawnictwo słowo/obraz terytoria

Michał Fostowicz, *Boska analogia. Wiliam Blake'a sztuka starożytności*, Gdańsk 2008

Wydawnictwo ZNAK

Seamus Heaney, *Przejrzysta pogoda. Wiersze wybrane*, redakcja Magda Heydel, tłumacze: Stanisław Barańczak, Magda Heydel, Paweł Marcinkiewicz, Adam Szostkiewicz, Kraków 2009

Zysk i S – ka Wydawnictwo

Józef Baran, *Rondo. Wiersze z lat 2006–2009*, Poznań 2009

Listy do Redakcji

To naprawdę nie były Chamuły poezji

Po lekturze poprzedniego numeru „Kwartalnika Artystycznego” (3/2009), konkretnie zaś po przeczytaniu Listu do Redakcji przesłanego przez pana Ryszarda Krynickiego – niczym krnąbrny i niewdzięczny uczeń czuję się wywołany do odpowiedzi.

W zeszycie 4/2008 Redakcja opublikowała mój tekst Jakby spotkać kogoś dawno zmarłego, poświęcony Wierszom zebranym Zbigniewa Herberta. Oczywiście celem – ani głównym, ani innym – recenzji (albo lepiej szkicu) nie było, jak mylnie osądził pan Ryszard Krynicki, podważenie wartości dorobku autora Struny światła, przyznawanej mu współcześnie czy kiedykolwiek. W jednym z wcześniejszych numerów „Kwartalnika” (2/2008) odpowiadałem na ankietę Redakcji dotyczącą obecności Herberta w polskiej literaturze dziesięciolecia, jakie wówczas upłynęło od śmierci poety. Spieszę sprostować – co dość oczywiste – byłem i jestem jak najdalszy od powielania gestów młodego Przybosa-teoretyka wymierzanych przeciwko świętym polskiej poezji. Nie dlatego, że święci. Dlatego, że nie należy do zadań zarówno krytyka, jak i recenzenta wymierzanie razów dziełom, które czasowo przestały być tradycją dla pewnej grupy twórców. Czasowo – nie na zawsze. Powtórzę: uważam, że o ile dla formacji nowofalowej Herbert był mocno osadzonym w tradycji punktem odniesienia – raz sprzymierzeńcem, niekiedy adwersarzem – o ile jego twórczość na pewno stanowiła punkt odniesienia dla niektórych przynajmniej poetów z roczników Polkowskiego, o tyle dla większości urodzonych w latach 60., nie wspominając o młodszych, Herbert punktem odniesienia nie jest. I dla tych poetów, ich książek i poetyk – poezja Herberta tradycją, przynajmniej na razie, nie będzie. W tym właśnie sensie Herbert nie jest dziś współczesny. Krytyk (i recenzent) zobowiązany jest śledzić przemiany literackie obejmujące swoim zakresem całe generacje, pokolenia. Edytor i wydawca pism Herberta robić tego nie musi. A może nie chce, co zresztą poniekąd dałoby się zrozumieć.

Co do „przystawalności” kategorii neuroestetycznych do poezji Herberta – w tej kwestii, znacznie bardziej frapującej niż o niej mówi pan Ryszard Krynicki, będę miał odmienne zdanie. Nie widzę powodów, dla których nie warto byłoby podejmować próby czytania twórczości Herberta przy pomocy narzędzi dotąd do niej nieprzymierzanych.

Na koniec dodam jeszcze, że tytuł recenzji, który wyraźnie oburzył pana Krynickiego, niekoniecznie musi być rozumiany jako nieprzychylny dla poezji

Zbigniewa Herberta. Są w mojej pamięci osoby dawno zmarłe, które – gdyby tylko było to możliwe – szczególnie życzyłbym sobie spotkać. Z kolei – skoro już o tytułach mowa – w tytule Listu do Redakcji pana Krynickiego pojawiła się aluzja do jednego z moich ulubionych, nieoczywistych w interpretacji wierszy z Epilogu burzy. I za tę aluzję, jak i za benedyktyńską niewątpliwie pracę nad Wierszami zebranymi jako wytrzymały czytelnik Herberta autorowi Listu dziękuję.

Paweł Mackiewicz

[Odpowiedź]

Paweł Mackiewicz nie musi mnie przekonywać, że jego tekst o Zbigniewie Herbercie to nie były Chamuły poezji. Julian Przyboś w swoim pamflecie (którego zresztą nigdy później nie przedrukował) nie występował przeciwko żadnym „świętym polskiej poezji”, tylko przeciw pseudoludowości oraz pseudoreligijności popularnej w polskiej liryce na początku lat dwudziestych minionego wieku, głównie u Jana Kasprowicza i Emila Zegadłowicza.

Mniejsza o to. Wbrew temu, co sugeruje Krytyk (i Recenzent), nie jestem przeciwny czytaniu poezji przy pomocy narzędzi dotąd do niej nieprzy-mierzanych. Uważam tylko, że po pierwsze jego tekst, chociaż ukazał się w dziale Recenzje, recenzją nie jest, a po drugie, że wywody Antonia Damasio nie mogą być zbyt przydatne przy interpretowaniu złożonej i bogatej w odniesienia natury filozoficznej twórczości autora Pana Cogito. Zdaje mi się, że Zbigniewowi Herbertowi równie bliscy, co Kartezjusz – jeżeli nie bliżsi – byli zarówno Pascal jak Spinoza, zarówno Empedokles, jak Sokrates, zarówno Nietzsche, jak Camus.

Wolę nie wdawać się w spór, czy „kategorie neuroestetyczne” to termin adekwatny. Natomiast jestem dziwnie przekonany, że ani one, ani „kategorie neurologiczne”, na jakie pan Mackiewicz się powołuje, nie pomagają mu zbytnio w odczytywaniu wierszy. Żeby nie szukać zbyt daleko: chętnie wierzę, iż Stańęło w głowie, to jeden z jego ulubionych utworów(chociaż jest to jawnie sprzeczne z tezą główną), jednak zupełnie chybiona wydaje mi się jego analiza, dokonana przy pomocy cytatów z Błędu Kartezjusza. Czy naprawdę tak trudno zauważyć, że mowa jest w nim (jak i w następującym po nim wierszu Stańęło w głowie) o myśli, której nie da się chyba nazwać inaczej, niż myślą prześladowczą, i o cenie, jaką płaci umysł, kiedy chce się jej pozbyć?

Wreszcie, czy z twierdzenia, że dla większości poetów urodzonych w latach sześćdziesiątych poezja Herberta nie jest punktem odniesienia, miałyby wynikać, że przestała być współczesna i żywa? Od kiedy to większość ma stanowić o poezji?

Ryszard Krynicki